WOLNOŚĆ SŁOWA PO KIJOWSKU

Łukasz Warzecha o kulisach niewpuszczenia go na Ukrainę



Rozmowa „Do Rzeczy” z liderem Konfederacji, Krzysztofem Bosakiem

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 46/706 9–15 LISTOPADA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)



HISTORYCZNA KLĘSKA
CO TERAZ ZROBI PREZYDENT DONALD TRUMP

We Lwowie kręcą antypolski serial

CEL – PREZYDENT

Jak Donald Tusk chce sparaliżować działania Karola Nawrockiego



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl 4ba9d97331

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 4ba9d97331

Zamach z ograniczonym oporem



PAWEŁ LISICKI

Czy to, co miało miejsce w Polsce, jest faktycznie zamachem stanu czy kolejną odsłoną partyjnej awantury o kontrolę nad Trybunałem Konstytucyjnym? Trudno mieć wątpliwości, że prawdziwe jest to pierwsze twierdzenie. Nad pracami Trybunału przejęła kontrolę grupa sędziów, których większość nawet nie złożyła ślubowania przed prezydentem. Na jego czele miała stanąć Anna Korwin-Piotrowska, a więc pani, która nie miała prawa podejmować decyzji – ani zawiesić urzędującego prezesa TK Bogdana Święczkowskiego, ani jego zastępcy – które podjęła. Nie miała prawa wejść na teren budynku Trybunału w asyście policji, co jednak zrobiła. Kadłubowy twór złożony z ośmiu osób, z których pięcioro nie złożyło ślubowania, nie stanowił ważnego kworum, mimo że jego uczestnicy twierdzą, iż ich spotkanie było ważne. Wszystkie te absurdalne i bezprawne decyzje stały się decyzjami tylko dlatego, że ostatecznie za panią Korwin-Piotrowską stały oddziały policji, które wysłał do Trybunału minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński. A sama „decyzja" o zawieszeniu prezesa Święczkowskiego dokonała się wbrew jakiejkolwiek logice, de facto podjął ją minister sprawiedliwości Waldemar Żurek. Wystarczy tego wyliczania: wszystko to, co dzieje się wokół Trybunału i w Trybunale od piątku 30 października, jest formą zamachu stanu, a więc przejęcia kontroli nad instytucją publiczną siłą wbrew prawu.

Tyle jest jasne. Znacznie mniej jasny jest cel całej operacji. Różni komentatorzy wskazują na różne możliwości. Według jednych zamach ma na celu doprowadzenie do zmian w Sądzie Najwyższym w taki sposób, żeby nie dopuścić do zwycięstwa w przyszłych wyborach przeciwników obecnego rządu. Przejęcie kontroli nad Trybunałem pozwoli przyjąć ustawy, które doprowadzą do zmiany składu Sądu, a to w rezultacie uniemożliwi zwycięstwo opozycji. Według innych prawdziwym celem Tuska jest Karol Nawrocki – albo chodzi w ogóle o pozbawienie go urzędu, albo, wersja mniej radykalna, o praktyczne sparaliżowanie jego działania. Nie jest jednak jasne, jak mogłoby to wyglądać: jedna z teorii mówi, że po „zalegalizowaniu" nowego Trybunału, który wprawdzie Trybunałem nie jest, wetowane przez prezydenta ustawy będą zaskarżane przed Trybunałem i w ten sposób będzie można obejść weto.

Jeszcze kilka tygodni temu uważałbym te wszystkie domysły i teorie za nieco, oględnie mówiąc, egzotyczne, ponieważ nie bardzo wiadomo, jak za pośrednictwem Trybunału, nawet „zalegalizowanego", można pozbyć się prezydenta. Dziś, po doświadczeniu ostatnich dni, nic nie wydaje się niemożliwe, co jest zresztą potwierdzeniem słuszności twierdzenia o zamachu stanu. Na tym to polega: to, co niemożliwe, staje się możliwe, jeśli stoi za tym siła. Faktycznie, jeśli można było zawiesić prezesa Trybunału Konstytucyjnego, odwołując się do ustawy o ustroju sądów powszechnych, która nie ma w stosunku do Trybunału zastosowania, to wszystko można sobie wyobrazić.

Nie wiadomo zatem, jak to się stanie, ale wiadomo, że prawdziwym celem rządów Tuska jest utrzymanie się przy władzy, bo tylko to jedno zapewnia mu immunitet. Przegrana w wyborach oznacza wysokie prawdopodobieństwo więzienia tak dla obecnego szefa rządu, jak dla dużej grupy jego pomagierów. Drugim celem jest utrwalenie stanu podległości Polski, polskiego państwa, wobec instancji unijnych. Nie jest przypadkiem, że Unia Europejska nie tylko nielegalne działania rządu poparła, lecz także, co było widoczne w oświadczeniu Komisji Europejskiej, zasugerowała, że chodzi o podporządkowanie Polski decyzjom Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. To zaś może nastąpić tylko dzięki „wyłączeniu" prezydenta. Powtórzę: po pierwsze, Tusk chce zachować za wszelką cenę władzę, bo tylko to zapewnia mu bezpieczeństwo; po drugie, zamierza tak bardzo podporządkować państwo centrum unijnemu, żeby żaden przyszły rząd nie mógł już Polski z owej podległości wyzwolić.

Czy ten plan może się premierowi udać? Niestety, na razie tak się dzieje. Mimo tym razem nie histerycznej, ale prawdziwej opowieści o zamachu stanu reakcja społeczeństwa jest dosyć wstrzemięźliwa. Na ulicach nie ma setek tysięcy protestujących. Niewielka siła policyjna wystarczyła, żeby osiągnąć swoje. Wprawdzie doszło do zjednoczenia różnych sił prawicowych w piątkową noc, ale wiele z tego, poza sympatycznymi zdjęciami, nie wynikło. Nic nie wskazuje na to, żeby zamach na Trybunał spotkał się z masowym oporem i sprzeciwem. Być może ten obraz się zmieni i być może takim przełomem będzie Marsz Niepodległości 11 listopada, ale wątpię. Dla dużej liczby Polaków spór o Trybunał wciąż pozostaje konfliktem abstrakcyjnym, w którym chodzi nie o sprawy niepodległości i suwerenności, ale o walkę plemion. Bez zmiany tego podejścia niewiele się zmieni. Opór społeczny to jedyny czynnik, którego obecna władza się boi. Tyle że jak do tej pory opozycji nie udało się go uruchomić. ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NACZELNIK KONTRA NAMIESTNIK
Jak Donald Tusk chce sparaliżować działania Karola Nawrockiego

19 PIOTR SEMKA
PRAWICA PRZED EGZAMINEM DOJRZAŁOŚCI

KRAJ

22 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM
TUSK GRA O CAŁĄ STAWKĘ
Jak zakończy się spór o TK?

25 KRYSTIAN KRATIUK
DAWIDOWIE PRZECIW GOLIATOM

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
Z BEZPRAWIA NIE RODZI SIĘ PRAWO

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
ZNACZY KAPITAN
Wspomnienie Patricka Stewarta (1940–2026)

34 KRZYSZTOF MASŁOŃ
POŻYTKI Z GINTROWSKIEGO

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

40 ŁUKASZ WARZECHA
WIZYTA, KTÓREJ NIE BYŁO
Kulisy zakazu wjazdu na Ukrainę

42 MARIUSZ MUSZYŃSKI
PEŁZAJĄCE POŻERANIE PAŃSTWA

45 TOMASZ FORMANEK
ZIELONY BETON

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
BENELUKS JAKO LABORATORIUM REWOLUCJI

HISTORIA

50 ANDRZEJ NOWAK
MIĘDZY NIEMIECKĄ ZAPAŁKĄ A ROSYJSKIM POŻAREM
Nowa książka o historii Polski

54 PIOTR WŁOCZYK
ŚMIERĆ IMPERIÓW NAD KANAŁEM SUESKIM

58 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
DROGA KU ZACHODOWI

ŚWIAT

60 MICHAŁ KRUPA
SPEKTAKULARNA KLĘSKA REPUBLIKANÓW
Co teraz zrobi prezydent Donald Trump?

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
SKRZYDLATE LWY VERSUS ORLĘTA LWOWSKIE

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
ZAKŁAD O AI
Gra o biliony dolarów

72 TOMASZ CUKIERNIK
PROINFLACYJNE DOTACJE

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 4ba9d97331

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Anna Zalewska, Tomasz Zbigniew Zapert

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Filip Memches, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Radosław Wojtas, Jakub Wozinski, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Anita Walczewska/East News, AI Topaz Sharpen**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Państwo wszechmogące zaprowadza porządki w szkołach (głos nauczyciela i dyrektora)

Mamy więc akcję. Setki ludzi aresztowanych, policja w każdej szkole, codzienne informacje o atakach nożowników. Tak działa akcyjne państwo po wybuchu pandemii nożowników w polskich szkołach.

Oczywiście nie ma żadnej plagi. Młoda kobieta została bestialsko zamordowana, a inni zostali poranieni nożami. Ale to nie jest nic nowego. Od dłuższego czasu rośnie w szkołach agresja. Bijatyki z użyciem noży jeszcze nie są codziennością, ale nie są też rzadkością. Sam byłem świadkiem walki na noże dwóch młodych ludzi w warszawskim metrze. Tłum ludzi, a oni z nożami. Wtedy nic się nie stało. Było jednak oczywiste, że kiedyś się stanie.

Ale w szkole przestępców chronią prawa ucznia, bo taki mamy system. Nauczyciele są całkowicie ubezwłasnowolnieni i jakakolwiek reakcja mogłaby obrócić się przeciwko nim [...].

Dyrektor boi się rodziców, skargi do kuratorium i Rzecznika Praw Dziecka, mediów, prawników i psychologów. Taka jest obecnie szkolna rzeczywistość.

Bo agresja uczniów wobec nauczycieli ma wsparcie społeczne. Nikogo nie interesuje, jak jest naprawdę, gdyż nauczycieli nikt nie lubi. Można więc o nich powiedzieć wszystko i zrobić na tym karierę. Dlatego celebryci wykrzykują ze sceny, jak bardzo nienawidzą nauczycieli.

Aż tu nagle panika. Bo obrażanie i poniżanie nauczycieli są postrzegane jako poprawne, ale dźganie nożami pracowników szkoły to już lekka przesada. I jest teraz akcja [...].

To, co powinno już dawno zostać załatwione przez nauczycieli i dyrektorów, nie mogło zostać załatwione, gdyż scentralizowany system biurokratyczny nie deleguje uprawnień.

Nauczanie i wychowanie sprowadzono do procedur administracyjnych, od których można odwoływać się do sądu. Nauczycielowi nie wolno krzyknąć na ucznia ani zajrzeć mu do plecaka. Nie może stwierdzić, że uczeń jest pod wpływem alkoholu, gdyż takie prawo ma tylko policja. Nie może nawet rozdzielić bijących się uczniów, gdyż naraża się na oskarżenie o naruszenie nietykalności cielesnej, a nawet molestowanie. W poprawnym bełkocie nazywa się to ochroną praw dziecka. A jeszcze poprawniej – działaniem dla dobra dzieciaków.

A jeżeli nawet coś można zrobić, to skuteczne działania paraliżuje strach przed skargami. Bo w świecie uznaniowym skarga jest dowodem winy, gdyż tworzy problemy. A jeżeli generujesz problemy, to jesteś winny nawet wtedy, gdy nie jesteś winny.

Szkoły nie mogą więc samodzielnie reagować na bieżąco i proporcjonalnie do zagrożenia. Problemy muszą rozwiązywać sądy i policjanci na mocy decyzji premiera. To jest patologia. Przerysowana do absurdu reakcja naszego państwa na ataki nożowników w szkołach jest dla mnie większą patologią niż same ataki.

I wcale nie oznacza to, że teraz będzie lepiej. To tylko popis dla publiczności. Aby coś się zmieniło, szkoły musiałyby odzyskać swobodę i podmiotowość w zakresie wychowania oraz zapewnienia uczniom bezpieczeństwa. Państwo i media musiałyby się cofnąć o krok, gdyż poszły za daleko. Ale tego nie zrobią. Zbyt dużo mogą ugrać na atakowaniu szkół i poniżaniu nauczycieli [...].

Akcja się skończy i wszystko będzie po staremu. Z jednej strony chorobliwa centralizacja, z drugiej narastająca frustracja młodzieży. Jeżeli więc w prawie 40-milionowym państwie premier osobiście musi zapewnić bezpieczeństwo każdej szkole, to nawet Bóg wszechmogący nie podołałby takim obowiązkom.

Tomasz Derecki,
wieloletni nauczyciel, dyrektor liceum ogólnokształcącego, wizytator MEN, obecnie ekspert Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej w Łodzi

eprasa.pl 4ba9d97331



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nowe spotyka stare

Zarząd Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka postanowił zabrać głos w sprawie kryzysu Trybunału Konstytucyjnego. W sensie ścisłym: stanowisko zajął zarząd Fundacji. Ocenił on, że podstawy prawne odsunięcia prezesa Bogdana Święczkowskiego i wiceprezesa Bartłomieja Sochańskiego od wykonywania obowiązków są wątpliwe. Zarząd HFPC zakwestionował też podstawy prawne zarządzenia sygnowanego przez Annę Korwin-Piotrowską zarządzającą przerwę w czynnościach służbowych prezesa TK i jego zastępcy. Autorzy oświadczenia wskazują, że TK znajduje się w głębokim kryzysie już od 2015 r., a obecne działania są niebezpieczne i pogłębiają sytuację kryzysową. Zarząd HFPC apeluje o reset konstytucyjny polegający na porozumieniu politycznym wymagającym zgody wszystkich stron. Oświadczenie było bardzo stonowane i unikano w nim oskarżeń o jakiekolwiek zaangażowanie polityczne. Tymczasem w reakcji na nie większość członków rady Fundacji ustąpiła. Było to aż sześcioro z ośmiorga członków Rady HFPC. Na ten protest zdecydowali się m.in. Henryka Bochniarz, prof. Wojciech Sadurski czy prof. Andrzej Rzepliński. Jedna z ustępujących członkiń rady, Hanna Machińska, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" zarzuciła zarządowi, że w dostatecznym stopniu nie pokazał źródeł kryzysu wobec TK. Skomentowała też, że zarząd ma zbyt małą wiedzę prawną, by ferować takie oświadczenia. Jak wyjaśniła, nie był to „pierwszy tego typu kryzys w naszych stosunkach, ale na pewno najpoważniejszy". Jak ujawniła, wcześniejszy konflikt dotyczył innego oświadczenia zarządu, który zarzucał ministrowi sprawiedliwości Waldemarowi Żurkowi – w sprawie projektu ustawy praworządnościowej – łamanie konstytucji.

Trudno nie odnieść wrażenia, że w tej kwestii doszło do zderzenia dwóch światów. Owych sześcioro członków rady, którzy trzasnęli drzwiami, to typowi przedstawiciele epoki pierwszych 20 lat istnienia III RP. Elity prawniczej, która zdecydowanie występowała przeciwko dekomunizacji, lustracji i uważała siebie za heroldów obozu europejskiego, a w sensie politycznym zazwyczaj identyfikowała się czy to z dawną Unią Wolności, czy z obozem Aleksandra Kwaśniewskiego. Właśnie oni byli ważnymi uczestnikami sporów z lat 1990–2015, w których bardzo często używa się wielkich słów dla maskowania partykularyzmu politycznego. To oni byli hołubieni przez „Gazetę Wyborczą" czy TVN. To oni rzucali gromy na wszystkich tych, którzy wskazywali, że środowisko sędziowskie zamienia się w niezwykle egoistyczną kastę. Teraz, gdy zarząd HFPC nie potrafi milczeć wobec ewidentnego łamania prawa, stare autorytety są zszokowane. Jak można nie wesprzeć słusznej władzy w momencie kryzysu?!

Powiem szczerze, że odwaga obecnego zarządu w zderzeniu ze sposobem myślenia starych patronów fundacji to jeden z niewielu akcentów dających pewną dozę optymizmu w niewesołym zeszłym tygodniu. Ta różnica pokoleniowa akurat budzi nadzieję na większą normalność w naszym kraju. ©℗



FOT. JAP

NOWY REKORD PRĘDKOŚCI AUTA: PONAD 500 KM/H

Yangwang U9 Xtreme o mocy 3019 KM na drodze Sheikh Khalifa Bin Zayed w Abu Zabi osiągnął prędkość 503,17 km/h. Ustanowił tym samym rekord Guinnessa w dwóch kategoriach: najwyższej prędkość osiągniętej przez samochód produkcyjny w przejeździe w jednym kierunku i najwyższej prędkości osiągniętej przez elektryczny samochód produkcyjny w przejeździe w jednym kierunku.

Jacek Przybylski z Abu Zabi ©℗

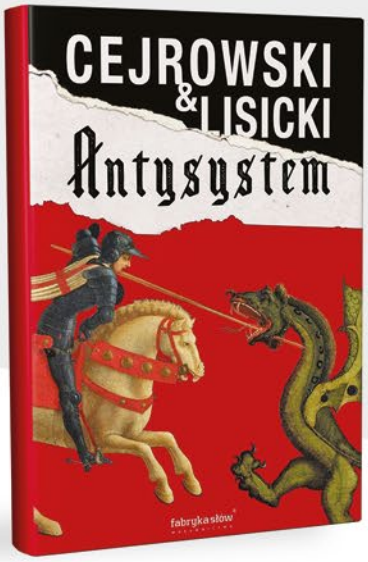
eprasa.pl 4ba9d97331

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WOJCIECH CEJROWSKI, PAWEŁ LISICKI: „ANTYSYSTEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1343~~ ZŁ

549,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 794 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 4ba9d97331



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zbuntowane togi

Sędziowie zaczynają Donaldowi Tuskowi wierzgać. Warszawski Sąd Rejonowy odrzucił roszczenia trzech osób, które w 2015 r. Sejm, wtedy zdominowany przez PO, wybrał legalnie na sędziów Trybunału Konstytucyjnego (razem z dwoma nielegalnymi, od czego zaczęła się cała trybunalska chryja), ale prezydent nie odebrał od nich ślubowania. Sędziowie elekci domagali się zaległej kasy z Trybunału. Sąd odmówił, idąc za ówczesną decyzją prezesa TK Andrzeja Rzeplińskiego: nie będąc zaprzysiężeni, nie weszli w „stosunek pracy", więc wynagrodzenie im się nie należy. Niby stara sprawa, ale tym samym sąd orzekł, że sędziami TK nigdy nie zostali także Anna Korwin-Piotrowska i większość jej „dwóch trzecich".

„Rzeczpospolita" doniosła z kolei o odszkodowaniach przyznawanych przez sądy powszechne kolejnym prokuratorom, którzy padli ofiarą czystek Bodnara i Żurka. Bezprawnie zwolnionym z funkcji i z delegacji Ministerstwo Sprawiedliwości musi wypłacić już łącznie 4 mln zł, a wiele podobnych spraw jest w toku – na razie wszystkie ministerstwo przegrywa.

No i sensacja sezonu. Sąd Okręgowy w Katowicach nakazał aresztowanie Wojciecha Króla, szefa Rady Mediów Narodowych, ściganego przez tzw. prokuraturę europejską pod zarzutem sprzeniewierzenia funduszy unijnych i przyjmowania łapówek za zlecane kontrakty. Chodzi o tego samego Króla, którego jak niepodległości bronił marszałek Czarzasty, przetrzymując miesiącami w „zamrażarce" pisma europrokuratury o uchylenie mu immunitetu. Potem bronili tego immunitetu jego partyjni koledzy, a gdy już musieli go uchylić, zrobili to w innym niż planowano dniu, przypadkiem trafiając w „dyżur aresztowy" sędziego, który zaordynował „wolnościowe" środki zapobiegawcze. Unia jednak nie odpuściła, Króla aresztowano w sali sądowej i oddano w ręce europejskich siepaczy.

Odnoszę wrażenie, że „nadzwyczajna kasta" chce w ten sposób coś powiedzieć ekipie, którą dotąd bezkrytycznie popierała. Ciekawe, co i czy premier to rozumie. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Poruszyć uśpioną strunę

Pewnie wielu z nas (wiem z rozmów ze znajomymi) ma doświadczenia z dzieciństwa wieczoru spędzonego przy ognisku. Ze śpiewniczków czy z pamięci, z gitarą lub bez niej do późna śpiewaliśmy piosenki. Raz głośno, innym razem zaledwie nucąc, przeżywaliśmy cudowne chwile. Uczucie silnej więzi, takiej, że chciałoby się zatrzymać czas, że niemal siłą trzeba było zaganiać nas na nocleg.

Podobnie było w domu z kolędami, ale te – jak wiemy – to tylko krótki okres świąt i potem trzeba czekać rok. Tęskniąc za takim uczuciem, od kilkunastu lat, w weekend poprzedzający Narodowe Święto Niepodległości, ze znajomymi spotykamy się i śpiewamy pieśni patriotyczne. Z czasem grono się rozrosło, ludzi i piosenek przybyło. Na potrzeby naszych spotkań zredagowałem i wydrukowałem śpiewniczki i tak stworzyła się „nowa świecka tradycja".

Kiedyś, w licznych rodzinach i wielopokoleniowych domach, pewnie łatwiej było wykrzesać taki wieczór. Ale i dziś, przy odrobinie wysiłku, korzystając z tekstów dostępnych w sieci (polecam stronę spiewnikniepodleglosci.pl), można spróbować zorganizować wspólne śpiewy. Urocze, proste melodie szybko wpadają w ucho, a przecież wielu, ze szkoły czy z harcerstwa, pamięta przynajmniej po jednej zwrotce.

W mojej praktyce sprawdza się ułożenie chronologiczne – od „Pieśni Konfederatów Barskich", przez „Warszawiankę 1830", pieśni powstania styczniowego, pieśni legionowe, piosenki obu wojen światowych, przez powstanie warszawskie, aż do współczesnych hitów, jak np. „Żeby Polska była Polską", „Ojczyzno ma" i „Wolność – Te Deum".

W czasie zamętu, bezprawia i eskalacji wrogości może pieśniami będzie można odbudować więzi, wzmocnić ducha i doświadczyć owego zapomnianego uczucia wspólnoty. Przesłanie tekstów i piękne melodie przeniosą nas w inny czas, poruszą uśpioną strunę, rozpalą wyobraźnię. Polecam spróbować! ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Bogini trybunałowa!

Ja myślę, że ona wyda to zarządzenie, że jest boginią, i nakaże kult swojej własnej, świetlistej osoby, jakby wszechmocnej Anny Korwin-Piotrowskiej, co prawda leciutko niepełnosprytnej. Ale co tam? W tych okolicznościach to nawet zaleta. Co jej zależy? Stop. Czcić ją będą premier Donald Tusk, minister Marcin Kierwiński i ci profesorowie prawa, których Krzysztof Bosak nazwał prawniczymi prostytutkami (legion ich). Stop. Ona, Anna Korwin-Piotrowska, może przecież wszystko, tak przynajmniej jej się wydaje do czasu, jak ma za sobą ZOMO z tarczami i w białych kaskach. Stop. Co? Że nie ma już ZOMO? No, tu mógłbym polemizować, ale zostawmy dygresje. Stop. Tusk na policyjnych pałach wprowadził do Trybunału Konstytucyjnego tę osobopostać dynamiczną. Stop. I ona wzięła sobie i wydała zarządzenie, że zawiesza prezesa TK i wiceprezesa TK, i kompletnie ją to nie obchodziło, że nie ma prawa, że nie może, że przepisy jej na to nie pozwalają. Stop. Potem usiadła z ośmioma osobami i uznały te osoby, że jest ich 10. Stop. Serio, naprawdę, usiedli i przeczytali kolejny punkt spotkania towarzyskiego, które nazwali dla niepoznaki Zgromadzeniem Ogólnym, a brzmiał ten punkt zdaje się tak: „Przechodzimy do punktu, w którym robimy z prawa i logiki prostytutkę, a z wyborców Tuska nic już nie musimy robić, bo oni są już ukształtowani odpowiednio, he, he". Stop.

Tu pani Ani poszło bardzo sprawnie, prawo i logika wyszły po spotkaniu z nią i z pokrętną siódemką naprawdę zużyte w sposób niegodny, ledwo szły. Stop. Sprostytuowana demokracja bardzo spodobała się elitom Unii Europejskiej i innym pokrętniakim. Stop.

Jest jednak parę osób, które robią wbrew pani Ani, sprytnej w sposób nieoczywisty. No np. sędzia Barbara Piwnik, była minister sprawiedliwości, która mówi, że ta przyszła bogini Korwin-Piotrowska nie jest żadnym sędzią Trybunału Konstytucyjnego i nie mogła zawiesić prezesa Bogdana Święczkowskiego. Stop. Za to znany konstytucjonalista prof. Ryszard Piotrowski twierdzi, że Anna Korwin-Piotrowska nie jest żadnym sędzią Trybunału Konstytucyjnego i w ogóle że to całkowite bezprawie i kryminał. Stop. Och wy, malkontenci, się ogłosi boginią, to inaczej będziecie śpiewać! ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

CZEREPACH Z TVP

Ciekawe, że zainteresowanie polityką celebrytów spada wprost proporcjonalnie do długości trwania rządów Donalda Tuska. Kiedyś co tydzień na proteście, dziś – ważniejsze jest dosłownie wszystko. Honor gwiazd zaangażowanych ratuje aktor Artur Barciś, który obok Joanny Szczepkowskiej regularnie komentuje dla TVP w likwidacji bieżące wydarzenia. Nie mogło zabraknąć więc komentarza w sprawie siłowego przejmowania Trybunału Konstytucyjnego. – Są dwie Polski – stwierdził filozoficznie Artur Barciś. Na antenie TVP Info aktor przypomniał scenę z „Rancza", w której grany przez niego bohater, Arkadiusz Czerepach, tłumaczył, dlaczego zwaśnione grupy nie potrafią znaleźć wspólnego języka. – Twórcy „Rancza" przewidzieli, bo jest w jednym z odcinków taka genialna scena, w której Czerepach tłumaczy, stawia diagnozę, jak wygląda Polska – powiedział aktor. Dalej przypomniał serialowe porównanie Polaków do Greków i Bułgarów, którzy inaczej odczytują gesty potwierdzenia i zaprzeczenia. Ilustrował je ruchami głowy, pokazując m.in. kiwanie w górę i w dół, oznaczające w Polsce zgodę – ten sam ruch dla jednej strony znaczy „tak", dla drugiej „nie". – Te dwie nacje się po prostu nie dogadają w żaden sposób i mamy tego przykład. To właśnie tak wygląda, że są dwie Polski – analizował. Artur Barciś dodał, że serialowa diagnoza nie ograniczała się do dwóch skłóconych obozów. – Do tego wszystkiego jeszcze, i to jest genialność tego scenariusza, to jest tylko połowa. Bo druga połowa ma to w nosie i generalnie ich to w ogóle nie interesuje – dodał. Aktor nie ukrywa, po czyjej stronie w sporze stoi. – Kiedy 15 października wygrała jedna opcja, którą my popieraliśmy, to ta druga opcja postanowiła nie dać, czego się tylko da. Jedną z tych rzeczy był Trybunał Konstytucyjny i to jest cały czas walka właśnie o to. I to jest cały czas ten sam spór – podsumował.



FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

JUNIOR ZA TRZY PUNKTY

Koszykarz Marcin Gortat gościł w podcaście Radosława Majdana, gdzie podzielił się urzędowymi perypetiami. W styczniu wraz z żoną powitali na świecie synka. Gdy Gortatowie zostali rodzicami, sportowiec ogłosił na Instagramie: „Marcin Gortat Junior przyszedł na świat". – Zadzwoniliśmy do urzędu miasta, żeby paszporty przygotować itd. Pytają się: „Jak się syn nazywa?". „Marcin Gortat Junior". „Ale nie ma czegoś takiego jak Junior na końcu w polskim prawie". Mówię: „Ale dlaczego nie ma, są nazwiska przecież: jest Andrzej Pluta Junior, Igor Milicić Junior". „No tak, ale oni nie mają tego w paszporcie". Ja mówię: „Wie pani co, ja do pani oddzwonię" – relacjonował. Następnie koszykarz zadzwonił do kolegi po fachu, Andrzeja Pluty, który dał swojemu synowi swoje imię. Gortat zapytał: „Twój młody ma Junior w paszporcie?". – Nie ma. Tylko Andrzej Pluta. Jedynie w telewizji dodają i tak się przyjęło – usłyszał w odpowiedzi. To go jednak nie zniechęciło. Gdy ponownie zadzwonił do urzędu, został zapytany o drugie imię syna. Chciał, żeby było nim „Junior", ale urzędniczka była nieugięta. – Patrzymy się na siebie z Żanetą i mówię: „Junior". „Nie może być Junior". „Dlaczego?". „Bo musi być drugie imię". „Proszę pani, to będzie Junior". „Ale nie może być Junior" – relacjonował. Coraz mocniej poirytowany Gortat przywołał argument zza oceanu i powołał się na Elona Muska. – Mówię: „Proszę pani, Elon Musk nazwał swoje dziecko X, to ja mogę ku.wa nazwać Junior" – wypalił Gortat. Wtedy urzędniczka miała się skonsultować z kierowniczką i wrócić z informacją, że „Junior" może jednak być. – Został Marcin Junior Gortat i tak to się przyjęło – podsumował dumny sportowiec. Gdyby kogoś interesowało, to dziecko Elona Muska zostało przez rodziców nazwane X Æ A-12. Zaprawdę fantastyczny przykład, fantastyczny.

SUBSKRYPCJA NA ŚMIECI

À propos bujnej wyobraźni przedstawicieli naszego show-biznesu. Dwudziestodziewięcioletnia influencerka lifestyle'owa Lila Janowska prowadzi wraz z przyjaciółką, również influencerką Weroniką Białek, podcast „Besties". Tam w luźnej atmosferze poruszają tematy z życia prywatnego – jednym słowem ploteczki. W jednym z odcinków dołączyły do nich kolejne dwie influencerki, Natalia Trojan oraz Julia Łuńska, by wspólnie podyskutować o swoich życiowych przekonaniach. Łuńska oświadczyła, że „śmieci zawsze wynosi facet z domu, sorry". Problem, gdy partnera brak. – Ja strasznie cierpię, że nie mam komu dawać tych śmieci do wynoszenia – wyznała Trojan. Wtedy na „genialny" pomysł wpadła Białek. – Fajna by była taka aplikacja, gdzie zamawiasz sobie kogoś, kto ci wynosi te śmieci, to by było super – ogłosiła. – Może trzeba taką założyć. Subskrypcję sobie tam wykupujesz i po prostu w jakiś konkretny dzień w nocy wystawiasz te śmieci, wiadomo, żeby też nikomu nie przeszkadzały. I po prostu nad ranem koleś chodzi po bloku, zbiera je. Ja bym na pewno wzięła subskrypcję. Jeszcze segregacja i wszystko... – rozwinęła pomysł Janowska. Wtedy Natalia Trojan wyznała, że prawdziwym problemem są dla niej kartony po paczkach PR. – Szczególnie jak często mam pełno tych kartonów. Czasami trzeba iść do tego śmietnika na trzy razy – żaliła się. Tak zwane problemy pierwszego świata. ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, obserwujemy tę całą inbę wokół Trybunału i musimy przyznać, iż dzieją się tam rzeczy, które nas cieszą, ale też jednocześnie takie, które nas smucą.

Przede wszystkim bardzo nas cieszy zapowiadane przez polityków koalicji rządzącej „oddanie Trybunału Konstytucyjnego" obywatelom. My jako obywatele chętnie przyjmiemy znów Trybunał, odbity z chciwych pisowskich łap, na pewno nam się przyda, kiedy będzie trzeba dyskutować o prawie do wyboru czy transkrypcji aktów.

Jednocześnie musimy podkreślić, iż nie każdy, kto mieszka w tym kraju, powinien być obywatelem – i to może też Trybunał rozstrzygnie. Of kors nie chcemy nikogo wykluczać ani dyskryminować, no ale jeśli Trybunał ma należeć ponownie do obywateli, to chyba nie chodzi tu o starszych, gorzej wykształconych mieszkańców małych miejscowości, którzy głosują na szeroko rozumianą prawicę. W tym myśleniu pod pojęciem obywateli są wszyscy ci, którzy cieszą się z powodu odsunięcia pisowskich dublerów i przywrócenia TK w praworządne ręce.

Co nas jeszcze cieszy, to kreatywne podejście do matematyki. Od dawna powtarzaliśmy, iż w dotychczasowym kształcie matematyka była nauką nie do obrony w aktualnych uwarunkowaniach społecznych i w świetle tego, co wiemy o naturze człowieka. Nie może być tak, iż coś jest nadane raz na zawsze, a wyniki działań mogą zależeć w dużej mierze od dyspozycji wykonującej je osoby, od koniunkcji gwiazd, od warunków biometeorologicznych – nie każdemu przecież wyjdzie to samo i to jest jak najbardziej okej.

Dlatego z satysfakcją przyjęliśmy, iż nowy, odzyskany Trybunał usankcjonował, iż wynik dwie trzecie z 15 to osiem – widocznie taka była potrzeba chwili, takie było społeczne oczekiwanie wobec matematyki i mamy nadzieję, że skoro przykład idzie z góry, a na górze mamy już właściwy TK, to teraz programy nauczania oraz podejście nauczycieli zostaną odpowiednio sformatowane.



Co nas z kolei nie cieszy, to to wielkie lekceważenie i brak szacunku, jakie Nawrocki okazał Senegalczykom. To tak, jakbyście się zapowiedzieli u przyjaciół, ale zawrócili w połowie drogi, a biorąc pod uwagę lata kolonializmu i wyzysku kontynentu afrykańskiego przez białych Europejczyków, powinniśmy tu być szczególnie wrażliwi i uważni. Zabrakło wyczucia i taktu, nie pierwszy raz.

Nie cieszy nas również upadek niektórych prawniczych autorytetów, które do tej pory stały po właściwej stronie, a teraz postanowiły w najlepszym razie zapisać się do symetrystów, a w najgorszym stały się kryptopisowcami. Przynajmniej tyle z tego, iż wiemy, żeby na przyszłość ich już nie słuchać.

W ogóle to niepostrzeżenie, ale nadszedł ten moment w roku, kiedy ma przejść Marsz Niepodległości. Na szczęście mieszkamy w Krakowie i nie będziemy musieli oglądać tego pochodu nacjonalistów, ale i tak na wszelki wypadek zostaniemy tego dnia w domu i nakryjemy się kołdrą, iżby nie dotarły do nas żadne echa tych stukających w warszawski bruk ciężkich, podkutych i brunatnych buciorów.

Jest to zarazem dobra okazja, iżby przypomnieć wszystkim, na czym polega nowoczesny patriotyzm. Otósh jak zawsze: trzeba zbierać kupy po psiecku, kasować bilety w tramwajach i sortować śmieci. Do tego w ostatnim czasie doszły nowe obowiązki, jak oddawanie butelek na kaucję. To są przykłady tego, jak można wyrażać patriotyzm we współczesnym świecie.

Dlatego pamiętajcie: 11 listopada, jak już przejdzie marsz, wyjdźcie na ulice, pozbierajcie kupy po psieciach (nawet cudzych), oddajcie jakąś butelkę, podnieście papier z chodnika. Nawet jeśli nikt tego nie zauważy, to pomyślcie, iż należycie do tej milczącej większości, która wie lepiej. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Podeptane buty

Panie premierze, nie tak się umawialiśmy!

Ale o co znowu chodzi, pani sędzio?

On mi buty podeptał, cham! Jednego, znaczy się!
No i?

To nie są jakieś zwykłe buty. Nowe były, pięć tysięcy kosztowały.

To sobie pani z funduszu reprezentacyjnego weźmie.

Ale my nie mamy budżetu na razie!
Dobra, blika pani zrobię z prywatnych. A w ogóle to drzwi trzeba było zamknąć na zamek i tyle. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Mam alergię na zapach ruskich onuc".

RADOSŁAW SIKORSKI, *wicepremier, minister spraw zagranicznych, na wprost.pl o zaproszeniach na Radę Bezpieczeństwa Narodowego*

eprasa.pl 4ba9d97331

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W związku z ostatnimi wydarzeniami zmuszeni jesteśmy do ogłoszenia, że odtąd w naszej rubryce rząd urzędujący aktualnie w Alejach Ujazdowskich nazywany będzie „rządem puczystowskim”, ewentualnie „puczystowskim rządem Donalda Tuska”. Nie żeby nas to napawało jakąś satysfakcją. Chodzi jednak o to, by odpowiednie dać rzeczy słowo.

Wnioskujemy jednocześnie o zmianę nazwy miasta Piotrków Trybunalski na Piotrków Przejęty. Nie dlatego, żeby doszło tam do jakichś strasznych wydarzeń, ale dlatego, że w sprawach językowych cenimy spójność. Inna sprawa, że samo miasto zostało już dawno temu przejęte przez ugrupowanie stanowiące trzon puczystowskiego rządu Donalda Tuska.

Jeden z naszych znajomych używał określenia „wierutna prawda”. Jak ulał pasuje ono do twierdzeń Żurka, ministra puczystowskiego rządu Donalda Tuska, i innych przedstawicieli reżimu, jakoby osobie głowy państwa Karolowi Nawrockiemu proponowano bezpieczniejszy wjazd na teren Trybunału Konstytucyjnego od strony kancelarii premiera. Otóż – jak ustaliśmy – nic takiego nie miało miejsca. Propozycji takiej nie przekazano ani prezydentowi, ani nikomu z jego otoczenia. I to właśnie jest wierutna prawda.

Natomiast słuchać w ludzie PiS-owskim szmery niezadowolenia na Godzillę, jak się popularnie zwie prezesa TK Bogdana Święczkowskiego. Dlaczego? Otóż tu i ówdzie obwinia się go o to, że nie wszedł był do siedziby Trybunału wraz z osobą głowy państwa, Karolem Tadeuszem. Z tego, co słyszeliśmy, nie był to akt zdrady ani decyzja Godzilli. Decyzję taką podjęli sędziowie TK, którzy chyba nie docenili powagi sytuacji i wydelegowali do akcji wiceprezesa TK Sochańskiego. Żałujemy. Gdyby Godzilla wchodziła wraz z prezydentem Karolem Tadeuszem, prawdopodobnie trzeba byłoby omdlałą ze strachu Korwin-Piotrowską cucić solami trzeźwiącymi.

Tymczasem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i innych okolicznych urzędach kontrolowanych przez puczystowski rząd Donalda Tuska ochrona zaczęła sprawdzać bagażniki pojazdów, którymi na teren wjeżdżają pracownicy. Bardzo nam się spodobał żarcik jednej z wiewiórek, która zapytana przez nas, „czego szukają w tych bagażnikach”, odparła: kworum.

Niektórzy zadają sobie pytanie, kto i ile może zyskać na wspieraniu zamachu stanu przeprowadzanego przez puczystowski rząd Donalda Tuska. Otóż w przypadku niektórych mniej więcej wiadomo ile. Weźmy np. inspektora Tomasza Znajdka, I zastępcę ko-

eprasa.pl 4ba9d97331

mendanta stołecznego policji do spraw prewencji, tego, który kierował skokiem na Trybunał. Takie pytanie zadamy: Czy to prawda, że właśnie otrzymał nowe, większe mieszkanie służbowe?

Sprawa jest w ogóle szalenie ciekawa. Pytamy zatem dalej. Czy to prawda, że w Wydziale Administracyjno-Gospodarczym oraz w Wydziale Inwestycji i Remontów KSP mówią, iż wszystkie pieniądze, które były przeznaczone na remonty w tym roku, idą na to właśnie mieszkanie? Czy to prawda, że poprzednie znajdkowe było na parterze i podobno krzaki zasłaniały Znajdkowi widok? I teraz najlepsze: Czy to prawda, że budynek, w którym jest nowe mieszkanie, ma przejść niedługo do zasobów miasta stołecznego Warszawy i będzie można w nim to i owo wykupić za grosze lub otrzymać w ramach darowizny?

Żeby było zabawniej, w warszawskich pojazdach komunikacji publicznej na ekranach reklamowych trwa akcja zachęcania do pracy w policji. Wymieniane są wysokie wynagrodzenie, liczne benefity, dodatki, trzynastka oraz inne atrakcje. Poddajemy myśl, by poprawić ostatni kadr i jednak dopisać: „Mieszkanie oraz wyrok za wspieranie zamachu stanu – gratis".

W Warszawie tymczasem finisz plebiscytu na Warszawiankę Roku. Nasz wybór jest prosty: Anna Korwin-Piotrowska. Dla tych, którzy wskazują, że to chytra baba z Opola (choć z urodzenia z Wrocławia), mamy odpowiedź: ale już sobie załatwiła miejscówkę w Warszawie! I to na Szucha! W jedną noc! W związku z tym, że obecnie Korwin-Piotrowska śpi, je oraz wykonuje inne czynności w Warszawie, a dokładnie w siedzibie Trybunału Konstytucyjnego, uważamy ją za więcej niż uprawnioną do wygranej w konkursie na Warszawiankę Roku. Poza tym patrząc na jej zachowanie – ona tu po prostu pasuje.

Mało kto pamięta, że dla Warszawianki Roku powstała nawet kiedyś specjalna piosenka okolicznościowa. Jej najbardziej znane fragmenty to: „Hej, kto Polak, na bagnety! / Żyj, swobodo, Polsko, żyj! / Takim hasłem cnej podniety / Trąbo nasza, wrogom grzmij" oraz: „Powstań, Polsko, skrusz kajdany / Dziś twój tryumf albo zgon!". Zgadzamy się z tym przesłaniem.

Tymczasem w innym ważnym gmachu na Szucha, czyli w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Już wiemy, dlaczego taki opór budzi kwestia obsady placówki w Waszyngtonie. Otóż zapewne chodzi o nazwisko kandydatki Pałacu Prezydenckiego. A nosi ona bardzo zacne nazwisko Joanna Pilecka. Co prawda, nie jest spokrewniona z rotmistrzem, ale w gmachu MSZ kontrolowanego przez ministra puczystowskiego rządu bardziej ceni się nazwiska wręcz przeciwne. Takie jak np. Schnepf. A to, że pani Pilecka jest byłym ambasadorem, zna pięć języków i ma doskonałe opinie jako dyplomatka – mniejsza o to.

Jeśli już jesteśmy przy ambasadorach. Gruchnęła wieść, że gen. Kujawa, czyli zwierzchnik służb specjalnych, idzie w dyplomację. Nikt jednak nie napisał dokąd. Nadrabiamy tę zaległość. Otóż słyszeliśmy, że ma objąć placówkę w Helsinkach. Zważywszy na to, że Finowie mają z Ruskimi i Sowietami podobne doświadczenie do naszego, wysłanie generała służb wydaje się trafionym pomysłem. Ale chyba jednak nie na tyle, by tę nominację klepnął prezydent Karol Tadeusz. Generał będzie zatem szarżował czy też czardżował, znaczy pełnił funkcje chargé d'affaires.

Mamy natomiast wieści o nominacji, ku której prezydent Karol Nawrocki bardzo się przychyla. Tyle że nie jest to nominacja ambasadorska. Sprawa dotyczy nawracającego się na prawicyzm Misia Kamińskiego. Otóż miałby on kandydować jako bezpartyjny kandydat na senatora z list prawicowego paktu senackiego. A dokładnie – nie z PiS, nie ze STROP-u czy Konfederacyj, ale z puli tzw. miejsc prezydenckich.

Podczas gdy w Polsce puczystowski rząd Donalda Tuska przeprowadza zamach stanu, w Brukseli, w europarlamencie, emocje wywołują zupełnie inne sensacyjne wydarzenia. Otóż ostatnio przeniesiono w gmachu europarlamentu portret Myszki Miki z trzeciego piętra na pierwsze. Wszyscy o tym mówią, w odróżnieniu od działań puczystowskiego rządu Donalda Tuska. Nas to nie dziwi. Gdzie jest Polska – wie mało kto. A gdzie jest Myszka Miki – wiedzą wszyscy. Aktualnie na pierwszym piętrze.

Działy się jednak w europarlamencie także sprawy ciekawsze. Otóż złagodzono przepisy, wedle których w Unii Europejskiej do roku 2035 wszystkie samochody miały być elektryczne. I teraz już mowa jest nie, że 100 proc., tylko 87,5 proc. Jest szansa, że w przyszłym, nowo wybranym europarlamencie ta kontrrewolucja kopalna będzie kontynuowana.

Na koniec wracamy do spraw funeralnych, czyli ostatecznych. Nie zdążyliśmy bowiem przed Zaduszkami, ale wiadomość smaczna. Słyszeliście, że lewica postkomunistyczna to twardzi zwolennicy rozdziału Kościoła od państwa? No to posłuchajcie tej historii. Dyrektorem Szpitala Praskiego w Warszawie jest długoletni radny SLD Andrzej Golimont. A dokładniej: doktor Golimont. Jest tylko jeden problem. Nie jest on doktorem nauk medycznych, ale teologii. Jakby tego było mało, facet dodatkowo jest księdzem. Wprawdzie dopiero od dwóch lat, kiedy to przyjął święcenie subdiakonatu, a następnie diakonackie. Żeby było jeszcze zabawniej, facet od lat figuruje w stopce redakcyjnej tygodnika „Nie", który trudno uznać za pismo klerykalne.

Gdzie tu wątki funeralne? Objaśniamy. Otóż Golimont przyjaźnił się nie tylko z Urbanem, lecz także z Kiszczakiem. I to właśnie on załatwił temu ostatniemu religijny pochówek na cmentarzu prawosławnym na Woli. Wprawdzie batiuszka się opierał, bo prawosławie zasadniczo odrzuca kremację, a Kiszczaka skremowano. Jednak interwencja z samej góry przełamała opór duchownego. A sama góra to nie kto inny jak sam zwierzchnik polskiego prawosławia, abp Sawa. Przez zupełny przypadek TW „Jurek", konfident bezpieki. I to właśnie tenże kapuś udzielał święceń temu Golimontu. Jesteśmy w domu? ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331

FRANCJA W OGNIU

Francją wstrząsnęły potężne protesty, zakłócając działanie większości szkół średnich i uniwersytetów, a także kursowanie pociągów. Odnotowano liczne starcia z policją i podpalenia. Z uwagi na demonstracje zamknięto dla zwiedzających Wieżę Eiffla.

Francuzi protestują przeciwko wzrostowi kosztów życia i oszczędnościom budżetowym, które planuje rząd. W Lyonie demonstranci starli się z policją, a w Tournefeuille doszło do podłożenia ognia pod budynek liceum przez zamaskowane osoby. Uczniowie zostali ewakuowani.

Strajkują prawie połowa kadry nauczycielskiej, a także pedagodzy i psycholodzy. Do demonstracji dołączyły również związki zawodowe z sektora publicznego i liczne organizacje licealistów i studentów.

Udział w protestach w Paryżu zadeklarowało 80 tys. osób. ***(AZ)*** ©℗

FOT. GUILLAUME SAULGO1/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 46.30.97.331


15



Naczelnik kontra Namiestnik



Rafał A. Ziemkiewicz

Kryzys w Trybunale Konstytucyjnym pokazał, że Karol Nawrocki czuje się w roli silnego przywódcy doskonale, a Donald Tusk nie za bardzo

Generał George Patton, charyzmatyczny amerykański dowódca z czasów drugiej wojny światowej, miał mawiać, że „żołnierze są jak makaron" – dowódca musi ich za sobą ciągnąć, a nie próbować pchać przed sobą. Wtargnięcie prezydenta Karola Nawrockiego do zajętego przez policję i wyznaczonych przez premiera sędziów uzurpatorów miało w sobie coś, co nieodparcie kojarzy się z tą maksymą. Ochrona pozostała z tyłu nie wskutek rozmyślnego opuszczenia prezydenta, o co była w pierwszej chwili podejrzewana, ale dlatego, że taka była jego decyzja, gdy ruszył na policyjny kordon ze słowami: „Prezydent idzie!".

AKCJA STARANNIE ZAPLANOWANA

Postawa Donalda Tuska przypominała zachowanie dowódcy ze starego filmu „Kroll", który posyłając kaprala do wątpliwej z punktu widzenia regulaminów akcji, mówi mu: „Wiecie, jak jest – albo my ich, albo oni was!". Prawdziwy sprawca wszystkiego, co się dzieje, swoim zwyczajem schował się na zapleczu. Formalnie inicjatorką całej akcji siłowego wejścia do siedziby Trybunału Stanu jest do niedawna nikomu nieznana Anna Korwin-Piotrowska, osoba, delikatnie mówiąc, o charyzmie kierowniczki prowincjonalnej poczty. To ona miała po znalezieniu się w budynku (tu pierwsza luka w oficjalnej narracji: w jaki sposób?) stwierdzić, że bezpieczeństwo sędziów zagrożone jest przez ustawione na zewnątrz od wielu dni miasteczko namiotowe, i zadzwonić po policję, której patrol w liczbie kilkuset studentów szkół policyjnych i funkcjonariuszy z różnych stron Polski, w pełnym wyposażeniu do rozpędzania nielegalnych zgromadzeń, przechodził akurat w pobliżu (trudno nie dodać: „z tragarzami").

Wersja ta jest tak absurdalna, że szkoda miejsca na poważne roztrząsanie jej logicznych sprzeczności i jawnych kłamstw; najwyraźniej, choć policyjno-

eprasa.pl 4ba9d97331



Posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, 3 listopada FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

-sędziowska część akcji była starannie zaplanowana, nikt nie zadbał zawczasu o przygotowanie dla niej propagandowej oprawy i nawet najbardziej oddane Tuskowi media pogubiły się, zmuszone do improwizacji.

BRAK DOWODÓW

Cały przebieg wydarzeń został już szczegółowo opisany, i to bynajmniej nie przez media „prawicowe", a przez powiązany właścicielsko z fundacją Sorosa dziennik „Rzeczpospolita". Z jego ustaleń wynika, że bezpośrednim wykonawcą operacji „wejście do Trybunału" był Tomasz Znajdek – zastępca komendanta stołecznego, a sygnał wyszedł od komendanta głównego, Marka Boronia, który cały czas był na „gorącej linii" telefonicznej z ministrem Marcinem Kierwińskim; „pełniącą obowiązki przewodniczącą" wprowadził do budynku, poprzez teren kancelarii premiera, Jan Grabiec, a z realizacją przygotowanej zawczasu akcji czekano na moment, gdy zarówno prezydent, jak i przewodniczący Trybunału wyjadą na zagraniczne delegacje. Stronę „prawniczą" zabezpieczał Maciej Berek (Anna Korwin-Piotrowska, rozsyłając swe oświadczenia w formacie PDF, najwyraźniej nie wiedziała, że plik zawiera tzw. metadane, w które wystarczyło kliknąć, by zobaczyć, że faktycznym autorem jej zarządzeń był właśnie on).

Co ciekawe, posłowie PiS, którzy próbowali znaleźć w Komendzie Stołecznej i w KPRM dokumenty dotyczące akcji w drodze „kontroli poselskiej", stwierdzili, że ich nie ma. Nie sposób dotrzeć do rozkazów, nazwisk, kto nakazał policji wejście do Trybunału, kto ją wcześniej zgromadził – wszystko się w tajemniczy sposób rozpłynęło. Najwyraźniej podwładni Tuska przejęli jego zasadę „pod niczym się nie podpisywać".

CHWIEJNOŚĆ PREMIERA

Kontrapunktem dla działań prezydenta (ponoć w otoczeniu Tuska nie spodziewano się, że zawróci on znad Hiszpanii swój samolot, a tym bardziej że wraz z pierwszym prezesem Sądu Najwyższego osobiście pojawi się pod Trybunałem i wejdzie do budynku) miało być orędzie premiera, w którym uzasadnił on podjęte działania jako „konieczne". Orędzie wypadło fatalnie, Tusk był dziwnie opuchnięty, wyraźnie w złej formie fizycznej, żeby z nagranego w KPRM materiału sklecić pięciominutową, składną dla widzów wypowiedź, trzeba było – jak policzono – aż 21 cięć montażowych. Ponad wszelką wątpliwość w starannie przygotowanym planie nie przewidziano osobistego włączenia się weń „kierownika" i dopiero ruch Nawrockiego zmusił premiera do wyjścia z cienia.

Najważniejsze w tym wystąpieniu było jednak co innego. Tusk, nawet po ruchu prezydenta, nie pokazał się jako ten, który kontrowersyjną akcję nakazał i który za nią odpowiada. Nic w stylu: tak, musieliśmy wreszcie przeciąć ten prawniczy węzeł gordyjski, podejmuję taką decyzję, i odpowiem za nią przed wyborcami i historią. Wejście wynikało z jakichś nieokreślonych „konstytucyjnych" procedur, podjęliśmy ją „my", ale nie ja, jako premier, tylko „uprawnione organa" „realizujące zasady prawa", ja, jako premier, tylko akceptuję działania państwa i udzielam poparcia. Chwiejność postawy premiera wykorzystał prezydent, udzielając mu publicznie ostrej reprymendy na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego, wiedząc, że Tusk nie będzie miał okazji na nią odpowiedzieć.

EUROPA NAS OBRONI

Mówiąc krótko – kryzys pokazał, że o ile Karol Nawrocki czuje się w roli silnego przywódcy na trudne czasy doskonale, o tyle Donald Tusk nie za bardzo. Przez cała swą długą karierę był raczej politycznym intrygantem, sprytnie rozgrywającym gabinetowe spory i wykańczającym jednych konkurentów rękami drugich, niż charyzmatycznym wodzem. W kontaktach z wyborcami starał się być, wedle jego własnych słów, „fajnym kolesiem". Uwiódł Polaków obietnicą, że już nic wielkiego nie będzie się działo, że będą mogli wreszcie odpocząć po historycznych przełomach, pluskając się w „ciepłej wodzie", że spuścimy z ambicji i pogrążymy w konsumpcji, bo „kto ma jakieś wizje, niech idzie do lekarza". Obfitość dóbr do konsumowania miała oczywiście zapewnić Europa, z którą dobre kontakty, uwieńczone prestiżową, choć nie dającą realnie wielkich kompetencji funkcją przewodniczącego Rady Europejskiej, były i pozostają jego głównym atutem. Zarówno w 2007 r., jak i w 2023 r. wygrał wybory obietnicą, że „załatwi" Polsce miliardy z Unii Europejskiej, i podobną obietnicą – dopuszczenia do różnych płynących z tych miliardów synekur – zdyscyplinował swoje polityczne zaplecze.

Obecna sytuacja zmusiła go do wejścia w rolę odmienną – gdy straszy zagrożeniem ze strony Putina czy współpracujących z nim „nacjonalistów", siłą rzeczy musi ustawiać się jako przywódca, który Polskę przed zagrożeniami obroni i przeprowadzi przez niebezpieczeństwa. Ale czyni to połowicznie, stale wskazując na Europę jako siłę, która nas ochroni, dofinansuje i dopieści. Nie tylko nie budzi w Polakach wiary w siebie, przeciwnie – zabija ją i nasyca nas przekonaniem, że bez europejskiej ochrony, jakąkolwiek cenę przyszłoby za nią zapłacić,

eprasa.pl 4ba9d97331

zginiemy marnie. Niektórzy twierdzą, że takie dostał od swych mocodawców zadanie i nie zamierzam z tym polemizować – chodzi o to, że trudno taki przekaz łączyć z budowaniem charyzmatycznego przywódcy.

TRYBUNAŁ POLICYJNY

A czy da się walczyć z charyzmatycznym przywódcą, do której to roli aspiruje, na razie z powodzeniem, Karol Nawrocki, z pozycji namiestnika UE?

To jest podstawowe pytanie dla sporu o Polskę, którego bezprawne przejęcie kolejnej już instytucji przez ekipę Tuska jest tylko jednym z etapów. Czy sposób, w jaki tego Tusk dokonał, wzmocnił jego czy jego przeciwników, to temat wart osobnych rozważań. Na razie zastanówmy się nad możliwymi dalszymi scenariuszami.

Co orzeknie „nowy", ośmioosobowy „Trybunał Konstytucyjny" czy raczej – jak już nazwała go opozycja – „Trybunał Policyjny"? Mówiąc krótko: wszystko, co mu za pośrednictwem Berka każe orzec Tusk. Teoretycznie może uznać, że Karol Nawrocki nie jest zdolny do sprawowania urzędu, i powierzyć władzę Włodzimierzowi Czarzastemu albo dowolnej innej osobie, którą w danym momencie każe Tusk wybrać na marszałka Sejmu. Może uznać niekonstytucyjność wszystkich ustaw zgłoszonych przez PiS i wymówić część z umów międzynarodowych… Może też, skoro już w taki sposób został zaintromitowany, zrobić rzeczy, których teoretycznie, zgodnie z prawem, Trybunał Konstytucyjny robić nie może, np. cofnąć wyroki poprzednich składów TK, na czele z tym oprotestowanym przez Unię Europejską, że na terenie RP postanowienia Konstytucji RP są prawem najwyższym i stoją one ponad zaleceniami i orzeczeniami organów unijnych. Czyli po prostu pozbawić Polskę niepodległości.

Tym bardziej można sobie wyobrazić, że pani Korwin-Piotrowska rozwiąże Sąd Najwyższy albo zmieni w nim prezesa, pozwoli Sejmowi rządzić uchwałami niepodpisanymi przez prezydenta albo zgoła rozporządzeniami ministrów, upoważnić go do pozaprawnej ścieżki przyjęcia euro i odesłania polskich zasobów złota do wspólnego, unijnego skarbca… Skoro raz przyjęto za podstawę prawną niezdefiniowany „stan wyższej konieczności" i pozwolono, by organ władzy publicznej mianował się sam, „zawieszając" sobie wedle uznania głosujących przeciw (jak, nie przymierzając, Czarzasty zawiesił Rozenka i innych członków zarządu SLD, żeby w fikcyjnej fuzji z partią Biedronia przejąć ją i sprywatyzować jako Lewicę), to można nakazać, żeby dwa plus dwa równało się siedem.

REWOLUCJA WŁADZY WYKONAWCZEJ

Rzecz w tym, kto te wyroki wykona. Trybunał Konstytucyjny został przejęty siłą przez rewolucjonistów, więc stał się Trybunałem Rewolucyjnym i w takiej logice obecnie działa. To sytuacja znana w historii. Ale zawsze była ona tylko rezultatem rewolucji, a nie jej istotą. „Władza wyrasta z lufy karabinu" – mówił przewodniczący Mao. Jakobini, bolszewicy, faszyści czy inni tacy najpierw opanowywali przemocą władzę wykonawczą, a dopiero potem, po rozstrzygnięciu „kryterium ulicznego", powoływali legitymizujące dokonany przewrót i ogłaszające nowe, rewolucyjne prawo „trybunały". „Wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie", by użyć słów bohatera naszego narodowego eposu. To, co dzieje się obecnie w Europie – odwracanie tego procesu – nie ma żadnej analogii w dziejach. Rewolucji dokonuje władza wykonawcza, by utrzymać się u władzy, zaprzeczając swojej demokratycznej legitymacji i przenosząc ją na, użyjmy tego określenia, judykaturę, którą sama wyznaczyła. Piszę „w Europie", bo to, co robi w Polsce Tusk, wydaje się swego rodzaju próbą, poligonem przed działaniami szykowanymi na zachodzie Unii. Jeśli Tusk zdoła „wygraną w sądzie" przekuć w „wygraną w polu", to znaczy, jeśli okaże się, że polski „Trybunał" zainstalowany przez policję zdoła obalić wybranego przez naród prezydenta RP, to i francuski spróbuje zapewne unieważnić wyborcze zwycięstwo Marine Le Pen, a niemiecki zdelegalizować przed wyborami lub po ich wygraniu AfD.

Logika zdarzeń zmusza Karola Nawrockiego do wejścia w rolę przywódcy narodu, powstańczego Naczelnika w tradycji Kościuszki

Stąd poparcie Unii Europejskiej dla odgórnej rewolucji Tuska – niedwuznaczne, ale i wyrażane na tyle niejasno, że można sądzić, iż w stosunkach z Berlinem i Brukselą to on z kolei jest ustawiony na analogicznych pozycjach, na jakich sam ustawił Berka, Boronia czy Korwin-Piotrowską: albo ty ich, Polaków, Donaldzie, albo oni ciebie.

NADCHODZI STARCIE

Właściwie znaleźć potrafię tylko jedną historyczną analogię. Działanie Donalda Tuska przypomina to, co w latach 30. robił Adolf Hitler – ale nie w polityce wewnętrznej, tylko zagranicznej. Udawało mu się, do pewnego momentu, krok po kroku rozbijać ład wersalski, bo po każdym kroku jego przeciwnikom brakło woli przeciwstawienia się, uznawali, że kanclerz miał do swego postępku jakieś tam godziwe racje, na dodatek dzieliły ich rozbieżności interesów, na których rozpychający się przywódca Niemiec umiejętnie grał. Czy jednak społeczeństwa europejskie – a szczególnie polskie – okażą się równie bierne wobec coraz bardziej bezceremonialnych uzurpacji władzy i jej judykatury, jak dawni przywódcy Wielkiej Brytanii i Francji?

Tak czy owak, mamy wyraźnie zarysowany front nadchodzącego starcia i jasno nakreślone wizerunki publiczne protagonistów. Logika zdarzeń zmusza Karola Nawrockiego do wejścia w rolę przywódcy narodu, powstańczego Naczelnika w tradycji Kościuszki. Donalda Tuska umieszcza zaś na pozycji Namiestnika, odwołującego się do stojącej za nim „potencji" obcej – trudno tu uniknąć skojarzenia z Jaruzelskim, ale to podobieństwo zawodzi, bo Tusk nie dowodzi żadną armią, nawet biurokratów – jak dotąd usiłuje stwarzać „fakty dokonane" poprzez różnego rodzaju spiski, konspirując nawet przed własnym obozem politycznym i stawiając go za każdym razem w sytuacji, w której jego zwolennicy muszą się na nie godzić i nadążać, choćby dlatego, że innego przywódcy nie mają – w tym, w wykończeniu wszelkich potencjalnych konkurentów, obecny premier okazał się naprawdę skuteczny. Sam Tusk zdefiniował przedmiot wojny już dawno: ja to Unia Europejska, oni – „nacjonaliści". Kości zostały rzucone.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331

Prawica przed egzaminem dojrzałości



Piotr Semka

Przejęty Trybunał Konstytucyjny może zacząć opiłowywać prezydenta z jego kompetencji

Bezprecedensowy w stosunku do okresu po 1989 r. siłowy atak Donalda Tuska na Trybunał Konstytucyjny zmobilizował przywódców polskiej prawicy. Wydawało się, że późniejsze exposé Donalda Tuska, które podsumować można hasłem „nie cofniemy się ani o krok", powinno skłonić liderów PiS, obu Konfederacji i Rozwoju Plus do choćby krótkiej narady. Jednak nic takiego nie nastąpiło, a zgłoszone w atmosferze szoku po akcji policyjnej zapowiedzi – czy to konstruktywnego wotum nieufności wobec Tuska, czy utworzenia rządu technicznego – miały sens jedynie jako okazja do pokazania, że prawa strona potrafi ze sobą rozmawiać. Przestudiujmy wydarzenia mijającego tygodnia pod kątem zdolności prawej strony do rozmawiania ze sobą.

NOC GROZY

Kiedy ekrany telewizorów epatują scenami brutalnej siły i dramatycznymi ujęciami, gdy głowa państwa zderza się z kordonem policjantów, łatwo o ostre komentarze i pełne patosu hasła. Trzeba przyznać, że dramatyzm wydarzeń ściągnął w Aleję Szucha zarówno Jarosława Kaczyńskiego, jak i duet Sławomir Mentzen – Krzysztof Bosak oraz Mateusza Morawieckiego i Grzegorza Brauna.

Wszyscy oni nie ukrywali, że akcja firmowana przez Donalda Tuska to zamach stanu. Sensacją wieczoru było zdjęcie, na którym w jednym kadrze fotoreporter uchwycił lidera PiS i prezesa Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna.

W komentarzach mediów prorządowych wyraźne było zaniepokojenie tym nagłym, wspólnym frontem prawej strony.

Tyle że upiorna noc minęła, a do żadnego dalszego spotkania między liderami prawej strony w celu koordynacji działań nie doszło.

Można było jeszcze przyjąć, że w sobotę, 31 października, postanowili oni oddać inicjatywę prezydentowi Karolowi Nawrockiemu. Głowa państwa tego dnia zaprosiła do swego pałacu na konsultacje nie tylko polityków opozycji prawicowej, ale i np. PSL oraz lidera Polski 2050 Szymona Hołownię czy Adriana Zandberga z Partii Razem. Ale od tamtego dnia do środy 4 listopada, kiedy piszę te słowa, nie doszło do żadnych konsultacji. Tym samym w politycznej próżni zawisły dwie inicjatywy, które miały być odpowiedzią na agresję Tuska. Pierwszą odpowiedź sformułowała Konfederacja, postulując przyspieszenie wyborów, drugą opcję sformułował Rozwój Plus, proponując stworzenie rządu technicznego pod przewodnictwem byłego marszałka Sejmu Marka Jurka. Tyle że szybko się okazało, iż zarówno PSL, jak i partia Szymona Hołowni – niezbędne dla zmiany rządu lub dla przyspieszenia wyborów – nie zamierzają wyrwać się spod kurateli Koalicji Obywatelskiej. Władysław Kosiniak-Kamysz wprawdzie popierał ideę resetu w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, lecz jego otwartość na rozmowy kwestionowało poparcie dla samozwańczej misji Anny Korwin-Piotrowskiej jako nowej szefowej TK. Z kolei Szymon Hołownia wystąpił w swojej roli „bezsilnego moralizatora". Co prawda, pośrednio skrytykował Tuska, głosząc, że „sposób siłowy tylko dobija pacjenta" (chodziło mu o Trybunał), ale szybko potem ogłosił, że uważa Annę Korwin-Piotrowską za prawowitą szefową TK. Jakby tego było mało, Hołownia wiernopoddańczo dodał, że wcale nie jest pewny, iż akcja w Trybunale odbyła się za wiedzą Donalda Tuska. To zachowanie obu liderów rozwiało już ostateczne nadzieje na jakikolwiek udział czy to PSL, czy to Polski 2050 w politycznej akcji odsunięcia Tuska od władzy.

SYMBOLICZNA MISJA JURKA

Czy w tej sytuacji promowanie Marka Jurka na premiera nie miało sensu? Owszem, miało. Choćby po to, aby podkreślać wyartykułowany przez byłego marszałka Sejmu postulat imperatywu deeskalacji, czyli upartego wzywania do poszukiwania rozwiązania, które mogłoby być zaakceptowane przez wszystkie strony sporu i wskrzesić Trybunał obdarzony zaufaniem całego społeczeństwa, a nie tylko jego części. Jak trafnie wskazywał w serwisie X: „Nie namawiam PSL do zmiany frontu. Namawiam do udziału w przełamaniu niszczącej Polskę polaryzacji politycznej, której ostatnią [...] odsłoną są skrajne działania premiera Tuska. Oczywiście, są małe szanse na powołanie Rządu Pokoju Społecznego, ale te małe szanse stanowią również realną szansę na odwrócenie trendu niszczącego Polskę. Nie namawiam Władysława Kosiniaka-Kamysza do poparcia mojej kandydatury na premiera tego przejściowego gabinetu [...]. Najważniejsze jednak jest, by (taki rząd) powstał

eprasa.pl 4ba9d97331



w tej czy innej formie, z tym czy innym premierem. Wszystko jest do dyskusji. Ale początek drogi jest tylko jeden – zmiana premiera, konstruktywne wotum nieufności".

Marek Jurek jest zbyt doświadczonym politykiem, aby mógł zakładać, że pomysł, który zgłosił Rozwój Plus, miał duże szanse realizacji. Niemniej choćby tylko czysto taktyczne skupienie się wokół tej idei było okazją, by liderzy prawicy mogli zacząć ze sobą rozmawiać. I wybór akurat Jurka do takiej choćby symbolicznej misji nie był zły. Jest to polityk, który z racji swojej karty opozycyjnej powinien być do zaakceptowania dla np. konfederacyjnej frakcji Bosaka. A z drugiej strony – z racji swojej osobnej drogi, która rozdzieliła go z Jarosławem Kaczyńskim – mógłby stać się gwarancją niezależności takiej konstrukcji politycznej dla Sławomira Mentzena. Tak się jednak nie stało. Pomysłu z Markiem Jurkiem nikt nie podjął. Choć przecież była to opcja o wiele bardziej realistyczna niż przedwczesne wybory, na które nie ma szans w Sejmie zdominowanym przez ugrupowania koalicji 13 grudnia.

WRACA TEORIA „DWÓCH WROGÓW"?

Już 1 listopada w sieci pojawił się kolejny odcinek podcastu Mentzen grilluje. Zwolennicy Konfederacji z chęcią włączali ten film, chcąc ujrzeć, jakie jest stanowisko lidera Konfederacji wobec ostatnich wydarzeń. Mentzen powtórzył w nim swe stanowcze słowa, że przejmując Trybunał Konstytucyjny, Donald Tusk zdecydował się na zamach stanu i przejęcie w nielegalny sposób jednego z konstytucyjnych organów państwa. Bardzo szybko przeszedł jednak do streszczenia dziejowego kryzysu wokół TK, przypominając, że „pierwsi złamali prawo platformersi, potem przebili ich pisowcy, a niezależność Trybunału nie interesuje żadnej ze stron konfliktu". Wszystko to zakończył konstatacją, że trzeba zgodzić się na reset, niestety oni nie chcą. I wreszcie na koniec wypowiedź okrasił stwierdzeniem: „Trybunał należy do Polaków, a Tusk z Kaczyńskim próbuje go ukraść".

W momencie, gdy Donald Tusk dysponuje większościową koalicją, ma na swoje skinienie prokuraturę i służby porządkowe, do czego dodać należy jeszcze ewidentne wsparcie Komisji Europejskiej, to zrównywanie Tuska i Kaczyńskiego jako równorzędnych sił w tym konflikcie jest działaniem de facto na rzecz agresora z Koalicji Obywatelskiej. Można spierać się o to, jaką politykę prowadził Kaczyński, reagując na złamanie prawa przez Platformę wprowadzaniem swoich ludzi do Trybunału, ale nie można zapominać, że próbował potem się z tego wycofać. W czerwcu 2016 r. prezes PiS zaproponował pierwszy projekt resetu kształtu Trybunału Konstytucyjnego, dający nawet Platformie lekką przewagę w jego składzie. Projekt był na tyle wyważony, że reprezentujący wówczas sporną stronę sejmową Ryszard Petru stał się zwolennikiem rozpoczęcia rozmów na ten temat. Szybko jednak histeria mediów wspierających Platformę – na czele z „Gazetą Wyborczą" – „sprowadziła Petru do pionu", toteż jak niepyszny wycofał się z popierania dyskusji dotyczących tej inicjatywy. Potem istotnie Kaczyński uznał, że skoro Platforma idzie na frontalne zderzenie w tej sprawie, to przeforsuje na szefową TK Julię Przyłębską i wprowadzi do TK tak wątpliwe postacie jak sędzia Stanisław Piotrowicz czy była posłanka PiS Krystyna Pawłowicz. Ale zarówno wtedy, a tym bardziej po wygranych wyborach, Donald Tusk nie chciał iść na żaden reset i nie chce tego do dzisiaj. Chociaż prezes TK Bogdan Święczkowski zadeklarował, że jest gotowy w każdej chwili ustąpić, jeśli dojdzie do jakiegoś sensownego resetu w kwestii uzdrowienia sytuacji wokół Trybunału.

Zatem gdy Mentzen powtórzył, że w kwestii Trybunału Konfederacja przyjmuje politykę dwóch wrogów, no to jasne staje się, że trudno będzie się spodziewać poważnych rozmów po prawej stronie sceny politycznej.

Co charakterystyczne, bardzo podobny ton przyjął Robert Winnicki, który przeszedł od roli polityka do roli

eprasa.pl 4ba9d97331



FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

komentatora, ale kojarzony jest z poglądami wyborców obu konfederacji. I on 2 listopada napisał na portalu X: „Przeprowadzenie resetu konstytucyjnego jest sprawą banalnie prostą. Istnieją zaledwie dwie poważne przeszkody polityczne, które stoją na drodze do ustrojowego uzdrowienia państwa. Jedna nazywa się Donald Tusk a druga Jarosław Kaczyński. Poważna naprawa Polski rozpocznie się dopiero wtedy, gdy obaj starsi panowie zostaną odsunięci od wpływu na polskie życie publiczne. Ludzie o poglądach prawicowo-konserwatywnych, chcący uzdrowienia państwa zamiast kolejnej rundy niszczącej przepychanki, powinni działać na rzecz marginalizacji pozycji Kaczyńskiego, a ludzie o poglądach lewicowo-liberalnych na rzecz marginalizacji Tuska". Formalnie Winnicki, serwując takie rady, jest symetrystą. Zauważa udział i odpowiedzialność za kryzys wokół TK zarówno u lidera PiS, jak i szefa Koalicji Obywatelskiej. Czy to jest jednak propozycja realna? Przecież PiS, który ciągle jest najsilniejszym ugrupowaniem opozycji, nie pożegna się z dnia na dzień z Kaczyńskim choćby z racji przekory. A Tusk trzyma koalicję 13 grudnia i jej partię w żelaznym uścisku. Co oznacza więc głoszenie, że zamiast kolejnej rundy niszczącej przepychanki niech lewicowcy obalą Tuska, a prawa strona pozbędzie się Kaczyńskiego? Nikt Tuska nie dotknie, bo to on wszystkich w swym koalicyjnym kręgu rozstawia po kątach. Kosiniak-Kamysz i Hołownia zachowują się tak, jakby mdleli ze strachu na sam widok wszechmocnego kierownika. Tu nic – przynajmniej na razie – się nie zmieni.

Postulat pozbycia się Kaczyńskiego to doskonały pomysł na sparaliżowanie jakiejkolwiek koordynacji działań prawej strony w czasie, kiedy Tusk idzie po pełnię władzy.

WITAJCIE W NIEBEZPIECZNYCH CZASACH

Co grozi dziś prawej stronie? Bardzo wiele. Przejęty Trybunał Konstytucyjny może zacząć opiłowywać prezydenta z jego kompetencji. Opanowanie tej instytucji w chwili, kiedy prokuratura stała się już zadaniową komórką do zwalczania opozycji, otwiera drogę do delegalizacji partii, które nie będą się podobać obozowi liberalnemu. Gdy można sobie wyobrazić policyjne prowokacje mające wykazać, że dana partia jest groźna dla porządku publicznego.

Do Sejmu wchodzi projekt ustawy o karaniu za dezinformację, który może uczynić z wolności słowa fikcję. Tak zwany druk 3003 rządowego projektu ustawy o przeciwdziałaniu obcej ingerencji i manipulacji w środowisku informacyjnym grozi czysto uznaniowymi karami wydawanymi przez MSWiA, finansowym zniszczeniem każdego podmiotu medialnego oraz zagraża odpowiedzialnością karną sięgającą do 12 lat pozbawienia wolności! To wszystko są znamiona tworzonego państwa autorytarnego w liberalnym opakowaniu. Wprowadzanie w tym momencie hasła, że Tusk to takie samo zagrożenie dla TK jak Kaczyński, musi w tej sytuacji zdumiewać. I nie chodzi o żadną „niepokalaną cześć" Wielkiego Jarosława, lecz o pragmatykę umożliwiającą współpracę prawej strony. I o wykazanie się jakimś elementarnym instynktem samozachowawczym, ponieważ Tusk już wielokrotnie pokazał, że kumuluje władzę w swoim ręku.

Opanowanie TK otwiera drogę do delegalizacji partii, które nie będą się podobać obozowi liberalnemu

Prawdą jest to, na co wskazują publicyści broniący ataku premiera na TK. Istotnie wokół miasteczka namiotowego w Al. Szucha nie gromadzą się gigantyczne tłumy. Pucz Tuska rzeczywiście przebiega w przygnębiająco słabej reakcji autorytetów prawniczych czy senatów wydziału prawa szacownych polskich uczelni. Tych samych, które w tak dramatyczny sposób biły na alarm, gdy uważały, iż rządy PiS zagrażały demokracji i praworządności. Symptomatyczny był wręcz list byłych prezesów Trybunału Konstytucyjnego, którzy w pełni poparli łamanie prawa w postaci intronizowania Anny Korwin-Piotrowskiej na nową szefową TK. Ale tym większa odpowiedzialność spoczywa na liderach partii prawicowych. Jeśli TK zacznie wydawać werdykty ograniczające wolność polityczną – efekty tego stanu rzeczy zemszczą się także i na nich.

TWORZENIE ANTYNOMII

Za parę dni dojdzie do tradycyjnego Marszu Niepodległości 11 listopada. Znany politolog Antoni Dudek wieszczy już, że „tłum może ruszyć na Kancelarię Prezesa Rady Ministrów, by obalić Tuska". Obecny premier, który już niedawno ogłosił, iż pod Trybunałem protestują „siły prorosyjskie", skwapliwe wykorzysta jakiekolwiek incydenty czy walki z policją do tworzenia antynomii: „ja albo chaos". Czy politycy opozycji są zdolni do przeprowadzenia jakichkolwiek rozmów na temat, jak przygotować się na ewentualne prowokacje policyjne?

Prawica staje dziś przed egzaminem dojrzałości. Nikt nie neguje różnic między jej poszczególnymi ugrupowaniami. Zamykanie oczu na nie byłoby naiwnością. Ale Tusk nie będzie czekał z wprowadzaniem swego planu pełzającego puczu. Warto to po prostu zrozumieć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331



Z Krzysztofem Bosakiem, wicemarszałkiem Sejmu, prezesem Ruchu Narodowego i współliderem Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Tusk gra o całą stawkę

RYSZARD GROMADZKI: Po ostatnim posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego, w którego trakcie dyskutowana była sprawa kryzysu wokół Trybunału Konstytucyjnego, nie ukrywał pan pesymizmu co do szans wyjścia z pata, z jakim mamy do czynienia po siłowym przejęciu tej instytucji przez obóz rządzący. Nie widzi pan szans na rozwiązanie tego konfliktu?

KRZYSZTOF BOSAK: Strony toczącego się wokół Trybunału Konstytucyjnego sporu ustrojowego mają swoją koncepcję prowadzenia tego sporu. Jest to koncepcja zakładająca konfrontację. Mam tu na myśli przede wszystkim stronę rządową, dlatego że to rząd prowadzi w tej chwili ten spór w kierunku konfrontacji siłowej. Nie widzę perspektywy, że coś dobrego może się w tej sprawie wydarzyć. Moim zdaniem deklaracje premiera, że sytuacja idzie w dobrą stronę, czy zapowiedź rozmowy z prezydentem w cztery oczy, mają na celu dezinformowanie opinii publicznej co do rzeczywistych zamiarów Donalda Tuska. To znaczy, zamiary są konfrontacyjne, a stosowana retoryka pozornie łagodząca. Natomiast liczą się czyny, a nie słowa. W moim przekonaniu premier prowadzi grę obliczoną na osłabienie oporu społecznego i przyspieszenie akceptacji ruchów, które wykonał.

Zgodzi się pan, że władzę przed dalszą eskalacją sytuacji może powstrzymać tylko silny opór społeczny? W sprawie Trybunału Konstytucyjnego ma on na razie dość ograniczony zasięg. Czy jest to wynikiem nierozumienia przez Polaków istoty tego sporu? Wielu ludzi odbiera go jako kolejny przejaw „wojny na górze", nie widząc bezpośredniego zagrożenia, jakie stanowi on dla demokracji czy suwerenności państwa?

Nie uważam, że ten spór sprowadza się do tego, czy w Polsce będzie demokracja, lecz do tego, czy będziemy mieli rządy prawa czy rządy siły. Rząd może być wybierany demokratycznie, ale już nie będą to rządy prawa, lecz rządy oparte na sile. Kto kontroluje policję, kontroluje instytucje. Oczywiście szefostwo policji jest namaszczane przez rząd, który pochodzi z demokratycznego wyboru, natomiast w tym momencie ten rząd ma już władzę nieograniczoną. Moim zdaniem stawką w sporze, który rozgrywa się obecnie wokół Trybunału Konstytucyjnego, jest po pierwsze to, czy żyjemy w państwie prawa czy w państwie, w którym to zdolność stosowania siły wyznacza granicę

eprasa.pl 4ba9d97331



FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

władzy. Po drugie, mamy do czynienia z realnym zagrożeniem suwerenności. Dlatego że bezprawne przejęcie Trybunału Konstytucyjnego przy poparciu Komisji Europejskiej przez ekipę, która deklaruje wyższość prawa unijnego nad polskim prawem konstytucyjnym, oznacza koniec doktryny o wyższości polskiej konstytucji nad prawem unijnym. Ludzie, którzy chcą w tej chwili przejąć siłowo władzę w Trybunale Konstytucyjnym, są zwolennikami wyższości prawa europejskiego nad prawem polskim i w swoich nielegalnych działaniach powołują się na ponadnarodowe sądy i trybunały.

Przedstawił pan konkretne propozycje rozwiązania pata w Trybunale Konstytucyjnym. Warunkiem progowym tych propozycji jest natychmiastowe wyjście policji z Trybunału.

Wyjście policji z Trybunału Konstytucyjnego jest warunkiem elementarnym powrotu do rządów prawa. Jeżeli policja zajmuje budynek i uniemożliwia prawowitym władzom dostęp do niego, to nie ma o czym mówić. Natomiast w sytuacji powrotu do rządów prawa, czyli umożliwienia sędziom i prezesowi Trybunału wykonywania swoich funkcji, możemy się dopiero spierać o nominacje, o reset konstytucyjny czy dowolne sprawy. Jednak kiedy władza prowadzi siłowy rajd na instytucje, żaden realny dialog nie jest możliwy.

Bartłomiej Sochański, wiceprezes Trybunału Konstytucyjnego, zawieszony przez uzurpującą sobie prawo do kierowania Trybunałem panią Korwin-Piotrowską, zaproponował swego rodzaju opcję zero. Zgodnie z nią wszyscy sędziowie Trybunału Konstytucyjnego składają rezygnację, a nowych sędziów Sejm wybiera większością dwóch trzecich głosów. Czy to dobry plan? Trudno zakładać, że da się go zrealizować, kiedy władza nie jest zainteresowana żadnym konsensusem, lecz idzie na konfrontację.

Ten pomysł ma sens, ale gdyby realizujący scenariusz siłowego przejęcia Trybunału Konstytucyjnego byli nim zainteresowani, rozmawialiby o tym wcześniej. Oczywiście sprawa rozbiłaby się o to, kim mieliby być nowi sędziowie. Obecna większość rządząca, czując swoją fizyczną dominację i wyznając zasadę, wedle której wystarczy, żeby Sejm kogoś wybrał, żeby uznać go za sędziego TK, bez ślubowania przed prezydentem, nie ma żadnego powodu, żeby zastanawiać

eprasa.pl 4ba9d97331

się nad opinią opozycji. W istocie bowiem propozycja wiceprezesa Sochańskiego, sprowadza się do tego, żeby koalicja rządząca wycofała się z Trybunału Konstytucyjnego i zawarła z opozycją kompromis co do przyszłego składu TK. Działania rządu Donalda Tuska pokazują, że oni nie chcą kompromisu, lecz grają o całą stawkę, i dlatego uważam, że ta propozycja nie zostanie przyjęta.

Co znaczy, że ekipa Tuska gra o „całą stawkę"? Idzie im o to, że po siłowym przejęciu Trybunału będą chcieli podważyć mandat prezydenta Nawrockiego?

Nie widzę w tej chwili żadnych podstaw do kwestionowania legitymacji wyboru prezydenta ani takich zamiarów czy deklaracji ze strony rządowej. Natomiast wyobrażam sobie, że po ustanowieniu tego uzurpacyjnego składu Trybunału Konstytucyjnego mogą oni chcieć w jakiś sposób ograniczyć kompetencje prezydenta. Nie sądzę, żeby porywali się na usuwanie prezydenta Karola Nawrockiego z Pałacu Prezydenckiego, ale – powtórzę to raz jeszcze – jestem sobie w stanie wyobrazić możliwość ograniczania prezydenckich kompetencji. Patrząc na praktykowaną przez nich dotychczas szkołę nihilizmu prawnego, spodziewać można się wszystkiego.

Wejście prezydenta Nawrockiego do Trybunału Konstytucyjnego było przejawem charakteru głowy państwa czy de facto manifestacją jego bezsilności?

Z perspektywy kolejnych dni wprowadzenie przez prezydenta Nawrockiego na teren TK wiceprezesa Trybunału sędziego Sochańskiego było aktem sprzeciwu wobec bezprawia. Wydaje mi się, że w tym aspekcie miało charakter nie tylko symboliczny, lecz także ustrojowy. To znaczy: było wyrazem stania na straży konstytucji, wypełnianiem mandatu prezydenta i zrozumiałym dla całego narodu gestem niezgody na zamach na konstytucyjną instytucję Rzeczypospolitej, a więc przestępstwo opisane w 128 artykule Kodeksu karnego. Dlatego uważam, że wejście prezydenta do TK było nie tylko gestem, lecz także jasnym znakiem sprzeciwu wobec naruszenia porządku ustrojowego. Istotą tego gestu nie było samo wejście prezydenta do Trybunału, lecz wprowadzenie tam jego urzędującego wiceprezesa, którego wcześniej zatrzymywała policja. Oczywiście choć sama obecność w TK prezydenta i wiceprezesa Sochańskiego nie wpłynęła na sposób działania rządu czy policji, to myślę, że jako gest sprzeciwu podważa legalność działania grupy uzurpatorów, która zajęła budynek Trybunału. W tym sensie przekreśliło to ich plan, że wszystko pójdzie gładko, a społeczeństwo to zaakceptuje.

Przy okazji zamachu na Trybunał Konstytucyjny słychać głosy, że być może ten organ konstytucyjny jest zbędny, a jego kompetencję mógłby z powodzeniem przejąć Sąd Najwyższy. Podziela pan ten pogląd?

Bezprawne przejęcie TK przy poparciu Komisji Europejskiej przez ekipę, która deklaruje wyższość prawa unijnego nad polskim, oznacza koniec doktryny o wyższości polskiej konstytucji nad prawem unijnym

Zgadzam się z tym, że możemy mieć jeden Sąd Najwyższy pełniący jednocześnie rolę sądu konstytucyjnego, ale możemy też mieć osobny. Na gruncie obecnego porządku konstytucyjnego mamy w państwie Trybunał Konstytucyjny. Żeby połączyć go z Sądem Najwyższym, wymagałoby to zmian konstytucyjnych. Uważam, że takie zmiany są teoretycznie możliwe. Jednak uzgodnienie ich w obecnym kontekście politycznym z innymi partiami nie wchodzi w rachubę.

Zamach na Trybunał Konstytucyjny daje podstawy do obaw, że eskalacja, którą podjęła ekipa premiera Tuska, nabierze rozpędu w najbliższych tygodniach, przekształcając Polskę z państwa prawa w państwo w coraz większym stopniu autorytarne? Rządzący będą chcieli otworzyć nowe pola konfliktu?

Sytuacja jest tak dynamiczna, że nie podejmuję się prognozować przebiegu zdarzeń. Mogę powiedzieć, co wydaje mi się najbardziej prawdopodobne. Mam na myśli przejście obecnego konfliktu wokół TK w utrwaloną fazę, to znaczy, że rząd się uprze i nie wycofa, a żadne rozmowy nie przyniosą rozwiązania tego sporu i będziemy mieć uzurpacyjną obsadę w Trybunale Konstytucyjnym aż do wyborów. Uważam to za najbardziej prawdopodobny scenariusz. Natomiast czy otwarte zostaną jeszcze jakieś inne pola konfliktu, np. zapowiadane przez ministra sprawiedliwości ataki na prezesa Sądu Najwyższego czy być może innego rodzaju akty anarchii, nie podejmuję się spekulować. W mojej ocenie jest to możliwe, lecz trudne do przewidzenia.

W ostatnich dniach w mediach pojawiły się, być może histeryczne, informacje o możliwości wprowadzenia na terenie kraju przez rząd Tuska jakiejś formy stanu wyjątkowego. Pretekstem miałoby być rzekome zagrożenie ze strony Rosji. Sam Tusk mówił o możliwości przenikania rosyjskich dywersantów z obwodu królewieckiego. To strachy na Lachy czy realna groźba? Rząd może chcieć spacyfikować społeczeństwo?

Nie wykluczałbym stosowania instrumentów nadzwyczajnych w momencie, gdyby pojawiła się jakaś agresja ze strony rosyjskiej. Natomiast nie upatrywałbym w tym zagrożenia, dlatego że stany nadzwyczajne nie wpływają w żaden w sposób na konstytucyjny układ instytucji w państwie. Niezależnie od tego, czy jest stan nadzwyczajny czy go nie ma, to kwestionowanie instytucji konstytucyjnych jest dokładnie tak samo bezprawne. Wydaje mi się, że stany nadzwyczajne w Polsce ze względu na trudną historię lat 80. zostały zmitologizowane jako alternatywa dla demokracji. Pamiętajmy, że w latach 80. w Polsce nie było demokracji, lecz panował kontrolowany przez Sowietów socjalizm. W obecnym porządku konstytucyjnym stany nadzwyczajne służą po prostu do zapanowania nad sytuacjami kryzysowymi w państwie, wynikającymi z okoliczności wewnętrznych lub okoliczności związanych z jakiegoś rodzaju agresją czy katastrofami naturalnymi. Więc ja nie straszyłbym społeczeństwa stanami nadzwyczajnymi. Mieliśmy już stan nadzwyczajny na granicy z Białorusią związany z presją migracyjną. Jak widać, pomimo ogromnych emocji medialnych nic nadzwyczajnego się nie stało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331

Dawidowie przeciw Goliatom



Krystian Kratiuk

Walka o prawo do życia nienarodzonych w naszym kraju przypomina starcie biblijne młodego pasterza z potężnym wojownikiem. Komu jednak pomoże prezydent Karol Nawrocki? Dawidowi czy Goliatowi?

Dopóki do polskiego systemu prawnego nie wejdą dwie zbójeckie ustawy przyjęte w październiku przez Sejm, dopóty Polska pozostanie państwem najlepiej chroniącym życie nienarodzonych w Europie. Gdy piszę te słowa, prezydent Karol Nawrocki nie zadeklarował jeszcze jednoznacznie, że zawetuje te projekty – ale trudno spodziewać się, by spektakularnie wyrzekł się swoich kampanijnych zobowiązań i zdecydował się na inne rozwiązanie.

OD KIEDY POLKI MORDUJĄ DZIECI

Kodeks karny II Rzeczypospolitej w 1932 r. nie przewidywał kar za zabicie nienarodzonego dziecka jedynie w wyjątkowych przypadkach: gdy ciąża zagrażała zdrowiu kobiety lub powstała w wyniku przestępstwa, np. gwałtu czy kazirodztwa, podobnie jak w III RP po uchyleniu przez Trybunał Konstytucyjny przesłanki eugenicznej w 2020 r.

Prawo na wzór tego, które w bieżącym roku przeforsowała w Sejmie lewica, na ziemiach polskich wprowadzili w 1943 r. niemieccy okupanci – dopuścili aborcję na bardzo szerokich zasadach wobec Polek, traktując ograniczenie liczby urodzeń wśród podbitych narodów jako element swojej polityki rasowej. Po wojnie powrócono do przepisów przedwojennych, jednak komuniści rozszerzyli dostęp do aborcji: w 1956 r. zalegalizowali ją również ze względu na trudne warunki życiowe kobiety. W praktyce doprowadziło to do niemal nieograniczonego dostępu do aborcji w PRL – i w efekcie nie narodziło się przez to kilka, a może nawet kilkanaście milionów Polaków…

Na początku istnienia III RP prawo do życia jednak mocno wzmocniono – zaczął obowiązywać tzw. kompromis aborcyjny. Od tego czasu rozpoczęła się kampania domagania się prawa do zabijania nienarodzonych.

Przez ponad 30 lat środowiska domagające się barbaryzacji prawa aborcyjnego zmieniały zarówno swoje postulaty, jak i sposób działania, ale wszystko to nie odbywało się jednak wyłącznie siłami polskich lewackich aktywistów. Od lat w spór o aborcję w Polsce angażują się bowiem również organizacje zagraniczne – przekazują pieniądze polskim fundacjom i wspierają ich kampanie, organizują szkolenia i zapewniają pomoc prawną albo nagłaśniają sprawę na arenie międzynarodowej. Stale próbują wywierać presję na polskie władze.

ALE PO KOLEI…

Jeszcze zanim przyjęto przepisy nazwane potem „kompromisem", bo w 1992 r., środowiska związane m.in. z Barbarą Labudą i Zbigniewem Bujakiem prowadziły akcję zbierania podpisów pod żądaniem referendum dotyczącego aborcji. Zebrano ponad 1 mln podpisów. Referendum jednak nie przeprowadzono. Jeszcze wcześniej, bo w roku 1991, powstała Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, późniejsza FEDERA.

W 1996 r. zdominowany przez postkomunistyczną lewicę parlament przejściowo dopuścił „przerywanie ciąży" ze względu na trudne warunki życiowe lub sytuację osobistą kobiety, ale już w 1997 r. Trybunał Konstytucyjny stanowczo zakwestionował tę zmianę. Lewica mocno utyskiwała, ale po przegranych wyborach i kolejnych pielgrzymkach Jana Pawła II była w defensywie.

Mimo tego od roku 2000 przez ulice polskich miast zaczęły przetaczać się tzw. Manify, które zawłaszczały przypadający 8 marca Dzień Kobiet, próbując stworzyć wrażenie, że polskie kobiety nie marzą o niczym innym, tylko o tym, by móc legalnie abortować swoje dzieci. W 2002 r. warszawska Manifa odbyła się pod hasłem „Moje życie, mój wybór. Trzy razy Tak" – i była to już manifestacja na rzecz „prawa do aborcji", a także edukacji seksualnej oraz antykoncepcji.

Kiedy wstępowaliśmy do UE, zapewniano nas, że Bruksela nie będzie ingerować w nasze ustawodawstwo

I to właśnie wtedy, na początku XXI w., sprawa dopuszczalności aborcji w Polsce stała się zagadnieniem międzynarodowym. Jednym z najbardziej rozpoznawalnych przykładów bezpośredniej interwencji zagranicznej organizacji aborcyjnej było sprowadzenie przez holenderską Women on Waves (Kobiety na falach) statku Langenort, który przybył do wybrzeży Władysławowa, aby zabierać na międzynarodowe wody polskie kobiety i tam podawać im tabletki mające uśmiercać ich nienarodzone dzieci. Był rok 2003, byliśmy dosłownie dwa tygodnie po referendum akcesyjnym do Unii Europejskiej.

W roku 2006 polskie organizacje feministyczne chciały jeszcze mocniej umiędzynarodowić sprawę – powstała nieformalna jeszcze wówczas inicjatywa Kobiety w Sieci rozpowszechniająca informacje

eprasa.pl 4ba9d97331

o aborcji farmakologicznej, zdobywaniu tabletek poronnych i możliwościach przerwania ciąży za granicą. Z czasem inicjatywa przyjęła ramy formalne i nawiązała współpracę z zagranicznymi organizacjami, m.in. Women Help Women. W 2019 r. Kobiety w Sieci weszły w skład międzynarodowej inicjatywy Aborcja Bez Granic. Sieć, współtworzona m.in. przez brytyjską Abortion Support Network, niemiecką Ciocię Basię i Aborcyjny Dream Team, zaczęła organizować Polkom dostęp do aborcji farmakologicznej oraz zabiegów w zagranicznych klinikach. Jeśli kogoś zastanawia, co to takiego „Ciocia Basia", to warto przypomnieć, że jest to działająca od 2014 r. w Berlinie nieformalna grupa feministycznych aktywistek umożliwiająca kobietom z Polski zorganizowanie aborcji w Niemczech. Jedną z jej założycielek była niemiecka reżyserka i działaczka feministyczna Sarah Diehl, autorka filmu dokumentalnego „Abortion Democracy: Poland/South Africa".

A to przecież tylko niektóre z inicjatyw, które zasługują na opisanie w znacznie obszerniejszym opracowaniu.

SZEROKI STRUMIEŃ ZAGRANICZNYCH PIENIĘDZY

W 2016 r. wybuchła akcja protestów zwanych „Czarnymi Marszami". Feministki wychodziły na ulice, protestując przeciwko projektowi ustawy zakazującej aborcji. Kilka miesięcy później, już w roku 2017, Ordo Iuris opublikowało raport, z którego wynikało, że zagraniczne organizacje przekazały polskim środowiskom feministycznym ok. 1 mln zł na demonstracje i działania związane ze sprzeciwem wobec zaostrzenia prawa aborcyjnego. Autorzy opracowania wskazali przede wszystkim na organizacje powiązane finansowo z fundacjami George'a Sorosa, a wśród zagranicznych sponsorów organizacji zaangażowanych w polskie protesty znalazły się także: Global Fund for Women, International Women's Health Coalition, holenderski Mama Cash, fundusze norweskie rozdzielane za pośrednictwem Fundacji Batorego czy European Society of Contraception and Reproductive Health.

Od tego czasu do Polski zaczął płynąć jeszcze szerszy strumień pieniędzy i innego rodzaju wsparcia dla aborcjonistek. W działalność na rzecz poszerzenia „prawa aborcyjnego" w Polsce od lat angażują się zagraniczne fundacje i organizacje – jednym z najważniejszych przykładów pozostaje Brytyjski Sigrid Rausing Trust, który w latach 2018–2026 przyznał Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny (FEDERA) granty o łącznej wartości 960 tys. funtów.

W 2018 r. ważnym odbiorcą zagranicznych pieniędzy stał się nad Wisłą Fundusz Feministyczny (FemFund), który następnie rozdziela środki pomiędzy mniejsze organizacje. Wśród jego sponsorów znalazły się m.in. Open Society Initiative for Europe, Mama Cash, Sigrid Rausing Trust, Oak Foundation, Global Fund for Women, Fundacja Chanel, Levi Strauss, Fenomenal Funds, Women's Funds Collaborative, niemiecka filia.die frauenstiftung oraz hiszpańska Calala Fondo de Mujeres.

Inne zagraniczne organizacje koncentrują się nie tyle na przekazywaniu funduszy, ile na wywieraniu presji politycznej i prawnej. Należą do nich Center for Reproductive Rights, International Planned Parenthood Federation, International Women's Health Coalition, Ipas, Catholics for Choice, European Women's Lobby, Amnesty International i Human Rights Watch. Przygotowują raporty, wystąpienia do ONZ, apele i kampanie medialne. W 2019 r. Center for Reproductive Rights, FEDERA i Koalicja KARAT przekazały Komitetowi ONZ do spraw Likwidacji Dyskryminacji Kobiet materiały dotyczące polskiego prawa, które stały się podstawą dochodzenia zakończonego raportem opublikowanym pięć lat później. W 2018 r. aż 203 organizacje z różnych państw podpisały apel przeciw projektowi ustawy zakazującej aborcję.

ZAKŁAMANA SUWERENNOŚĆ

Ale przecież przeciw Polsce działają w tej sprawie nie tylko organizacje pozarządowe, lecz także te ponadnarodowe – unijne i globalne.

Kiedy wstępowaliśmy do Unii Europejskiej, zapewniano nas, że Bruksela nie będzie ingerować w polskie ustawodawstwo dotyczące moralności, rodziny i ochrony życia nienarodzonych. W 2003 r. do dokumentów akcesyjnych dołączono nawet tzw. Deklarację nr 39 znaną też jako „Deklaracja Rządu Rzeczypospolitej Polskiej dotycząca moralności publicznej", w której ówczesny polski



rząd podkreślał prawo do samodzielnego regulowania kwestii moralnych i ochrony życia. Choć deklaracja była jednostronna i prawnie niewiążąca pozostałych państw, to wszyscy zapewniali, że kompetencje w zakresie organizacji ochrony zdrowia pozostały przy państwach członkowskich. Unia nie może zatem narzucić Polsce określonego modelu prawa aborcyjnego – formalnie.

Mimo tego Parlament Europejski wielokrotnie wywierał polityczną presję na Polskę, szczególnie po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r. Już miesiąc później przyjął bowiem rezolucję potępiającą ograniczenie dopuszczalności aborcji, popartą przez 455 europosłów. Kolejną, niemal bliźniaczą, uchwalono w listopadzie 2021 r. W kwietniu 2024 r. europarlament zażądał wpisania „prawa do aborcji" do „Karty praw podstawowych UE", dodatkowo żądając także zaprzestania finansowania

eprasa.pl 4ba9d97331



FOT. ADOBE STOCK

Na rzecz poszerzenia prawa aborcyjnego w Polsce od lat angażują się zagraniczne fundacje i organizacje

organizacji sprzeciwiających się prawom reprodukcyjnym. W grudniu 2025 r. Parlament Europejski poparł inicjatywę „My Voice, My Choice", dotyczącą finansowego ułatwienia dostępu do aborcji w innych państwach.

PRESJA MEDIALNO-CELEBRYCKA

Jakby tego było mało, do działań Brukseli i Strasburga dochodziła jeszcze presja ze strony ONZ, Rady Europy i innych instytucji międzynarodowych. Już w 2008 r. Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy przyjęło rezolucję dotyczącą dostępu do aborcji, a w 2020 r. komisarz praw człowieka tej organizacji Dunja Mijatović wezwała Polskę do legalizacji aborcji na życzenie we wczesnej ciąży. W 2022 r. aż 17 państw zgłosiło Polsce zalecenia dotyczące praw seksualnych i reprodukcyjnych podczas przeglądu ONZ. Z kolei funkcjonujący przy tej organizacji Komitet do spraw Likwidacji Dyskryminacji Kobiet w raporcie z 2024 r. domagał się daleko idących zmian polskiego ustawodawstwa.

W ten sposób wokół Polski powstał rozbudowany mechanizm międzynarodowego oddziaływania na prawodawców, choć jego kształtowanie nadal przecież pozostaje zasadniczo kompetencją polskiego państwa!

Do presji instytucji międzynarodowych dochodziła również – nie mniej istotna z punktu widzenia opinii publicznej – presja zagranicznych mediów i celebrytów, szczególnie widoczna podczas protestów w latach 2016 i 2020. O sytuacji w naszym kraju szeroko informowały największe światowe media, a poparcie dla demonstrantów wyrażały gwiazdy muzyki, filmu i popkultury, m.in. Miley Cyrus, Dua Lipa, Zara Larsson, Yungblud, Anne-Marie, Olly Alexander, Melanie Martinez, Finneas O'Connell, Rina Sawayama, Paloma Faith, Patti Smith i Milla Jovovich, o polskich przedstawicielach celebryckiego półświatka nie wspominając.

Gdyby chcieć, aby ktokolwiek z wyżej wymienionych wystąpił w reklamie dowolnego produktu, trzeba zapewne byłoby się liczyć z wydatkiem rzędu kilku milionów dolarów. Było to więc naprawdę niebagatelne wsparcie.

DWA WETA NATYCHMIAST!

A kto stoi z drugiej strony tego sporu? Polscy politycy prawicy? Nie! Liczni z nich wielokrotnie udowadniali bowiem, że traktują tę kwestię utylitarnie, jako drugorzędny i kłopotliwy temat zastępczy.

Otóż z drugiej strony tego sporu stoi polskie społeczeństwo – polscy działacze organizacji pro-life, którzy od wielu lat, nie mogąc nawet śnić o podobnej pomocy finansowej ze strony wielkich organizacji międzynarodowych, korporacji czy celebrytów, wpływają na polską opinię publiczną oraz – pośrednio – na polityków. A utrzymują się głównie z datków indywidualnych polskich darczyńców, z wdowiego grosza polskich katolików, polskich rodzin, ludzi dobrej woli.

To doprawdy niesamowita historia! Istotnie jest to starcie Dawida z Goliatem.

I choćby z tego powodu – obok tysiąca innych przyczyn – prezydent Nawrocki musi obie ustawy zawetować. Chociażby dlatego, że został wybrany przez ludzi, których od lat na swoją modłę próbują przerobić globaliści, promotorzy aborcji, związków partnerskich itp.

Karol Nawrocki jest dziś zatem przedstawicielem Dawida w Pałacu Prezydenckim. Wielokrotnie już udowadniał, że potrafi nie ugiąć się przed światowym Goliatem, ale z ufnością chwyta w dłoń swoją procę i wygrywa z nim kolejne pojedynki.

Niech tak będzie i tym razem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 4ba9d97331

Z bezprawia nie rodzi się prawo



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Mieli odejść po cichu i w niesławie, jako symbole poprzedniej, złej władzy. Dziś sądy przyznają rację dyrektorom i szefom placówek odwołanym przez koalicję Donalda Tuska

Rozliczenia – to słowo stało się jednym z najważniejszych haseł politycznych po dojściu do władzy Donalda Tuska w 2023 r. Obok tych politycznych, które z różną skutecznością są prowadzone do dziś, szybko zabrano się za zmiany w placówkach historyczno-kulturalnych. Niejednokrotnie w imię „sprzątania po PiS" funkcję stracili doświadczeni urzędnicy, naukowcy i twórcy instytucji, którymi zarządzali od lat. Dziś okazuje się, że w części przypadków pośpiech w przeprowadzaniu kadrowych porządków był większy niż staranność w przestrzeganiu przepisów. Kolejne sądy administracyjne uchylają akty odwołania dyrektorów, wskazując na nieudowodnione zarzuty, wadliwe uzasadnienia i naruszenia procedur. W niektórych sprawach zapadły prawomocne wyroki Naczelnego Sądu Administracyjnego.

PIĘĆDZIESIĄTA WYGRANA

Najbardziej jaskrawym i budzącym sprzeciw przykładem jest Robert Kostro. Przez blisko dwie dekady kierował Muzeum Historii Polski. Był nie tylko jego pierwszym dyrektorem, lecz także jednym z twórców placówki. Pod jego kierownictwem instytucja powołana w 2006 r. przekształcała się w rzeczywistość. W 2023 r. otwarto nową siedzibę muzeum na warszawskiej Cytadeli. Kostro jest cenionym historykiem, publicystą i muzealnikiem. W latach 80. działał w opozycyjnym Ruchu Młodej Polski. Pełnił także funkcje w administracji państwowej, współpracował z Instytutem Adama Mickiewicza, publikował na łamach licznych czasopism. Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Funkcję szefa MHP pełnił zarówno za PiS, jak i za PO. Cenionego przez wielu Kostrę odwołała minister kultury i dziedzictwa narodowego Hanna Wróblewska, następczyni w resorcie Bartłomieja Sienkiewicz. Stało się to 24 września 2024 r., trzy lata przed końcem kadencji dyrektora.



Robert Kostro zawarł swe doświadczenia w wywiadzie udzielonym Piotrowi Zarembie, opublikowanym w książce pt. „Państwowiec w muzeum" FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

Resort kultury zarzucał mu naruszenia związane z zarządzaniem instytucją, w tym niewykorzystanie części dotacji na budowę i wyposażenie muzeum oraz nieprawidłowości w nadzorze nad inwestycją. W tle pojawiły się również wielomilionowe roszczenia generalnego wykonawcy. Profesor Richard Butterwick-Pawlikowski, główny historyk MHP, podkreślał: „Robert Kostro jest wspaniałym dyrektorem, jest w Muzeum Historii Polski od samego początku, współpracował z rządami różnych barw politycznych. Jest człowiekiem dialogu, człowiekiem otwartym i cały czas dobrze współpracuje z radami muzeum, w których zasiadają ludzie o różnych wrażliwościach i poglądach".

Sprawa trafiła do sądu, który orzekł, że ministerstwo nie zdołało wykazać odpowiedzialności Kostry za wskazywane problemy. 7 sierpnia 2025 r. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił akt odwołania szefa MHP. Resort kultury złożył skargę kasacyjną, ale 29 września 2026 r. Naczelny Sąd Administracyjny

eprasa.pl 4ba9d97331

ją oddalił. Wyrok stał się prawomocny. Sąd zwrócił uwagę, że ministerstwo nie przedstawiło konkretnego związku między zarzucanymi nieprawidłowościami a działaniami dyrektora. Dodatkowo w dokumentacji znajdowały się pozytywne oceny gospodarowania środkami finansowymi. Ponadto NSA wskazał, że resort nie odniósł się należycie do wyjaśnień Kostry dotyczących obiektywnych przyczyn opóźnień inwestycji.

Robert Kostro przyjął rozstrzygnięcie z satysfakcją. Jednocześnie zwrócił uwagę na praktyczne konsekwencje. „Zasadniczo sprawa nie jest do końca jasna, bo chociaż zapadło już kilkanaście postanowień o uchyleniu decyzji minister Wróblewskiej dotyczących zwolnienia z funkcji dyrektorów instytucji kultury, to wedle mojej wiedzy są one ignorowane przez resort, co skutkuje kolejnymi pozwami byłych dyrektorów, np. o opieszałość w realizacji postanowień sądu" – napisał na Facebooku. Według Kostry sądy pracy traktują kontrakty jak zwykłe umowy o pracę, a odszkodowania bywają ograniczane do wysokości trzymiesięcznego wynagrodzenia. „Kontrakt jest więc asymetryczny – daje wszystkie zalety umowy cywilnoprawnej organizatorowi instytucji, ale nie daje żadnych praw, analogicznie do kontraktów menedżerskich w biznesie, drugiej stronie, czyli dyrektorowi. Nie ma możliwości egzekwowania zobowiązań organu założycielskiego" – czytamy. W rozmowie z „Rzeczpospolitą" podkreślał, że dyrektor, przyjmując kilkuletni kontrakt, podejmuje również określone zobowiązania osobiste i finansowe. Przekonywał, że jeśli organizator instytucji jednostronnie zrywa kontrakt bez dostatecznej podstawy prawnej, powinien ponosić rzeczywistą odpowiedzialność za wynikające z tego straty.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego prezentuje odmienne stanowisko. Rzecznik resortu Piotr Jędrzejowski twierdzi, że wyrok NSA nie daje Kostrze podstaw do żądania przywrócenia na stanowisko dyrektora MHP ani do pracy w muzeum. Wskazał na możliwość dochodzenia roszczeń odszkodowawczych. Od 1 września 2025 r. Robert Kostro kieruje Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie.

Przy okazji wyroku w sprawie Kostry były minister kultury Piotr Gliński stwierdził, że to już ok. 50. wygrana sprawa z resortem kultury w obecnej kadencji. Zarzucił rządzącym systemowe naruszanie prawa i niszczenie dorobku osób związanych z poprzednią ekipą.

I CO MI ZROBISZ?

Muzeum Historii Polski to niejedyna ofiara „żelaznej miotły" Donalda Tuska. Kulisy swojego odwołania opisał Janusz Kotowski, wieloletni samorządowiec, były prezydent Ostrołęki i dyrektor tamtejszego Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Kierował placówką od grudnia 2020 r. Związany z PiS, nie ukrywał swoich konserwatywnych przekonań, także w kontekście historii. 30 kwietnia 2024 r. minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz odwołał go ze stanowiska. MKiDN uzasadniało, że Kotowski nie wywiązał się z zapisów umowy określającej warunki organizacyjno-finansowe działalności muzeum. Wśród zarzutów pojawiła się kwestia członkostwa Kotowskiego w radzie nadzorczej jednej ze spółek i obowiązku poinformowania o tym organizatora instytucji.

Sam zainteresowany przedstawił sprawę zupełnie inaczej. „Wezwali mnie na 12.00, kazali wynieść się do północy, nie przeprowadzili nigdy kontroli ani nie postawili żadnych zarzutów" – relacjonował w mediach społecznościowych. Podobnie jak Kostro, poszedł do sądu. 11 października 2024 r. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił akt jego odwołania. W uzasadnieniu zwrócono uwagę na istotne braki w dokumentacji przedstawionej przez ministerstwo. Według sądu nie wykazano należycie, w jakim okresie dyrektor miał zasiadać w radzie nadzorczej spółki, jakie były okoliczności objęcia tej funkcji i czy uzyskał wymaganą zgodę. Kotowski twierdził, że zgodę taką otrzymał ustnie od przedstawiciela resortu. Sąd wskazał również na niedostateczne uzasadnienie sposobu zasięgania opinii organizacji zawodowych i twórczych, których konsultacja była wymagana przed odwołaniem. Ministerstwo Sienkiewicza złożyło skargę kasacyjną, ale 10 lutego 2026 r. Naczelny Sąd Administracyjny oddalił ją, utrzymując korzystne dla Kotowskiego rozstrzygnięcie. Choć były dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych wygrał z rządzącymi, zwycięstwo nie doprowadziło do powrotu do muzeum. Janusz Kotowski nie ukrywał rozgoryczenia postawą resortu kultury, którym kieruje obecnie Marta Cienkowska. Przekazał, że ministerstwo odmówiło przywrócenia go na stanowisko, powołując się m.in. na fakt, że funkcje kierownicze zostały już powierzone innym osobom. „Taka ich logika i przyzwoitość – zabrałem ci wbrew prawu pracę, właściwie ukradłem, ale nie oddam, bo na podstawie tej kradzieży już coś się wydarzyło i cofać tego nie będę, i co mi zrobisz?" – komentował. „Już wczesny, pogański Rzym wiedział, że z bezprawia (a tym niewątpliwie było moje odwołanie i zwolnienie) nie rodzi się prawo. Moja sytuacja to świetny przykład wcielania w życie »mądrości« D. Tuska o prawie »takim, jak my je rozumiemy«" – napisał były dyrektor.

KTOŚ ZAUFANY

Kolejną, sądową batalię o odwołanie koalicja przegrała w przypadku Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi, powołanego w 2019 r. za rządów PiS. Instytucja zajmuje się dokumentowaniem i popularyzowaniem dziedzictwa polskiej wsi, tradycji ludowych oraz dorobku kulturowego środowisk wiejskich. Dziś rządzi nią PSL. 6 maja 2024 r. minister rolnictwa Czesław Siekierski, polityk ludowców, (zdymisjonowany podczas rekonstrukcji rządu w lipcu 2025 r.), odwołał ze stanowiska dyrektor Katarzynę Saks. Wśród zarzutów: niecelowe wydatkowanie publicznych pieniędzy na wynajem samochodów, nieprawidłowości przy organizacji zamówień publicznych oraz uchybienia dotyczące bezpieczeństwa pracy (m. in. kwestie niezalegalizowanych gaśnic i mebli zalegających na korytarzach). Sprawa trafiła do sądu. Początkowo Wojewódzki Sąd Administracyjny nie uwzględnił skargi Saks, ale 19 marca 2026 r. Naczelny Sąd Administracyjny uchylił zarówno wyrok pierwszej instancji, jak i sam akt odwołania. Wskazał, że zarzuty naruszenia przepisów nie zostały odpowiednio udowodnione. Istotne było również to, że dokument pokontrolny mający potwierdzać nieprawidłowości powstał już po usunięciu dyrektor ze stanowiska.

W rozmowie z „Rzeczpospolitą" Katarzyna Saks stwierdziła, że szybko po zmianie władzy w Polsce jasno dano jej do zrozumienia, że straci posadę. „Od ówczesnego dyrektora generalnego Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi usłyszałam, że minister chce mieć na moim miejscu

eprasa.pl 4ba9d97331



Korzystny wyrok sądowy nie zaowocował powrotem Janusza Kotowskiego na stanowisko dyrektora Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

kogoś zaufanego. Pracownica Ministerstwa Rolnictwa dopytywała dział kadr NIKiDW, czy jestem w ciąży, co uważam za wyjątkowo skandaliczne" – relacjonowała. Przekazała, że kontrolę zlecono dopiero po podjęciu politycznej decyzji o jej usunięciu. Ministerstwo Rolnictwa zdecydowanie zaprzeczyło relacji dotyczącej pytań o ciążę. Resort nie potwierdził rozmowy z ówczesnym dyrektorem generalnym i podtrzymywał stanowisko, że przyczyną odwołania były stwierdzone nieprawidłowości. Stanowisko dyrektora po Saks objęła Nina Sapa, wcześniej związana ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej, organizacją blisko współpracującą z PSL.

PISAĆ NA BERDYCZÓW

Podobne doświadczenia ma Dorota Janiszewska-Jakubiak, wieloletnia urzędniczka i specjalistka zajmująca się ochroną polskiego dziedzictwa kulturowego za granicą. Była pierwszą szefową Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą „Polonika", który odpowiada m.in. za restaurację zabytków związanych z rodzimą historią poza krajem. 10 kwietnia 2024 r. minister Bartłomiej Sienkiewicz zdecydował o jej odwołaniu. Resort powołał się na nieprawidłowości finansowe, m.in. dotację dotyczącą prac przy historycznym zespole klasztornym karmelitów bosych w Berdyczowie na Ukrainie. Chodziło o 250 tys. zł przyznane w 2021 r. na realizację zadań statutowych instytutu. W ocenie ministerstwa pojawiły się okoliczności wskazujące na możliwość naruszenia dyscypliny finansów publicznych. Ruch MKiDN wywołał sprzeciw środowiska, powstała petycja w obronie Janiszewskiej-Jakubiak, podpisana przez kilkaset osób. Decyzję o zwolnieniu zaskarżono.

W październiku 2024 r. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił akt odwołania, wskazując na przedwczesność działania ministra. „Postępowanie w sprawie o naruszenie przeze mnie przepisów dyscypliny finansów publicznych, które było podstawą do mojego odwołania, nadal nie zostało zakończone i nie zostało potwierdzone orzeczeniem przez uprawniony do tego organ" – mówiła Dorota Janiszewska-Jakubiak w rozmowie z „Rzeczpospolitą".

W ZAWIESZENIU

Jeszcze innym, motywowanym wyraźnie politycznie odwołaniem „PiS-owskiego" decydenta, jest przykład prof. Piotra Borka, rektora Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Nie został powołany na stanowisko przez ministra z PiS, lecz wybrany przez społeczność akademicką. Jego działalność przypadła jednak w dużej mierze na okres rządów Zjednoczonej Prawicy, a były minister edukacji Przemysław Czarnek pozytywnie oceniał jego pracę. Po zmianie rządu wokół rektora narastał konflikt dotyczący sposobu zarządzania uczelnią, szczególnie zwolnień i restrukturyzacji zatrudnienia. Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego z Nowej Lewicy Marcin Kulasek zdecydował o odwołaniu Borka, powołując się na przepisy pozwalające usunąć rektora w przypadku rażącego lub uporczywego naruszania prawa. Profesor zaskarżył decyzję do sądu, co we wrześniu poskutkowało uchyleniem jej przez Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie. Sąd uznał, że nie wykazano w sposób wystarczający, aby stwierdzone naruszenia miały charakter rażący lub uporczywy, konieczny do zastosowania szczególnego trybu odwołania.

W rozmowie z portalem DoRzeczy.pl prof. Borek przyznał, że wyrok nie był dla niego zaskoczeniem. „Uczestniczyłem w rozprawie wespół z moim pełnomocnikiem. Argumentacja, którą skład trzyosobowego sądu przytoczył, przeciwstawiając się zarzutom ministra nauki i szkolnictwa wyższego, w moim przekonaniu była miażdżąca" – mówił. Przekonywał, że działania związane z restrukturyzacją uczelni nie stanowiły podstawy do zastosowania wobec niego tak daleko idących środków. „Kolejni lewicowi ministrowie z jakichś politycznych względów i niechęci postanowili mnie zniszczyć. Nie mogli tego dokonać na mnie jako nauczycielu, badaczu, no to stwierdzili, że uczynią to poprzez funkcję rektorską" – stwierdził. 30 września Borek powrócił na uczelnię, by ponownie objąć funkcję rektora. Powrót trwał jednak bardzo krótko. Jeszcze tego samego dnia minister Kulasek zdecydował o jego zawieszeniu i wystąpił do Kolegium Elektorów z wnioskiem o odwołanie profesora. Obowiązki rektora ponownie powierzono czasowo prof. Wojciechowi Bąkowi.

NIEWYSTARCZAJĄCE GWARANCJE

Wspólnym mianownikiem opisanych historii jest przekonanie obecnej władzy, że zmiana polityczna automatycznie oznacza szybkie i radykalne zmiany obsady instytucji publicznych. W przypadku dyrektorów instytucji kultury ustawodawca celowo ograniczył możliwości przedterminowego zakończenia kadencji. Chodziło o to, by dyrektor nie musiał obawiać się utraty stanowiska przy każdej zmianie ministra, prezydenta miasta czy marszałka województwa. Przepisy miały zapewniać ciągłość działania instytucji oraz choćby względną niezależność kierownictwa od bieżących interesów partyjnych. Ale kolejne wyroki pokazują, że formalne gwarancje nie zawsze wystarczą. Problem dostrzega dr hab. Katarzyna Zalasińska z Wydziału Prawa i Administracji UW. W komentarzu dla „Rzeczpospolitej" wskazywała na to, że sprawy takie jak Roberta Kostry dotyczą styku prawa administracyjnego, prawa pracy i prawa cywilnego. Jej zdaniem stwierdzenie nieważności aktu odwołania może wywoływać skutki wsteczne, a tym samym otwierać drogę do roszczeń dotyczących wynagrodzenia oraz odpowiedzialności odszkodowawczej. Sprawa komplikuje się jednak wtedy, gdy stanowisko zostało już obsadzone przez nowego dyrektora. Nie wszystkie wyroki wywołują przy tym identyczne skutki prawne. Istotne znaczenie ma to, czy sąd stwierdził nieważność aktu, czy też uchylił go z powodu naruszenia prawa. Dlatego poszczególne sprawy wymagają odrębnej oceny, zwłaszcza w kontekście ewentualnych roszczeń pracowniczych i cywilnych. Przy braku woli politycznej interpretacja jest negatywna dla odwołanych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331

OPEN TEXAS HORIZONS

MISJA POLSKIEGO BIZNESU DO TEXASU

30.11 - 4.12 2026

Trwa nabór na **Misję Polskiego Biznesu do Texasu**, liczba miejsc jest ograniczona! **ZAPRASZAMY!**

TEXAS

Planujesz skalowanie firmy, jesteś start-upem, szukasz inwestorów lub chcesz wprowadzić swoje produkty i usługi na rynek amerykański?

A może chcesz otworzyć oddział produkcyjny w USA?
Bez podatków, bez wysokich cen paliw i energii?

Ta misja jest dla Ciebie!

50% RABATU
dla pierwszych 10 zgłoszeń na hasło:
DO RZECZY

ORGANIZATOR

INSTYTUT MIĘDZYMORZA

PATRONAT NAD MISJĄ

wprost
TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
tysol
Radio Wnet
DO RZECZY

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ! WWW.INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

691 502 025 SEKRETARIAT@INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

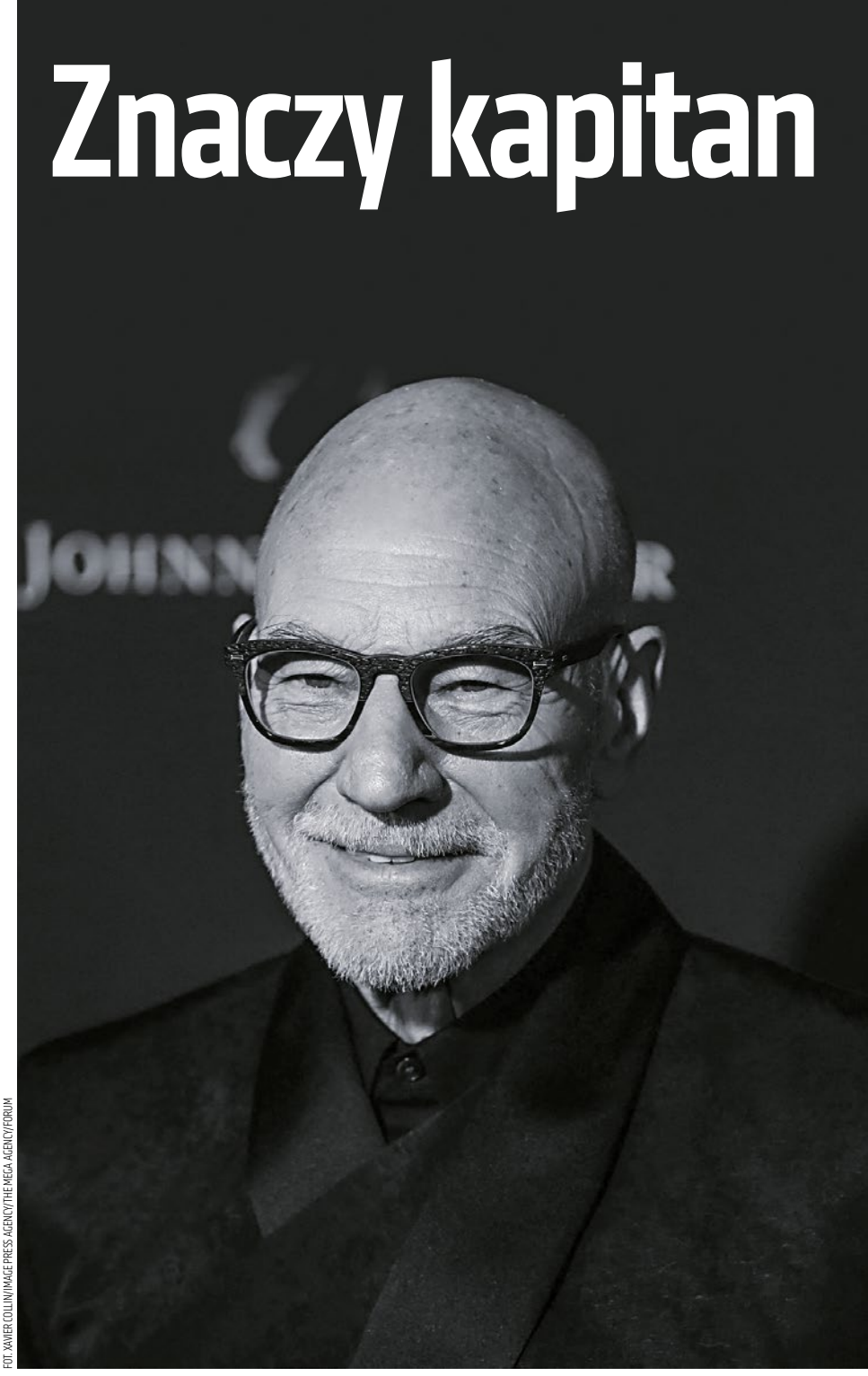
eprasa.pl 4ba9d97331

Znaczy kapitan



Piotr Gociek

Zmarł Patrick Stewart – aktor, który jak nikt połączył świat najlepszego, klasycznego teatru i współczesnej popkultury



FOT. XAVIER COLLIN/IMAGE PRESS AGENCY/THE MEGA AGENCY/FORUM

W czasach lockdownu, gdy niejeden aktor czy celebryta epatował w mediach społecznościowych swoimi domowymi cierpieniami na pluszowym krzyżu (och, jak żyć bez restauracji i bez ukochanej stylistki!), Patrick Stewart wychodził codziennie do ogródka, siadał na krzesełku i czytał na głos sonety Szekspira. Czasem przeszkadzał mu ktoś z sąsiadów. Ludzie z całego świata słuchali.

Kiedy Gene Roddenberry, twórca oryginalnego serialu „Star Trek", narzekał na Stewarta obsadzonego w roli głównej w serialu „Star Trek: Następne pokolenie", sir Patrick odczekał kilka lat i zaśpiewał mu urodzinową piosenkę. Wykon był zarówno przezabawny, jak i odrobinę złośliwy: Stewart jako kapitan Jean-Luc Picard śpiewa i tańczy wodewilowy numer na mostku statku kosmicznego Enterprise.

Gdy świat obiegła wiadomość o śmierci aktora (zmarł 28 października), w sieci zaroiło się, oczywiście, od rozmaitych pożegnań i hołdów. Nie to było dziwne, lecz to, że tak wiele z nich nagrali konserwatywni influencerzy i krytycy popkultury, dla których Stewart był „mocno czerwony", a może nawet „po prostu komuchem".

ANI PRZYSTOJNY, ANI ŁADNY

Brytyjski aktor zajął w świecie filmu, telewizji i teatru miejsce rzadko okupowane – pozostając wybitnym i cenionym aktorem klasycznym, szekspirowskim, zamieszkał jednocześnie w masowej wyobraźni milionów, stając się nieodłączną częścią dwóch niezmiernie popularnych franczyz. Rolę Jeana-Luca Picarda zagrał nie tylko w serialu „Star Trek: Następne pokolenie" (1987–1994), lecz także w skrojonym specjalnie z myślą o nim „Star Trek: Picard" (2020–2023). W filmach o „X-Men" jako profesor Charles Xavier pojawił się osiem razy, a pośmiertnie zobaczymy go po raz dziewiąty we wchodzącym na ekrany w przyszłym roku widowisku Marvela „Avengers: Doomsday".

Ani przystojny, ani ładny, łysy, o zbyt dużym nosie i wielkich uszach, nie był kandydatem na kinowego amanta, za to dokonał rzeczy niemożliwej, jako pierwszy przeszedł drogę od ubogiego chłopaka z Yorkshire do prestiżowej szkoły aktorskiej, a potem do słynnego The Royal Shakespeare Company i kolejno do Royal National Theatre. Wcześniej nie tylko kandydatów z jego regionu nie przyjmowano (z takim akcentem? Nigdy!), lecz także nawet zdobycie stypendium na kształce-

eprasa.pl 4ba9d97331

nie w tym kierunku zdawało się niemożliwe. O swoim dzieciństwie, o nauczycielu, który potajemnie zapłacił za pierwsze kursy Stewarta, choć samemu mu się nie przelewało, pisze wiele w swojej autobiografii „Making It So" (2023), niestety nieprzełożonej na polski. Co do słynnej łysiny – najsłynniejszej łysiny na świecie, bez wątpienia – włosy zaczął tracić, mając 19 lat, co było przyczyną straszliwej frustracji, był bowiem przekonany, że z tego powodu nigdy nie zostanie poważnym aktorem. Na castingi nosił tupeciki i peruki, na scenie panicznie się bał, że podczas występu spadną mu z głowy.

TALENT I POWAGA

Po przyjęciu propozycji napisania i wydania autobiografii Patrick Stewart z oburzeniem odrzucił propozycję pracy z ghostwriterem. Książkę napisał sam i słychać w niej jego osobisty ton, uroczą mieszankę powagi i humoru, czasem ironii, jak już w pierwszej anegdocie, gdy opisuje okoliczności swych narodzin, pewnego ranka położna badająca matkę Stewarta orzekła, że jeszcze długo nic się nie wydarzy i oświadczyła, że w takim razie idzie do kina. Wkrótce po jej wyjściu okazało się, że zaczyna się poród. „Przypuszczam, że na wieść że położna wybiera się do kina, postanowiłem dowiedzieć się, jaki film zamierza obejrzeć, kto w nim gra i kto jest reżyserem" – żartował. Zażartujmy i my, późniejszy aktor wykazał się szacunkiem dla branży filmowej, bo ostatecznie z wyjściem na świat zaczekał, aż położna z kina wróci.

Był aktorem poważnym, był aktorem piekielnie utalentowanym, był aktorem, który zanim trafił do Hollywood, miał już za sobą ponad 20 lat wspaniałej kariery na deskach teatru. Zdążył zagrać Shylocka, Prospera, króla Klaudiusza w „Hamlecie", króla Jana, Tytusa Andronikusa itd. Pierwszą Nagrodę Laurence'a Oliviera (1979) otrzymał za występ w „Antoniuszu i Kleopatrze" w reżyserii słynnego Petera Brooka, zagrał Enobarbusa (tego, który w pamiętnym monologu opisuje piękno Kleopatry). Rzecz nie w tym, by wymieniać kolejne inscenizacje, lecz by dostrzec, że do niczego Kalifornii, Hollywood, a już zwłaszcza telewizji nie potrzebował. Wspinał się na szczyt własną drogą. Osiągnął niemal wszystko, co brytyjski aktor mógłby sobie wymarzyć.

Pożegnaliśmy w tym roku także inną wybitną postać sceny i filmu – Jana Frycza. Gdybym miał wskazać polskiego aktora, który kojarzy mi się z Patrickiem Stewartem, to wskazałbym właśnie na Frycza. Genialnego aktora teatralnego, który zagrał tak wiele najważniejszych ról w klasyce polskiej i obcej, a który dopiero później stał się twarzą znaną także dla tych, którzy wpatrują się głównie w okienka małe i duże, czyli telewizor i kinowy ekran. I teraz najważniejsze: ta nowa kariera, ten nowy świat, popularność telewizyjna i popkulturowa, Patricka Stewarta nie zepsuła. Pozostał aktorem wybitnym. Jego powrót do teatru po latach był pełen triumfów, jego kreacje w „Makbecie" i „Hamlecie" – niezapomniane. Pozostał bowiem aktorem poważnym, myślącym o tym, co robi na serio.

Długo można wspominać i wyliczać osiągnięcia aktorskie Patricka Stewarta

Ta powaga omal nie stała się przyczyną jego zguby. Opisuje w swoich wspomnieniach, jak przyzwyczajony do skupienia i trybu pracy w teatrze, nie mógł znieść luźnej atmosfery panującej na planie przed rozpoczęciem zdjęć do serialu „Star Trek: Następne pokolenie". I to do tego stopnia, że zirytowany tym, że wszyscy sobie gwarzą o niczym i żartują, naskoczył na ekipę, krzycząc „Nie jesteśmy tu po to, żeby się bawić!". Wtedy Jonathan Frakes, grający rolę jego zastępcy, Williama Rikera, wziął go na bok i wytłumaczył, że w ten sposób szacunku i przychylności innych aktorów sobie nie zapewni.

Pierwsze dwa sezony były ciekawe, ale bardzo nierówne, scenarzyści i sam Patrick Stewart szukali właściwego tonu. Przełom nastąpił w sezonie trzecim, gdy scenariusze stały się lepsze, a Patrick Stewart poczuł się komfortowo w roli kapitana gwiezdnego okrętu Enterprise. I nagle magia zadziałała, jego powaga i poczucie humoru stworzyły postać, o której parę kolejnych pokoleń widzów mówi, że stanowi dla nich symbol mądrego przywódcy. Człowieka, który nie rzuca słów na wiatr, jest wymagający, ale i empatyczny, nigdy nie powie do swoich podwładnych: „Naprzód!", tylko „Za mną!", który poważnie traktuje swoje obowiązki i ma niewzruszony pion moralny, nawet gdy oznacza to przeciwstawienie się rozkazom przełożonych.

Jeszcze jedna rzecz, która w mojej głowie zbliża Stewarta do Frycza: wybitne kreacje czarnych charakterów. Nie było ich wiele, ale okazało się, że to role pamiętne (jak postać Daria w wykonaniu Frycza w serialu „Ślepnąc od świateł"). W mało znanym w Polsce filmie „Green Room" (2015, reż. Jeremy Saulnier) Stewart zagrał mentora i przywódcę grupy skinheadów. Zrobił to bardzo oszczędnie, kryjąc zło za fasadą spokojnego, prowincjonalnego dżentelmena. A jednocześnie był po prostu przerażający. Znamy z kolei bardzo dobrze „Opowieść wigilijną" (1999, reż. David Jones) – nie widziałem w życiu lepiej zagranego Ebenezera Scrooge'a niż ten w wykonaniu Stewarta. Tu też uniwersum telewizji i teatru się przeplata – wcześniej zagrał tę postać w monodramie na Broadwayu (rok 1991).

Długo można wspominać i wyliczać osiągnięcia aktorskie Patricka Stewarta, byłby wielkim aktorem, gdyby mu policzyć jedynie to, co w teatrze, a odciąć to, co na ekranie. Ale i odwrotnie. Dla jednych to Gurney Halleck z „Diuny" Davida Lyncha, dla innych kapitan Ahab z telewizyjnej adaptacji „Moby Dicka". Dla milionów widzów z całego świata stał się przede wszystkim najpierw kapitanem Jeanem-Lucem Picardem, ale potem kimś więcej: w czasach, które tak cierpią na brak przywódców mądrych, uczciwych i szanowanych, wykreowany przez niego oficer Gwiezdnej Floty stał się takiego przywódcy symbolem.

Epitafium dla niego niech stanie się cytat, który sam wybrał jako motto do swych wspomnień, czyli cytat z IV aktu „Wszystko dobre, co się dobrze kończy" Williama Szekspira: „Tkanina naszego żywota z pomieszanych składa się nici, złe i dobre, na przemian. Cnoty nasze byłyby za dumne, gdyby ich nasze wady nie chłostały, a rozpaczałyby nasze zbrodnie, gdyby im nasze cnoty nie szeptały słów pociechy". Winni o tym pamiętać i aktorzy, i przywódcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331

Pożytki z Gintrowskiego



Krzysztof Masłoń

To Adam Borowski w trakcie protestu przed siedzibą Trybunału Konstytucyjnego zacytował nagle „Margrabię Wielopolskiego" (słowa Jerzy Czech), który to utwór starsi pamiętają z genialnej interpretacji Przemysława Gintrowskiego:

Pan margrabia wciąż kroczy po linie
Niebezpiecznie tak wysoko chodzić
Przecież klęska go w końcu nie ominie
Bo ma pecha, kto tutaj się rodzi
Twej pogardy nikt ci nie wybaczy
Myśmy ciemni, zapalni i łzawi
A tyś dumny, tyś z nami nie raczył
W narodowym barszczu się pławić
Po co w twarze logiką nam chlustasz?
Nie czytaliśmy Hegla jaśnie panie
Dla nas Szopen – groch i kapusta
I od czasu do czasu powstanie.

Bohaterem utworu jest Aleksander Wielopolski, naczelnik rządu cywilnego Królestwa Polskiego, który dbał m.in. o równouprawnienie Żydów i o reformy oświatowe, ale o odzyskanie niepodległości już niekoniecznie. To on opracował ustawę dopuszczającą użycie siły zbrojnej wobec ludności cywilnej. Decyzja ta była podstawą masakry bezbronnej ludności Warszawy dokonanej przez zaborcę 8 kwietnia 1861 r. na Placu Zamkowym. A w 1863 r. zarządził Wielopolski brankę do wojska, która w efekcie przyspieszyła wybuch powstania. Gdy nie udało mu się uspokoić nastrojów rewolucyjnych, utracił zaufanie cara i został zdymisjonowany. „Jak pan robi to, Wasza Ekscelencjo – pytał Przemek Gintrowski – że po każdej nienawidzą Cię stronie?". A w jego songu o margrabim, o którym po latach powstały książki m.in. Zofii Kossak i Władysława Terleckiego, słyszymy dalej:

Pan margrabia wciąż kroczy po linie
Choć niezgrabny i posturę ma dzika
A gdy spadnie, to zyska jedynie
Miano zdrajcy zamiast pomnika.
Że spadłeś, to zwykły los Polski
Każdy w końcu z liny tej spadnie
Tylko czemuś zapomniał, Wielopolski,
Że upadać też trzeba ładnie?

Donald Tusk posturą dzika nie przypomina, zresztą nie tylko to różni go od Wielopolskiego, ale nie dziwię się Borowskiemu, że wpisał mu się song Przemka w nastrój panujący u schyłku października w warszawskiej Alei Szucha. A mnie skłonił do sięgnięcia po inne piosenki tego barda, zwłaszcza te nieoczywiste, mniej znane, a czasem – jakże niesłusznie – zapomniane.

Możemy się z nich dowiedzieć np., jak sprawujący władzę udający demokratę dyktator wprowadza w życie nauki zaczerpnięte z „Księcia". Wyszczególnił je Jerzy Czech w kolejnym utworze z repertuaru Gintrowskiego, pt. „Machiavelli":

Komu brak oręża, marna jego dola,
Przekonał się ongi wasz Savonarola,
Gdy skwierczał na stosie w sposób dość niemiły.
Co warte ideały, kiedy braknie siły?
Mnie zaś szczęście sprzyja i nie grożą stosy,
A lud jest mi wierny, bo mam wojska dosyć.
Lud ku silniejszemu zazwyczaj się skłania
I od koszul częściej zmienia przekonania.
Gdy w opałach wdzięczność rzadkim jest uczuciem,
Mało kto zapragnie kiwnąć palcem w bucie.
Więcej więc pożytku przyniesiesz swym włościom,
Rządząc ludźmi raczej strachem niż miłością.

Efekty tego widać, zwłaszcza w salonach i przedpokojach władzy, gdzie rezonuje zapewnienie zawarte przez Jerzego Czecha w „Iwanie Groźnym":

My cię wielbić będziem jeszcze więcej
Ciebie, wielki gasudarze, sławimy
Hej, sokole jasny, miłujemy
Wiecznie Ciebie sławić, kochać będziemy
Bo nie kochać to się boimy.

Niestety, wielu z tych, którzy koniecznie chcieli się ogrzać przy świetle obecnej władzy, wyszło na tym, no cóż, tak jak bohaterowie śpiewanego przez Gintrowskiego „Ducha czasu" (słowa Jacek Kaczmarski):

Którzy myśleli, że się Go oswoi,
Ci się najłatwiej oswoić Mu dali:
Przynętę przełknął, z piszczałek rozbroił,
Pogonił batem po okrągłej Sali.
Którzy myśleli, że się Go oszuka,
Ani spostrzegli, a już oszukani.
Nie raczył nawet do ich drzwi zapukać,
Żeby uścisnąć dłonie z kajdankami.
Którzy myśleli, że się Go uprosi,
Dziś proszą Jego oficjalne cienie.
On dla nich – Ucho, więc pokora w głosie;
Oni dla Niego – przydrożne kamienie.
Którzy myśleli, że podobni Jemu,
Nagle podobni są tylko do siebie.
Twarze Wszechmocnych, którzy chcieli nie móc,
Jak zwykłe ścierki użyte w potrzebie.
Którzy myśleli, że się Go pokona
Dziś zamieszkują piekła i kurhany.
Dopóki z gwiazd ich ostatnia nie skona,
Kres Jego władzy jest gdzieś zapisany.

Słuchajmy Gintrowskiego, znów aktualnego, gorzkiego, mądrego. Nigdy niepopadającego w łatwy optymizm, a także odważnego, przypominającego, że hymnu narodowego nie śpiewa się ot tak sobie, bo to nie jest li tylko piosenka o „Basi i tarabanach". A dopełnienia „Jeszcze Polska…" poszukajmy w „Księciu Józefie Poniatowskim" (słowa Jerzy Czech):

Ostatni właśnie wysadzono most.
Do diabła z nim! Wpław rzekę przepłyniemy!
My sami wszak wybraliśmy ten los
I białych flag wywieszać nie będziemy.
Przeszliśmy Wisłę i Wartę przeszliśmy,
Więc chyba już jesteśmy Polakami,
Jesienny blask rozpędził ranne mgły
I czarne orły widać ponad nami.

Przemek śpiewał też wiersz Andrzeja Bursy współbrzmiący z hasłami w rodzaju „Byle nie Tusk". Brzmi on tak:

Jaki miły i mądry facet
naprawdę mądry
nie z tych przemądrzałych
obieżyświat
co to z niejednego pieca chleb jadł
wyrozumiały i uprzejmy
cała anatomia jego twarzy
zdradzała lekki wysiłek
ust:
by mądrzej i grzeczniej do mnie mówić
oczu:
by uważniej i uprzejmiej mnie słuchać
taaaak…
naprawdę nie mogłem nie napluć mu
w mordę. ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 4ba9d97331



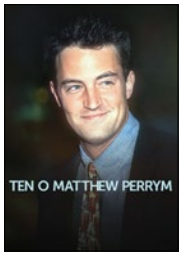
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Chandler odchodzi



★★★★★★

REŻ. MARY ROBERTSON
„TEN O MATTHEW PERRYM"
USA 2026

dokumentalny, dystr. Netflix

Smutna jest to historia. Po trzech godzinach (i odcinkach) oglądania wniosek jest prosty: jedyne, co wyszło Matthew Perry'emu w życiu, to wygranie castingu do roli Chandlera w serialu „Przyjaciele". Wcześniej grywał tu i ówdzie, ale mało kto o tym pamiętał, a i w kieszeni bywało częściej płótno niż dolary. Potem dolarów było wiele, ale w kieszeni pojawiały się głównie rozmaite substancje. Te, których nie zażywa się przy użyciu kieliszka. Ale kieliszek też był w ruchu. Niemal nieustannie.

Jeżeli w ostatniej dekadzie życia (Perry zmarł, gdy miał 54 lata) najbliższymi ci osobami są młodsze od ciebie o 30 lat dziewczęta, które poznałeś na odwyku, to znaczy, że w twoim życiu coś poszło bardzo nie tak.

Twórcy serialu oddają głos dwójce najlepszych przyjaciół Perry'ego z dzieciństwa: imprezowanie było na porządku dziennym od bardzo dawna. Pierwszy alkohol w wieku lat 14. Aktor wspomina, że po nim czuł się, jakby latał. Pierwszy wypadek samochodowy spowodowany pod wpływem miał miejsce, jeszcze zanim rozpoczął lot ku sławie. I tak dalej. Głównych narratorów opowieści jest dwoje: sam Perry oraz jego młodsza o 14 lat siostra. Bywają chwile, gdy wszystko to ociera się o emocjonalną pornografię; takie są dziś telewizja i streaming: bebechy na wierzchu.

Widzieliśmy takich hollywoodzkich opowieści wiele: kłopoty na planie i poza planem, powroty do klinik z odwykiem, kłopoty z utrzymaniem stałych relacji z ludźmi. Tym, co nadaje historii Perry'ego rys tragiczny, jest fakt, że od pewnego czasu był w pełni świadomy tego, co się z nim dzieje, z jakimi demonami przegrywa walkę. Podejmował rękawicę, boksował się, ale zawsze przegrywał. Jego mocna, brutalnie szczera autobiografia (oczywiście stała się światowym bestsellerem) to bardziej pożegnanie ze światem niż początek nowego rozdziału. Pod koniec lektury staje się to jasne.

W pierwszych zdaniach tego tekstu byłem niesprawiedliwy. Perry miał talent: grał, pisał, wymyślał seriale, ale oprócz „Przyjaciół" nigdy nie osiągnął wiele. Być może wszystko sprowadzało się do tego, że aby utrzymać się na bestii zwanej sukcesem, trzeba poskromić inne bestie. Perry'emu się to nie udało. ©℗

GRA TYGODNIA: „MONOPOLY: LATA 90." ★★★★★★

Najnowsza edycja tej gry odwołuje się do wspomnień osób, których dzieciństwo przypadło na koniec XX w. Gracze nie kupują już luksusowych hoteli czy intratnych nieruchomości, lecz kultowe symbole epoki. Wśród nich: kasety VHS, magnetowidy, kartridże do Pegasusa, kapsle (tazosy), deskorolki, a także pierwsze telefony komórkowe zwane cegłami. Zamiast domów i hoteli buduje się bazy z koców oraz krzeseł. Dla najmłodszych ta gra pewnie będzie nudna z powodu nieznajomości realiów tamtych czasów.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Millennialsi 40+ będą zachwyceni. Teraz grają rodzice! ©℗

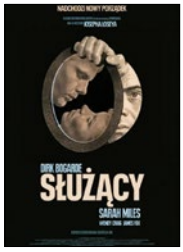
Anna Zalewska

- ***Gatunek:*** ***ekonomiczna, towarzyska***
- ***Producent, dystrybutor:*** ***Winning Moves***

eprasa.pl 4ba9d97331

Diabeł w salonie

KINO



★★★★★★

REŻ. JOSEPH LOSEY
„SŁUŻĄCY"
WIELKA BRYTANIA
1963

wyst. Dirk Bogarde, James Fox, Sarah Miles

Rok 1962 był dla Wielkiej Brytanii przełomowy. Od imperium oderwały się kolejne kolonie, Beatlesi nagrali pierwszy album, na scenie zadebiutowali Stonesi, pod kinami ustawiały się kolejki, gdyż na ekranach pojawił się „Doktor No" inicjujący serię widowisk o przygodach Jamesa Bonda. Przyszły noblista Harold Pinter przerabiał zaś minipowieść Robina Maugham na scenariusz filmowy.

„Służący" ma wielu antenatów. Motyw niewolnika mądrzejszego od swego pana eksploatowali już autorzy antycznych komedii. U Maughama/Pintera humor jest żrący jak kwas solny, a diagnoza bezlitosna. Hugo Barrett nie przypomina Figara czy Kubusia Fatalisty. Ma dobre referencje, imponuje dyskrecją i kompetencjami. Pełni obowiązki kucharza i majordomusa. Nadzoruje remont zapuszczonej londyńskiej kamienicy, wymyśla dla niej adekwatny wystrój, ponieważ pryncypał jest – wstyd przyznać – leniem, snobem tudzież bałaganiarzem, nieprzygotowanym do dorosłego życia i podejmowania decyzji. Z czasem na wizerunku idealnego kamerdynera pojawia się coraz więcej rys. Pierwsza dostrzega je, wiedziona kobiecą intuicją, narzeczona sir Tony'ego.

„Służący" był filmem na swoje czasy obrazoburczym i wywrotowym, szyderstwem rzuconym w twarz próchniejącej monarchii. Wieszczył koniec świata dżentelmenów, dając zarazem do zrozumienia, że w Zjednoczonym Królestwie możliwa jest tylko rewolucja obyczajowa. Proletariusze nie pragną bowiem zmiany ustroju, lecz razem z elitami chcą nurzać się w dekadencji. Dzisiaj świat znowu zeskorupiał. Najlepiej sprzedają się apologie „starej dobrej Anglii" epatujące wizją szczęśliwych służących żyjących z jaśniepaństwem w symbiozie. Ponadto Wyspiarze znów cienko przędą, więc pomysł ponownego wprowadzenia na ekrany pierwszej części „trylogii klasowej" Loseya i Pintera może być strzałem w dziesiątkę.

Współczesne kino antysystemowe razi prymitywizmem albo dąży do groteski. Na tym tle „Służący" jawi się jako arcydzieło wstrzemięźliwości, precyzji oraz dobrego smaku. Zabawne, że establishment po latach złożył hołd swoim krytykom. Scenarzysta i autor zdjęć dostali Ordery Imperium Brytyjskiego, a odtwórca głównej roli – tytuł szlachecki. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

IM DALEJ W LAS

Koszmar familijny. Osiemnastoletnia Alice w środku nocy wybiera się na przejażdżkę i będąc pod wpływem, powoduje wypadek. Rodzice drugim samochodem gnają na ratunek, ale odmiennie rozumieją dobro córki. W dodatku ich związek najwyraźniej wszedł w fazę kryzysu. Przez godzinę z hakiem oglądamy gadające głowy. Reżyser próbuje minimalnymi środkami uzyskać maksymalny efekt. Przejazd kamery przez opustoszały salon dostarcza kluczowych informacji. Rosamund Pike znów udowadnia, że nie wszystkie dziewczyny Bonda to marne aktorki. „Hallow Road" zaskakuje zmianą tonacji: z psychologicznego dreszczowca staje się mózgotrzepem, fantasmagorią z krainy Davida Lyncha. Nie wszyscy widzowie lubią takie figle, ale tylko w demokracji większość zawsze ma rację. Sztuka rządzi się innymi prawami. ©℗



★★★★★★

REŻ. BABAK ANVARI
„HALLOW ROAD"
WIELKA BRYTANIA/CZECHY/IRLANDIA/USA
2025

wyst. Rosamund Pike, Matthew Rhys, Megan McDonnell



ANNA ZALEWSKA

DO ZOBACZENIA

Piast Superwomen

GDZIE? ***Muzeum Początków Państwa Polskiego, Gniezno***
KIEDY? ***do 17 października 2027 r.***

Wystawa poświęcona kobietom z pierwszej polskiej dynastii – księżniczkom, księżnym, królowym i mniszkom – skupia się na zapomnianych postaciach, m.in. na Regelindzie i Świętosławie. Były nie tylko żonami, matkami, teściowymi czy babkami władców, lecz także fundatorkami, mecenaskami sztuki czy politykami. W zrekonstruowanych komnatach ośmiu wybranych bohaterek można zapoznać się z historiami ich życia, słuchając fabularyzowanych narracji autorstwa Elżbiety Cherezińskiej, autorki powieści historycznych, czytanych m.in. przez Danutę Stenkę i Sonię Bohosiewicz.

Opowieści o wydarzeniach, które miały decydujący wpływ na życie kobiet z rodu Piastów, nie opisują ich wyłącznie jako osób zepchniętych na margines z powodu płci czy narzuconych ról. Miały one również prawo do własnych decyzji, co ukazano, prezentując ich dokonania i doświadczenia. ©℗



FOT. MUZEUM POCZĄTKÓW PAŃSTWA POLSKIEGO

eprasa.pl 4ba9d97331



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Trudna ojczyzna

Swoją ojczyznę poznałam w bardzo trudnych warunkach – wspominała Barbara Paciorkiewicz w latach 80. – W okresie, kiedy najbardziej potrzebuje się opieki rodziców. Tym bardziej matki, której brak odczuwam jeszcze dzisiaj, a przecież w ogóle jej nie znałam. Zmarła, kiedy miałam rok i kilka miesięcy, tuż po rozpoczęciu wojny, 2 września 1939 roku".

Opiekę nad nią przejęła mieszkająca w Łodzi babcia, której pewnego dnia 1942 r. pod pretekstem badań lekarskich kazano zgłosić się z dzieckiem na Piotrkowską 111 do siedziby Jugendamtu, gdzie odbywała się selekcja mająca wybrać najbardziej wartościowe dzieci nadające się do zniemczenia. Basia uznana została za jedno z takich dzieci. Babci dziecka nie poinformowano, dokąd zabrano Basię, a przybrany ojciec odebrał ją w 1942 r. z instytucji Lebensbornu (dosłownie „źródło życia") w Bad Polzin, jak się wówczas nazywał Połczyn-Zdrój, a tam właśnie przetransportowano dziewczynkę. W tym miejscu rodziły się aryjskie dzieci, ale i trafiały te odebrane polskim rodzinom – wartościowe rasowo, spełniające wymogi SS. Ze zmienioną tożsamością wędrowały do niemieckich rodzin zastępczych, gdzie miano je wychować na porządnych Niemców.

Z ok. 200 tys. dzieci wywiezionych do III Rzeszy do kraju wróciło w sumie ok. 33 tys. Często to były bardzo trudne powroty. „Moja wojna trwała znacznie dłużej niż do maja 1945 roku – wspomina po latach Barbara Paciorkiewicz. – Dziewczynce przekazywanej z miejsca na miejsce, przed i po wojnie, trudno było dostosować się do nowego miejsca i spotkanych obcych ludzi. Nawet mówić, raz po polsku, później po niemiecku, mi zakazywano. Nieraz myślę, gdyby rodzina Rossmannów nie zabrała mnie z Połczyna-Zdroju, mój los potoczyłby się inaczej. A gdybym została w Lemgo? Byłabym dzisiaj Niemką i na pewno innym człowiekiem. Może kobietą pewną siebie, odważniejszą. I wierzyłabym bardziej w swoje możliwości, których nie wykorzystałam. Kto wie? A może dzisiaj szukałabym swoich korzeni w Polsce?".

Barbara Paciorkiewicz miała, co brzmi być może paradoksalnie, sporo szczęścia. Wychowująca ją rodzina Rossmannów oddała przybraną córkę poszukującej jej przez Polski Czerwony Krzyż polskiej babci w przeświadczeniu, że dziecko powinno wrócić do ojczyzny. Szukali jej potem w Polsce, odnaleźli i do ostatnich swoich dni pozostawali jej rodziną. I tak niemieckie Lemgo pozostało dla niej „pięknym miastem dzieciństwa, które mimo strasznej wojny dało jej kochający i bezpieczny dom".

W ojczyźnie, którą dopiero poznawała i uczyła się jej, trafiła do domu ciotki w Gdańsku. Miasto było zniszczone, nie podobało się jej. Bo i co mogło się w nim podobać? W szkole dzieci naśmiewały się z jej mowy, „uważały, że jestem Niemką, więc z przekory nawet kiedyś powiedziałam, że Hitler jest moim wujkiem. Po latach sama się śmiałam z własnej naiwności, opowiadając o zabawie, kiedy na przerwach dzieci wybierały mnie do kółka i śpiewały »Stary Hitler mocno śpi«, zamiast »Stary niedźwiedź mocno śpi«. Nie miałam im tego za złe, bo co ja wtedy wiedziałam o Hitlerze? Widziałam go tylko na fotografii".

Po dwóch latach została ochrzczona w kościele katolickim i przystąpiła do pierwszej komunii świętej. Niewiele z tego rozumiała, z Rossmannami chodziła przecież do kościoła ewangelickiego. Wkrótce też przeprowadziła się do Łodzi, do babci, która jednak po kolejnych dwóch latach zwróciła się o pomoc do opieki społecznej, bo ze skromnych dochodów ciężko było im wyżyć. W efekcie Barbara znalazła dla siebie miejsce w domu dziecka. Przestała ufać ludziom i zamknęła się w sobie.

„Jako 3- lub 4-letnie dziecko przesyłano mnie z miejsca na miejsce niczym paczkę, która nie wiadomo, do kogo należy. Podczas tych wojaży towarzyszył mi zawsze lęk i płacz. Przecież zabrano mi rodziców oraz dom, a dopiero po latach zrozumiałam, że także tożsamość, ojczyznę i mowę polską. Wiele wydarzeń pomału wróciło z mojej podświadomości, inne znam tylko z opowiadań czy dokumentów przesłanych z Międzynarodowego Biura Poszukiwań w Bad Arolsen w Niemczech. Nazbierało się tyle przeżyć, dobrych i złych wspomnień sięgających czasów II wojny światowej, kiedy to zaczyna się historia dziecka, o którego losie decydowali ludzie z ramienia SS".

Organizatorzy tego procederu nie ponieśli kary. „W procesach norymberskich – czytamy – decydenci Lebensborn nie usłyszeli żadnych zarzutów związanych z przymusową germanizacją porwanych dzieci. Wprawdzie większość z nich została po wojnie aresztowana, ale powodem była przynależność do zbrodniczej organizacji SS. W Norymberdze wypuszczono ich na wolność. Lebensborn nadal uchodził w powojennych Niemczech za organizację charytatywną – tak jak to definiowali jej założyciele w latach 30. XX wieku". ©℗



★★★★★★

BARBARA PACIORKIEWICZ „DZIECKO SZCZĘŚCIA. PRZEŻYŁAM LEBENSBORN" KSIĘŻY MŁYN, ŁÓDŹ 2026

eprasa.pl 4ba9d97331



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Galia we krwi

Alberto Angela – człowiek orkiestra. Pracuje naukowo, pisze, prowadzi programy telewizyjne, kręci filmy popularnonaukowe, prowadzi akcje charytatywne. Dochody ze sprzedaży książki „Pompeje. Trzy ostatnie dni" przeznaczył na odrestaurowanie fresku „Ranny Adonis" w jednym z pompejańskich domów.

Paleontolog z wykształcenia – nie historyk klasyczny! – co daje mu niesłychanie cenne umiejętności pracy nie tylko na źródłach pisanych, lecz także na fizycznych pozostałościach przeszłości. Tropił wraz z misjami archeologicznymi pozostałości przodków człowieka, dinozaurów i wielkich cywilizacji. Ma przy tym pióro lekkie i barwnie opowiada – krótko mówiąc, jest to znakomity popularyzator wiedzy.

Odnotowywałem polskie premiery jego książek z ukontentowaniem; jest co czytać, np. o życiu codziennym Imperium Rzymskiego opowiadał poprzez prześledzenie drogi jednego zmieniającego ręce denara. Właśnie dostaliśmy po polsku jego najnowszą książkę pt. „Cezar". Wbrew efektownemu podtytułowi „Człowiek, który podbił wieczność" nie jest to biografia, lecz bardziej podróż śladami słynnego wodza i jego słynnego pamiętnika. Którego? Ci, którzy uczyli się łaciny, pamiętają: „Gallia est omnis divisa in partes tres". Inni pewnie pamiętają z piosenki Kaczmarskiego „Lekcja historii klasycznej", tej, w której śpiewano też „Gniją wzgórza galijskie w pomieszanej krwi/A Juliusz Cezar pisze swoje pamiętniki".

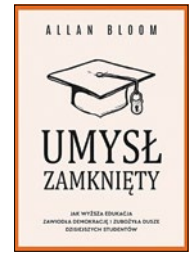
Bierze więc Alberto Angela do ręki „O wojnie galijskiej" i ze źródłami pisanymi w ręku, ale jednocześnie przyglądając się mapom, przemierzając pola bitew i używając archeologii oraz AI do rekonstrukcji (jakże piękne portrety Cezara tu mamy!), odtwarza przebieg podboju, który wyniósł Cezara na szczyty sławy. Wszystko to, co wydarzyło się później (wracając do Kaczmarskiego: „nieunikniony koniec republiki"), bierze początek na skrwawionych ziemiach Galii, gdzie Cezar po wielokroć wykazuje się geniuszem, równie często bywa okrutnikiem, a miłość legionów do wodza rośnie niepomiernie. Nie czytałem równie ciekawej książki o kampanii militarnej od czasów „Pieśni łuków" Bernarda Cornwella o Azincourt. Cornwell wybrał formę powieści, Angela pisze non-fiction, ale obu czyta się równie dobrze. ©℗



★★★★★★
ALBERTO ANGELA „CEZAR" WYDAWNICTWO PORT 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jedna z najważniejszych książek ostatniego półwiecza – wyjaśnia przyczynę kryzysu uniwersytetów, marszu lewicy przez instytucje oraz podsumowuje (w sposób miażdżący) tzw. akcję afirmacyjną. Klasyka, którą trzeba znać.



ALLAN BLOOM „UMYSŁ ZAMKNIĘTY" ZYSK I S-KA

Co zmienia AI: cywilizację ludzką czy samego człowieka? Czy maszyny myślą? Kim jest „człowiek zamknięty" i co to selfizm? Czym jest prawda w czasach AI? Zestaw intrygujących esejów kapłana i filozofa z UKSW.



BP JACEK GRZYBOWSKI „ODWAGA MYŚLENIA W CZASACH SZTUCZNEJ INTELIGENCJI" TP

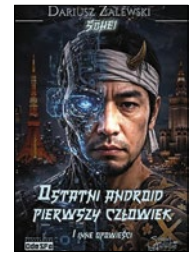
Adler-Olsen planował napisanie 10 powieści o kopenhaskim Departamencie Q i plan zrealizował. Pozwolił jednak rozbudować to uniwersum spółce autorskiej Line Holm – Stine Bolther. Efekt nie jest zły.



JUSSI ADLER-OLSEN „MARTWE DUSZE NIE ŚPIEWAJĄ" SONIA DRAGA

Zbiór opowiadań autora z kręgu słynnego Klubu Twórców (który dał nam wielu pisarzy, m.in. Ziemkiewicza, Kołodziejczaka, Kresa czy Piekary). Sohei preferuje klasyczną SF; po latach milczenia niedawno wrócił do pisania.

recenzuje Piotr Gociek



DARIUSZ „SOHEI" ZALEWSKI „OSTATNI ANDROID, PIERWSZY CZŁOWIEK" ODESFA

KOMIKS TYGODNIA: WRÓCIŁ TYTUS

Artur B. Chmielewski, syn Henryka Jerzego Chmielewskiego (Papcia Chmiela), wraca do postaci wymyślonych przez ojca. Na co dzień naukowiec w centrum badawczym NASA, tym razem przypomina sobie czasy, gdy tata testował na nim dowcipy. Wymyśla własne i pisze scenariusz o przygodach Tytusa ze sztuczną inteligencją, a za rysunki odpowiada Zbigniew Larwa.



„TYTUS, ROMEK I A'TOMEK. NOWE PRZYGODY" PRÓSZYŃSKI I S-KA 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl 4ba9d97331



Łukasz Warzecha

Wizyta, której nie było

Na Ukrainie rządzą służby, a te ani nie szanują wolności słowa, ani nie zależy im na poprawie stosunków z Warszawą – wręcz przeciwnie. To zapewne klucz do zrozumienia, dlaczego nie wpuszczono mnie na Ukrainę



FOT. ARCHIWUM AUTORA

Zacznijmy od suchej relacji. 24 września dostaję wiadomość od pracownicy Centrum im. Juliusza Mieroszewskiego (niegdyś Centrum Dialogu Polsko-Rosyjskiego, przemianowanego po ataku Rosji na Ukrainę). To państwowa instytucja, obecnie zajmująca się głównie budowaniem miękkich relacji z Ukrainą. Dyrektorem Centrum od tego roku jest dr Łukasz Adamski, historyk (nie mylić z Łukaszem Adamskim, krytykiem filmowym). Wiadomość brzmi: „W imieniu Centrum Mieroszewskiego oraz Instytutu Ukraińskiego [to ukraińska rządowa instytucja powiązana z MSZ Ukrainy – przyp. Ł.W.] chciałabym serdecznie zaprosić Pana do udziału w wizycie studyjnej w Kijowie, zaplanowanej w dniach 2–7 listopada 2026 roku".

GRATKA

Jestem bardzo zaciekawiony, ale i zaskoczony. Wiem, że centrum organizowało już kilka takich wizyt oraz że próbowano umieścić mnie na liście któregoś z tych wyjazdów, moje nazwisko było jednak konsekwentnie odrzucane przez stronę ukraińską. Jak się nieoficjalnie dowiaduję, coś się jednak zmieniło, a Ukraińcy postanowili skonfrontować się z dziennikarzami również sceptycznymi. Dotychczas bowiem w grupach studyjnych wyjeżdżali właściwie wyłącznie przedstawiciele mainstreamu bezkrytycznego zarówno wobec relacji polsko-ukraińskich, jak i samej Ukrainy. Wystarczy sprawdzić, z jakich mediów pochodzili uczestnicy.

Zdaję sobie oczywiście sprawę z ryzyka – wszak Kijów jest intensywnie atakowany z powietrza, a trzeba tam jeszcze dojechać – ale propozycja jest tak nęcąca, że waham się bardzo krótko. Wstępny program, przekazany wraz z zaproszeniem, przewiduje spotkania z ważnymi urzędnikami państwa ukraińskiego, w tym administracji prezydenta Zełenskiego. Dla publicysty zajmującego się m.in. polityką zagraniczną oraz kwestią ukraińską – jedną z najważniejszych w polskiej polityce od 2022 r. – to gratka, której nie sposób odpuścić. Z zadowoleniem myślę również o tym, że Ukraina jednak postanowiła w końcu zachować się jak kraj cywilizacji zachodniej, który potrafi w otwartej dyskusji bronić swoich racji. Akceptuję zaproszenie.

26 października docierają dalsze detale: skonkretyzowany program oraz informacja, że wbrew wcześniejszym ustaleniom podróż ma się odbyć busem, nie pociągiem. To zrozumiałe, wziąwszy pod uwagę, że pociągi ze względu na alarmy przeciwlotnicze zaliczają na Ukrainie olbrzymie opóźnienia.

2 listopada wcześnie rano pojawiam się przed Centrum Mieroszewskiego w Warszawie, czyli na miejscu zbiórki. Z wcześniej zapowiadanej grupy siedmiu osób (plus przedstawicielka organizatorów) dwie osoby odpadły z przyczyn prywatnych. Pozostali uczestnicy to Karolina Wójcicka z „Dziennika Gazety Prawnej", Bartosz Kielak z „Times", Wojciech Łobodziński z „Więzi" i Michał Karnowski z kanału TAK.

Podróż do niedużego przejścia granicznego w Dołhobyczowie trwa ok. pięciu godzin – docieramy tam mniej więcej o 13. Polska kontrola graniczna trwa kilka minut i przebiega bez żadnych problemów. Przejeżdżamy na stronę ukraińską, podchodzimy do okienka Straży Granicznej, podajemy swoje paszporty i pokazujemy twarze strażniczce (cała komunikacja odbywa się ze strony Ukraińców wyłącznie po ukraińsku – wygląda to tak, jakby nikt tam nie znał ani słowa po angielsku). Wszyscy uczestnicy wyjazdu dostają swoje dokumenty z powrotem – oprócz mnie. Strażniczka bierze mój paszport i idzie z nim bez słowa wyjaśnienia do głównego budynku. Czekamy. „To pokazucha" – uspokaja przedstawicielka organizatorów, młoda, sympatyczna Ukrainka, świetnie zresztą mówiąca po polsku. Strażnik każe kierowcy zjechać na bok.

SPEKTAKL NA GRANICY

Po kilkunastu minutach nadchodzi ukraińska strażniczka i prowadzi mnie do głównego budynku placówki. Tam w pokoju biurowym czeka na mnie młody, niespełna 30-letni funkcjonariusz. Mój paszport leży otwarty na stole. Strażnik pyta, czy mówię po ukraińsku. Nie mówię, ale mogę się postarać coś zrozumieć. Pada pytanie, czy to mój pierwszy wyjazd na Ukrainę. Potwierdzam, jednocześnie myśląc, że przecież ta informacja musi mu się wyświetlać w systemie. Pyta o cel podróży. Wyjaśniam – po polsku. Po kilku minutach wracam do grupy. Czekamy.

Mniej więcej o 14 inny strażnik nakazuje mi zabrać wszystkie moje rzeczy z busa i prowadzi mnie z powrotem do budynku Straży, gdzie umieszcza mnie w salce z kilkoma stołami i krzesłami biurowymi.

eprasa.pl 4ba9d97331

Drzwi na korytarz pozostają otwarte. Od tego momentu przez kolejnych kilka godzin nikt ze strażników się mną nie interesuje. Na korytarzu nie ma żadnego automatu z napojami czy jedzeniem. Toaleta jest.

Jestem w kontakcie z dr. Adamskim. Dyrektor Centrum Mieroszewskiego zapewnia, że sytuacją natychmiast się zajął. O 14.39 pisze do mnie: „Trwają interwencje na najwyższym szczeblu. Albo prowokacja, albo niesamowita głupota i chaos w przepływie informacji. Mam nadzieję, że się uda rozwiązać problem; osoby interweniujące – też mają taką nadzieję. Przepraszam za tę sytuację. Wszystkie instytucje ukraińskie miały listy i nie zgłaszały zastrzeżeń". Kolejne godziny to kolejne telefony od dr. Adamskiego i wiadomości od opiekunki grupy. O 15.43 dostaję od niej wiadomość, że ze względu na ograniczenia kierowcy grupa musi wyruszyć w drogę beze mnie. Przyjmuję to ze zrozumieniem.

Przez cały czas mojego oczekiwania z naszej grupy, poza opiekunką, kontaktuje się ze mną jedynie Michał Karnowski. Pyta kilkakrotnie, czy wszystko gra i jak się trzymam. Pisze również, że może powinien był zostać ze mną, ale w odpowiedzi stwierdzam, że problem dotyczy przecież tylko mnie. Byłem też w stałym kontakcie z moimi kolegami z redakcji tygodnika „Do Rzeczy".

Kontaktuje się ze mną także polski konsul ze Lwowa – proponuje nocleg w konsulacie, gdy zostanę już przepuszczony, nie mógłbym bowiem jechać zorganizowanym specjalnie samochodem prosto do Kijowa. W nocy jest godzina policyjna i w ogóle nie jest bezpiecznie. Odzywa się również chargé d'affaires ambasady RP w Kijowie Piotr Łukasiewicz (jedna z ofiar konfliktu o obsadę polskich placówek dyplomatycznych).

Po kilku godzinach dostaję informację od organizatorów, że zgoda na mój wjazd jest właściwie wydana, ale potrzebny jest jeszcze ktoś, kto podpisze ją ze strony SBU i trzeba poczekać na przekazanie jej „w dół". Robi się jednak coraz później, a sytuacja się nie zmienia. Zaczynam się zastanawiać, czy dalsze czekanie ma sens i rozpoczynam ustalanie, jak powrócić do Warszawy. Zdaję sobie jednak sprawę, że prawdopodobnie komuś bardzo zależy, żebym sam wycofał się z podróży, dlatego nie podejmuję wciąż decyzji.

O 18.19 pisze do mnie dyrektor Instytutu Ukraińskiego Wołodymyr Szejko: „Bardzo mi przykro, że został Pan zatrzymany na granicy. Zapewniam, że dokładamy wszelkich starań, aby umożliwić Panu wjazd do Ukrainy. Tą sprawą zajmuje się również MSZ Ukrainy, dlatego mam nadzieję, że sytuacja zostanie rozwiązana w najbliższym czasie. Dziękuję za Pana cierpliwość i uprzejmie proszę o jeszcze trochę czasu".

Doktor Adamski w kolejnej rozmowie stwierdza, że pewnie łatwiej by mi było, gdyby zainteresował się mną ktoś z ukraińskiej Straży Granicznej. Musiała po tej rozmowie nastąpić jakaś interwencja, bo pojawia się wcześniej przeze mnie poznany młody strażnik i proponuje kawę albo herbatę. Jak widać, trzeba było polecenia z góry, aby wykonał ten dość podstawowy gest. Proszę o herbatę.

Czas mija, nic się nie dzieje. Na wszelki wypadek proszę organizatorów o przysłanie transportu z polskiej strony.

Około 20 ten sam strażnik zaprasza mnie do pokoju biurowego, który już poznałem. Jestem pewien, że to długo oczekiwana decyzja pozytywna – tak by wynikało z informacji, jakie wcześniej otrzymałem. Zamiast tego łamaną angielszczyzną strażnik wyjaśnia, że mam zakaz wjazdu na Ukrainę i podtyka mi do podpisania „decyzję" – formularz w całości po ukraińsku. Do paszportu dostaję wbitego „misia", czyli stempel informujący o końcowej dacie obowiązywania trzyletniego zakazu: 20 stycznia 2029 r.

Ukrainiec odprowadza mnie na polską stronę, gdzie zajmują się mną funkcjonariusze polskiej Straży Granicznej. Ich pierwsze pytanie dotyczy tego, czy mam jak wrócić do domu. Różnica w porównaniu z całkowitą obojętnością Ukraińców jest uderzająca.

Do domu docieram po 1 w nocy. Wciąż jednak odbieram wiadomości na WhatsAppie, skierowane do podróżującej grupy. Dzień później z tej grupy usuwa mnie pracownica Instytutu Ukraińskiego.

Ze strony ukraińskiej jakichkolwiek wyjaśnień brak. Dyrektor Instytutu Ukraińskiego więcej się nie odezwał. Jasne jest, że polskiemu i ukraińskiemu MSZ nie udało się zmienić decyzji SBU, co wskazywałoby na rywalizację wewnątrz ukraińskiego aparatu władzy. Im dłużej zastanawiam się nad tym, co mnie spotkało, tym bardziej przekonuje mnie hipoteza, że nie był to wynik chaosu, jak sugerują niektórzy. Ukraina może jest w trakcie wojny, ale jej służby trzęsą wszystkim.

DWIE MOŻLIWOŚCI

Połączmy fakty. Moje nazwisko było kilkakrotnie skreślane z listy proponowanych uczestników. Tym razem skreślone nie zostało, a przecież – jak się okazuje – zakaz wjazdu został wobec mnie wydany w styczniu, czyli w momencie przygotowań do wizyty obowiązywał. Czy to możliwe, że nie wyświetlił się podczas prześwietlania uczestników choćby pod kątem spotkań w urzędzie prezydenta Zełenskiego? Trudno w to uwierzyć. A skoro tak, to znaczy, że SBU celowo nie poinformowała organizatorów o tym problemie, aby móc odegrać na granicy przedstawienie.

Jakie były motywacje tej służby? Tu również można tylko spekulować. Stawiam na dwie możliwości, które mogą zachodzić łącznie. Pierwsza to pokazanie cywilnym strukturom państwa ukraińskiego, starającym się uprawiać względnie rozsądną politykę, że nic z tego nie będzie i że w sporze z SBU przegrają. To strategia znana z postępowania OUN przed drugą wojną światową: ukraińscy radykałowie uderzali w każdego, kto mógł przyczynić się do deeskalacji polsko-ukraińskich napięć. W ich interesie jest pogarszanie, a nie naprawianie relacji i Polska powinna z tego wyciągnąć wnioski. Mówiąc wprost: moja sprawa pokazuje, że na Ukrainie rządzą służby, a te nie szanują ani wolności słowa, ani nie zależy im na poprawie stosunków z Warszawą. Wręcz przeciwnie.

Druga możliwość to kolejne testowanie Polski. Nasz MSZ starał się pomóc w czasie, gdy byłem trzymany na granicy. Rzecznik ministerstwa, Maciej Wiewiór, twierdzi, że resort działa w mojej sprawie także po odprawieniu mnie z granicy – brak jednak jakichkolwiek konkretów. Ukraińcy dostają zatem kolejny sygnał, że z Polakami mogą sobie poczynać w dowolny sposób i nie spotka się to ze zdecydowaną reakcją.

Na koniec zwracam się do SBU, które – jak widać – musi pilnie śledzić moje komentarze: możecie nie kłopotać się przedłużaniem mi zakazu wjazdu do waszego kraju, który sami ustawiacie poza kręgiem zachodniej cywilizacji. Straciłem definitywnie ochotę, aby go kiedykolwiek odwiedzić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331

Pełzające pożeranie państwa



FOT. ADOBE STOCK



Mariusz Muszyński

Unia Europejska może być dobrem, ale tylko dla tych państw, które potrafią jej używać do dbania o własne interesy. Pozostałe, w tym Polska, tracą w niej wpływ na swoją państwowość

Unia Europejska jest obiektem wielkiej politycznej i bezkrytycznej miłości koalicji partii rządzących Polską. Ich politycy potwierdzają to od dawna czynem i słowem. Ostatnio w dość specyficzny sposób swoje uczucia do UE uzasadniał marszałek Czarzasty.

Jednak dziś UE nie jest już dla Polski dobrem. Wręcz przeciwnie. Kęs za kęsem pożera polską suwerenność. W cieniu światowych konfliktów i nadużywając istniejących konstrukcji traktatowych, odziera Polskę z samodzielności decyzyjnej. Jej sposób działania ma zresztą w doktrynie swoją nazwę. Jest to pełzające rozszerzanie kompetencji.

W tym procesie UE sięga po wiele prawnych narzędzi, takich jak konstrukcja bezpośredniego stosowania traktatów, unijna aksjologia, prawotwórcza wykładnia, uchylona zasada przyznania kompetencji itp. Ramy tekstu nie pozwalają na szeroką analizę tego zjawiska, bo wymagałaby ona formy monografii. A ja chcę przedstawić je w postaci felietonu. Felieton jest lepszy, bo pozwala, by tekst zaistniał w przestrzeni publicznej. Monografii nikt dziś nie czyta, a felieton da szansę przybliżyć problem nie tylko prawnikom. Nawet jeśli z powodów technicznych będę w nim musiał ograniczyć wywód do jednej perspektywy. Będzie nią zagadnienie nadużywania przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej konstrukcji zasad ogólnych prawa UE.

Liczę też, że dzięki publicznemu ukazaniu perfidii tego mechanizmu skończy się żenujące jęczenie polityków, ekspertów i zwolenników prawicy, że UE łamie traktaty i działa w obszarze, który jest zastrzeżony dla państwa. Jęczą, a Unia sobie z tego nic nie robi. Może zamiast jęczenia ktoś zaciekawiony pogłębi temat, a po powrocie do władzy prawica postawi na politycznej agendzie reformę UE pod kątem ochrony państwa i jego konstytucji. Inaczej zmiana władzy nic nie da. Integracja i tak pożre państwo nawet bez zmiany traktatów.

Zasady ogólne prawa UE to termin enigmatyczny. Nie tylko rzadko używany przez prawników, lecz także dla większości z nich, co żenujące, również mało znany. Oznacza fundamentalne reguły i standardy normatywne unijnego systemu prawa, które wyznaczają sens i treść przepisów oraz logikę ich stosowania. Odzwierciedlają też aksjologię UE.

WŁADZA NADAWANIA ZNACZEŃ

O ile w prawie krajowym rzadko używa się zasad ogólnych prawa, o tyle w prawie międzynarodowym i prawie UE jest już bezdyskusyjne, że służą one jako naturalny i często używany instrument interpretacji przepisów. Dlaczego? A dlatego, że – inaczej niż prawo krajowe – oba reżimy zbudowane są z przepisów o bardzo ogólnej treści, często klauzul generalnych. Powody takiej konstrukcji są proste. Po pierwsze, oba systemy regulują dziś obszary życia społecznego, o których jeszcze 50 lat temu nikomu nawet się nie śniło. I nie myślę tu o tylko progresywnych prawach człowieka, ale również o sprawach ekonomicznych czy technicznych. Gdyby te przepisy były szczegółowe, trudno byłoby je sformu-

eprasa.pl 4ba9d97331

łować, a jeszcze trudniej byłoby wynegocjować ich treść i zawrzeć traktat. Zwłaszcza traktat wielostronny.

Dlatego przepisy muszą być ukształtowane w sposób generalny. I tu pojawia się problem. W takiej sytuacji panem treści traktatu nie są strony go zawierające i stosujące, ale podmiot, który je interpretuje i kontroluje ich przestrzeganie. W końcu prawo jest wytworem wyobraźni prawników. Tak, wyobraźni prawników, a nie pracy polityków. Wprawdzie tym ostatnim wydaje się, że oni tworzą prawo. A to nieprawda. Prawo nie jest tym, co napisane, ale tym, jak jest rozumiane. To oznacza pierwszeństwo interpretacji nad substancją, stosowania prawa nad jego stanowieniem. A na końcu i tak chodzi o władzę. Ma ją ten, kto jest wyposażony w autorytet interpretacji i nadawania znaczeń. To tworzy dziś najważniejszy problem międzynarodowego porządku prawnego, a więc problem funkcjonowania Polski w tej – według marszałka Włodzimierza Czarzastego – dobrej UE. Jest nim pytanie o zdolność państwa do samodzielnego określania tego, jak daleko sięgają jego zobowiązania.

Ponadto skoro prawo jest tym, jak jest odczytywane, to kolejną kwestią jest sprawa zaufania do podmiotu wyposażonego w kompetencje nadawania treści wiążącym przepisom prawa, a w konsekwencji pytanie o nadużywanie tej pozycji.

Dziś cała Europa widzi, jak dzięki instrumentowi interpretacji sędziowie TSUE uzurpują sobie prawo „tworzenia postępu" w procesie integracji. Postępu, który dekonstruuje państwa. Przesuwa realną władzę na poziom UE bez zmiany traktatów.

Aby temu przeciwdziałać, trybunały konstytucyjne państw członkowskich UE stworzyły instrumenty ochrony konstrukcji państwa. Chodzi o doktrynę ultra vires i tożsamość konstytucyjną. I walczą, przynajmniej niektóre z nich, choć niestety na tej wojnie przegrywają. Dlatego podczas wyboru przez Sejm RP sędziego TK zawsze powinno paść rytualne pytanie, co dla kandydata jest ważniejsze. Zasada nadrzędności Konstytucji RP czy zasada pierwszeństwa prawa unijnego i wyroki międzynarodowych trybunałów (Europejski Trybunał Praw Człowieka i TSUE)? I nawet najwspanialsze tłumaczenie powinno kandydata zdyskwalifikować, jeśli opowiedziałby się za wyrokami ETPC i TSUE oraz prawem UE. Bo to w świetle Konstytucji RP nie tylko obiektywna głupota, lecz także świadectwo braku zrozumienia, o jaką funkcję ta osoba się ubiega. Trybunał Konstytucyjny w Polsce to strażnik konstytucji, obrońca ustrojowej suwerenności. Jeśli kandydat chce dać priorytet innym reżimom, to powinien ubiegać się o stanowisko sędziego TSUE lub ETPC.

ANATOMIA PRZEKRĘTU

Ale teraz wracam do zasad ogólnych prawa UE. Wiemy, że są one naturalnym elementem reżimu prawa unijnego. Służą interpretacji przepisów, tak unijnych, jak i krajowych, jako mechanizm wypełniania luk prawnych. Mogą też stanowić standard kontroli zarówno działań UE, jak i działań państw członkowskich. Nie mówimy jednak o tym, że służą one TSUE jako narzędzie do pełzającego rozszerzania unijnych kompetencji kosztem państw. A zjawisko to widzimy prawie na co dzień. Opiera się ono na bogatym orzecznictwie TSUE, który wciąż w wyrokach powtarza, że „nawet jeśli w obszarach, które nie wchodzą w zakres kompetencji UE, państwa członkowskie są co do zasady swobodne w wykonywaniu swoich kompetencji, to jednak wykonując je, muszą przestrzegać prawa unijnego".

W przypadku transkrypcji aktów małżeństwa osób tej samej płci w Polsce TSUE redefiniuje zakres przepisów, omijając demokratyczne procesy decyzyjne i wolę państwa

Tę formułę zawiera niemal każdy wyrok przeciwko Polsce z ostatnich lat. Jej efektem jest realna utrata przez państwa członkowskie kompetencji na poziomie krajowym.

Oczywiście z techniczno-prawnej perspektywy ktoś mógłby mi zarzucić, że piszę bzdury, bo nie dokonuję rozróżnienia między posiadaniem kompetencji a wykonywaniem kompetencji. Jednak taki zarzut to formalizm. Stara znana śpiewka, która nie zmienia rzeczywistości. A nie jest utratą kompetencji sytuacja, kiedy państwo formalnie ma kompetencje przypisane, ale faktycznie nie może ich wykonywać, bo prawnie ogranicza to podmiot zewnętrzny? Przecież to jądro książkowych definicji utraty suwerenności, która dziś jest piętą achillesową istnienia państwa w UE.

Zasady ogólne prawa UE wiążą państwa członkowskie. Ale co do zasady państwa muszą ich przestrzegać wtedy, gdy działają w zakresie stosowania prawa Unii. A to wiąże się z niekontrowersyjną kwestią działania państw jako „agentów Unii", np. przy transpozycji dyrektywy.

Kiedy jednak oczekiwanie związania dotyczy pozostałego obszaru prawa krajowego, pojawia się pytanie o krajową autonomię proceduralną. Chodzi tu o zastępowanie krajowych zasad postępowania, także tych sformułowanych na poziomie konstytucyjnym, zasadami unijnymi, konkretyzowanymi przez TSUE. Znamy także to zjawisko. Leży przecież u podstaw wieloletniej politycznej wojny koalicji rządzącej z opozycją. Chodzi o zasady wyboru sędziów TK, powoływania sędziów sądów powszechnych, kształtowania Krajowej Rady Sądownictwa, pierwszeństwo konstytucji, zasadę pierwszeństwa prawa unijnego itp. Jest to ważne o tyle, że unijna i krajowa treść oraz sposoby stosowania poszczególnych zasad mogą się różnić. A jeszcze gorzej, jeśli brakuje pisanych zasad unijnych, bo wtedy TSUE wywodzi je z traktatów i formułuje wiele dość konkretnych kryteriów, które państwo członkowskie musi wziąć pod uwagę. Jeśli ktoś nie wierzy, to niech sprawdzi w orzecznictwie z ostatnich ośmiu lat, ile i jakich obowiązków TSUE wywiódł dla państwa z trzech słów: „skuteczna ochrona prawna" (art. 19 Traktatu o Unii Europejskiej).

WSZECHWŁADNA NIEDYSKRYMINACJA

W ten sposób zasady ogólne prawa UE wprowadzają dodatkowe wymogi, które w różnym stopniu i w różny sposób zawężają zasadę krajowej autonomii. W efekcie narzucają bariery na pole

eprasa.pl 4ba9d97331

manewru pozostające formalnie w ramach suwerenności państw członkowskich. Często też zmieniają istotę krajowych instytucji prawnych.

Jeszcze ciekawszy jest przypadek, kiedy zasady ogólne prawa UE funkcjonują jako reguły „negatywne", tj. jako przepisy mające na celu regulację uprawnień państw poprzez ustanawianie granic wykonywania tych uprawnień. To w prawie częste zjawisko. Klasycznym przykładem tego jest unijny zakaz dyskryminacji, niezależnie od tego, czy uznajemy go za zasadę ogólną prawa UE stricte, czy jej pisemny wyraz zawarty w Traktacie o funkcjonowaniu Unii Europejskiej (art. 18 i 19) i Karcie Praw Podstawowych (art. 21).

Jednak TSUE zamiast pilnować tego zakazu, często przekształca go w normę tworzącą nowe, pozytywne obowiązki dla państw. Przykładu nie ma co daleko szukać. Sięgnijmy po wyrok w sprawie transkrypcji aktów małżeństwa osób tej samej płci w Polsce. TSUE uznał, że zakaz dyskryminacji ma pozytywną treść, bo gwarantuje możliwość korzystania z pełni praw unijnych w ramach przepływu osób.

Oczywiście teoretycznie nie jest to dziwne. Z zakazu dyskryminacji mogą czasem wynikać pozytywne obowiązki. Z wyjątkiem obiektywnego uzasadnienia porównywalne sytuacje nie mogą być traktowane odmiennie, a odmienne sytuacje nie mogą być traktowane w ten sam sposób. Jednak równość nie jest wystarczająco solidną podstawą dla formułowania zarówno katalogu szczegółowych wymogów, jak i nakazu konkretnego rozumienia przepisów krajowych czy wreszcie ich eliminowania z systemu prawnego. W szczególności jeżeli mają one poziom konstytucyjny i służą jako reguła ordre public. Takie działanie TSUE to już jest przedefiniowanie konstrukcji fundamentów państwa. I to w oparciu o niepozorny zakaz traktatowy. W szczególności widzimy to w sytuacji, kiedy sądowi krajowemu TSUE nakazuje pominięcie stosowania wszelkich przepisów prawa krajowego, które mogą być sprzeczne z zasadą niedyskryminacji. Ponadto to także faktyczna ingerencja w podział kompetencji. Więcej, TSUE redefiniuje tu zakres przepisów, omijając demokratyczne procesy decyzyjne i wolę państwa.

Ale w kontekście mojego felietonu wywód ten prowadzi do uzasadnionego wniosku, że przekształcając negatywne obowiązki w szczegółowe obowiązki pozytywne, TSUE przekracza zakres treściowy takiej zasady.

KARTA PRAW PODSTAWOWYCH

Z powyższego wynika, że serwilizm dzisiejszej władzy wykracza poza sformułowanie Czarzastego, że UE jest dobrem i basta. Przyjęcie rozporządzenia o transkrypcji aktów małżeństwa osób tej samej płci w konsekwencji jednostkowego orzeczenia Naczelnego Sądu Administracyjnego opartego na wyroku interpretacyjnym TSUE rozwala system prawa. I pokazuje, że głupota to nie tylko domena polityków. Spokojnie można tym słowem opisać też wiedzę prawniczą składu orzekającego NSA. Problemem leżącym u podstaw tego wyroku powinien zająć się nie sąd, ale ustawodawca, a nawet ustrojodawca. I do tego czasu transkrypcja nie powinna być prowadzona.

Powyższe wywody to jednak nie wszystko. Fakt, że zasady ogólne prawa UE mają potencjał do tworzenia pozytywnych obowiązków, z którego TSUE coraz szerzej korzysta, ograniczając państwa, wiąże się w szczególności z Kartą Praw Podstawowych. Co ciekawe, państwa dostrzegały zagrożenia dla suwerenności płynące z rozszerzania ochrony praw podstawowych w wyniku definiowania ich na poziomie ponadnarodowym. I pojawiający się w ślad za tym wzrost znaczenia prawa UE. Dlatego przy opracowaniu Karty podejmowały działania, by ustanowić wyraźne granice dla ich ewentualnej, ponadnormatywnej ekspansji.

Przykładami tych starań państw są art. 6 ust. 1 TUE oraz art. 51 Karty. Pierwszy wprawdzie uznaje prawa, wolności i zasady określone w Karcie, jednak zastrzega, że „postanowienia Karty w żaden sposób nie rozszerzają kompetencji Unii określonych w Traktatach". Drugi wskazuje, że państwa członkowskie mają przestrzegać praw podstawowych określonych w Karcie „wyłącznie w zakresie, w jakim stosują one prawo Unii". Podobnie ma działać art. 52 ust. 5 Karty, który ogranicza możliwość sądowego dochodzenia praw zawartych w Karcie. Takie ograniczenia formułują jasny przekaz. Jest on jednak przez TSUE odrzucany.

Owszem, przyjęcie unijnego aktu chroniącego prawa podstawowe to symbol i przejaw rozwoju świata. Ale jego konstrukcja oparta o zasady ogólne prawa to też groźba dla państwowej suwerenności. Karta zmieniła pozycję praw podstawowych w unijnym porządku prawnym. Dziś mają one własne pisemne ramy. Niestety, muszą być też doprecyzowane orzeczniczo w konkretnym przypadku. I tu znów TSUE serwuje nam nie tylko unijny światopoglądowy postęp, lecz także wykorzystuje dla narzucania państwom ograniczeń. Szczególnie poprzez wiązanie Karty z traktatami i spajanie zasad ogólnych z Karty z zasadami ogólnymi prawa zawartymi w traktatach. Widzimy to doskonale w wyrokach dotyczących powoływania sędziów w Polsce, gdzie TSUE tworzy w oparciu o art. 47 Karty (prawo do sądu) oraz art. 19 TUE (skuteczna ochrona prawa) i art. 2 TUE (państwo prawa) unijną treść dla krajowej konstrukcji sądownictwa powszechnego i konstytucyjnego, a nawet władzy prezydenta w tym obszarze (C-448.23). I koalicja rządząca łyka to bezkrytycznie. Koniecznie chce do niej dostosować wymiar sprawiedliwości i Trybunał Konstytucyjny, mimo że unijna konstrukcja jest sprzeczna z konstytucyjną formułą władztwa państwowego. Więcej, chce przyjąć zewnętrzny model, mimo że uprawnienie do jego kształtowania jest przecież zastrzeżone do wyłącznej regulacji w ustawie.

I czas na puentę. Otóż m.in. w opisany przeze mnie sposób TSUE pomija rzeczywistość konstytucyjną Polski, przez co ingeruje w ustrojowy kształt i ogranicza swobodę funkcjonowania państwa. Dotyczy to tak kwestii fundamentalnych, jak i tych, gdzie nie ma żadnej potrzeby takiego działania. Co więcej, TSUE nawet nie daje swemu działaniu żadnego spójnego i przekonywującego uzasadnienia. Nie prowadzi dialogu z Trybunałem Konstytucyjnym, ale wręcz ignoruje jego stanowisko. Dlatego śmiem twierdzić, że UE to nie jest wcale takie dobro dla państw członkowskich, które ją stworzyły. To nowa forma dominacji w relacjach międzynarodowych. I trzeba umieć w niej asertywnie funkcjonować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331

Zielony beton



Tomasz Formanek

Nikt rozsądny nie kwestionuje konieczności zieleni w mieście. Jednak jest ona tylko jednym z jego elementów, i to akurat mało miastotwórczym

Tego lata w odstępie miesiąca przyszły do Polski dwie fale afrykańskich upałów. Pobity został 100-letni rekord temperatury. Media wpadły w pogodową histerię, analogicznie zresztą jak przy arktycznych mrozach w zimie. W narracji dziennikarzy musiało powrócić głoszone od lat hasło tzw. betonozy. Reporterzy stracili tym razem okazję do happeningu ze smażeniem przed kamerą jajecznicy na trotuarze pośrodku rynku jakiegoś polskiego miasteczka, by wykazać, że to naturalna patelnia i postawić samorządowcom zarzut, iż rynek po remoncie nie jest zielony. Czy w polskich miastach rzeczywiście brakuje zieleni?

SALON MIASTA

Kto się domaga zieleni na centralnym placu miejskim, nie rozumie jego roli społecznej i kulturowej. Od zawsze był on miejscem spotkań i zgromadzeń ludzi oraz wydarzeń organizowanych przez władze. To tam świętowano, bawiono się, handlowano na targu, manifestowano, protestowano, dokonywano rewolucji i przeprowadzano egzekucje. Dziś na miejskich placach organizuje się koncerty muzyczne, jarmarki świąteczne, imprezy sylwestrowe, spektakle sztuki ulicznej, obchody świąt państwowych, wiece wyborcze oraz fety sportowe. Do tego wszystkiego potrzeba miejsca. Dlatego niewiele tam zieleni. Z każdego punktu placu ma lub miało być widać scenę, trybunę albo, kiedyś, szubienicę. To szczególnie istotne w małych miastach, gdzie rynek to jedyna taka przestrzeń publiczna. Centralny plac to tradycyjnie „salon miasta". Jego flora pełni funkcję dekoracyjną, a nie ekologiczną, której pełnić nie może, ponieważ plac zajmuje promile lokalnej powierzchni, nie ma wpływu na miejskie środowisko.

WYSPY W MORZU

Gdzie jest zieleń na: Grand Place w Brukseli, Place Vendôme w Paryżu, Placu św. Szczepana w Wiedniu, Placu św. Marka w Wenecji, Plaza Mayor w Madrycie czy Placu Handlowym w Lizbonie? Ile jest drzew na środku: Trafalgar Square w Londynie, De Dam w Amsterdamie, Placu Zgody w Paryżu, Marienplatz w Monachium, Piazza del Duomo w Mediolanie czy Puerta del Sol w Madrycie? Ktoś powie, że to lokalizacje historyczne, zbudowane wieki temu, gdy inne były klimat i świadomość ludzi, a dziś stanowią zabytki pod ochroną. Tyle że w takim stanie nikomu nie przeszkadzają. I nie odstają od tych nowoczesnych. We współrządzonym przez Partię Zielonych Berlinie powojenny już Alexanderplatz po remoncie ciągle świeci pustką, przez którą jeżdżą tramwaje, a jeszcze od niego młodszy dwupoziomowy Sergels Torg w Sztokholmie jest w dole wyłożony mozaiką deptaku, a na górze wylany asfaltem ronda. Że w Szwecji nie ma upałów? Przecież nasi strażacy kilka lat temu pomagali Szwedom gasić letnie pożary lasów.

Papieże, Franciszek wcześniej i Leon teraz, władcy absolutni Watykanu, a zarazem zwolennicy chrześcijańskiej ekologii, mogli zrobić na Placu św. Piotra, co tylko chcieli, ale nie kazali posadzić tam drzew. I jakoś w upały pielgrzymi z całego świata nie narzekają na brak zieleni, a włoscy żurnaliści nie smażą na słońcu frittaty. Choć owszem, mamy też place zielone, np. paryski Plac Republiki, madrycki Plac Hiszpanii, barceloński Plac Katalonii czy ateński Plac Syntagma. Wszystkie te przykłady ukazują tylko, że w Europie nie ma reguły aranżacji miejskiego placu, nawet w jednym i tym samym mieście.

Lamentujący o zieleń w polskich miastach powinni odwiedzić metropolie Dalekiego Wschodu lub Ameryki Południowej, choćby tylko wirtualnie w Internecie. Tam zobaczą, jak wygląda prawdziwa betonoza. Pogląd na omawianą kwestię dają też na pozór niedorzeczne transmisje z wielkich wyścigów kolarskich – Giro, Tour i Vuelta. Widoki miast Włoch, Francji i Hiszpanii z helikopterów krążących nad trasą pokazuje wyspy zieleni w morzu zabudowy. Obraz miast Polski ze śmigłowca na Tour de Pologne to negatyw tamtego – wyspy zabudowy w morzu zieleni. Tam stare miasteczka na wzgórzach są w monochromii z kamienia, cegły i dachówki. Tu kolarze jadą ulicami, a zastanawiasz się, gdzie miasto, bo w kamerze wokół sama zieleń.

URBANISTYCZNA ANTYKULTURA

Inkryminowane remonty placów bez drzew stoją w sprzeczności z tym, co powszechnie głoszą sami włodarze gmin i kandydaci na nich. W każdej kampanii wyborczej obiecują mieszkańcom więcej zieleni. Ale nigdy – większej zabudowy. Jak nie masz pomysłu na miasto, to mów, że zrobisz nowy park. Skoro od trzech i pół dekady, kiedy istnieje samorząd,

eprasa.pl 4ba9d97331



Grand Place w Brukseli jest pozbawiony zieleni FOT. ADOBE STOCK



Berlin Alexanderplatz znalazł miejsce w tytule legendarnej powieści Alfreda Döblina FOT. ADOBE STOCK

polskie miasta się zazielenia, to chyba powinny być już wystarczająco zielone. Okazuje się jednak, że to dzieło bez końca. Bo nigdy dość parków, skwerów i ogrodów. Na pytanie: Jakie miasto ma być?, zazwyczaj pada odpowiedź: zielone. Czy Polacy mają normę dopuszczalnego betonu w mieście, tak jak (ponoć) cholesterolu we krwi, niższą od ludzi Zachodu?

Zielone miasto to w Polsce dogmat, głęboko zakodowany w podświadomości obywateli. Wynika to z tego, że poza najstarszymi nie ma już rodaków, którzy nie wychowaliby się w miastach zbudowanych po wojnie przez komunistów. A ci, jak na nich przystało, budowali miasta „nie po bożemu". Zamiast uzupełniać i rozwijać w sposób ciągły ocalałą zabudowę przedwojenną, w układzie pierzei wzdłuż ulic, stawiali blokowiska w polu na planie koszarowym, łącząc je alejami szerokimi niczym autostrady. Trwonili przestrzeń jak wszystkie inne zasoby. Swoją urbanistyczną antykulturę zaszczepili społeczeństwu tak skutecznie, że ta przetrwała upadek komuny. Dzisiejsze osiedla deweloperskie to blokowiska XXI w. Jakość lepsza, ale schemat myślenia o mieście ten sam. Wszystko, co pomiędzy tą rozproszoną zabudową polskich miast, to właśnie zieleń, nawet gdy na nią nie wygląda, bo jest porośnięty chaszczami ugorem.

Jeśli komuś mało dowodów naocznych, to obiektywną miarą betonu w mieście jest gęstość jego zaludnienia, a więc i zabudowy. Żadne duże polskie miasto nie sięga 4 tysięcy mieszkańców na 1 km kw. Dla porównania: Barcelona i Ateny mają ich ok. 16 tys., czyli cztery razy więcej (może stąd dla odmiany ich centralne place są zielone). Zawartość miasta w polskich miastach jest niska, a ich tkanka – rzadka. W rankingach najbardziej zielonych miast Europy Warszawa regularnie plasuje się na czołowych miejscach. Ale w rankingach najlepszych miast do życia na świecie już dużo niżej, co rodzi podejrzenie, że nie samą zielenią człowiek w mieście żyje.

SYZYFOWE PRACE

W wyniku marnotrawnej urbanistyki w polskich miastach jest mnóstwo powierzchni biologicznie żywej, ale dla mieszkańców martwej, ponieważ bezużytecznej. Po co np. pasy zieleni po bokach i między jezdniami alei, szerokie jak same jezdnie, skoro nie ma wzdłuż nich kamienic, a pobliskie blokowiska mają w nadmiarze zieleni własnej? Kilometry i hektary trawy, z których ludzie nie korzystają. Za to ich koszenie i grabienie z liści kosztuje. W przypadku większych miast to setki tysięcy złotych rocznie, które przy innym zagospodarowaniu przestrzeni można by wydać na realne potrzeby mieszkańców, zamiast na syzyfowe prace robotników MZUiM.

Koszą oni trawę przenośnymi kosiarkami na ramię bez zbiorników na ścinki, te przy koszeniu wylatują na jezdnie. Stamtąd jednak nie są zbierane, lecz czekają, aż deszcz spłucze je do studzienek,

eprasa.pl 4ba9d97331

i tak zapychają kanały ściekowe, przez co potem przy mocnych opadach woda podtapia ulice. Zieloni jednak podtopienia tłumaczą betonozą, że niby woda nie ma gdzie w mieście wsiąkać, tylko od razu spływa. Może aktywiści klimatyczni zamiast przyklejać się do asfaltu, pilnowaliby, aby trawa po skoszeniu była sprzątana. W końcu miejsce do akcji to samo. Mogą oczywiście na to odpowiedzieć, że przecież oni w ogóle nie chcą koszenia trawników, tak by rosły miejskie łąki. Ale chyba nie wiedzą, że te człowiekowi w mieście przynoszą więcej szkód niż pożytków. Wysoka trawa to: wzmożone pylenie i większy problem dla alergików, idealne siedlisko dla kleszczy i więcej chorób odkleszczowych u ludzi, ograniczona widoczność przy pasach i więcej wypadków z pieszymi. To też brzydota miejskiego krajobrazu. Czy aktywistki noszą włosy pod pachami? Przecież dla zdrowia lepiej ich nie golić, tak jak dla środowiska lepiej nie kosić trawy. Ale kanon estetyczny w obu przypadkach jest inny.

EFEKT ANTYEKOLOGICZNY

À propos podróży, zwolennicy zieleni i przestrzeni w polskich miastach za cel, przepraszam – destynację, swych kilkudniowych wypadów za granicę, przepraszam – city-breaków, dziwnie wybierają najczęściej metropolie zachodniej i południowej Europy, gdzie jakby mało zielono i ciasno. Dlaczego nie np. podobne do rodzimych miast Helsinki czy uchodzącą za wzór miasta na miarę człowieka Kopenhagę? Sztokholm odpada, bo jak wyżej, już skażony betonem. Oslo jeszcze gorzej. Tam na ukończeniu jest wielki projekt całego nowego nabrzeża, mający odmienić oblicze miasta od strony wody, tzw. waterfront. Polega na radykalnym zagęszczeniu i podniesieniu zabudowy. Czyli znów betonoza. A gmach nowej opery w Oslo, perły tego projektu, to już prawdziwa apoteoza betonu. Wlewa się on optycznie do wód zatoki, jako że obiekt ma symbolizować czubek wyłaniającej się z morza góry lodowej (przy topniejących lodach Arktyki motyw na czasie). Takie rzeczy w zielonym mocarstwie Norwegii. Po co im tam te efekciarskie odbicia świateł wieżowców w tafli wody? Mogło być tak pięknie, dziko i ciemno nad fiordem.

W ogóle na globalnej mapie hitów turystyki miejskiej nie ma żadnych „miast ogrodów", za to niezmiennie są Manhattan i Monte Carlo, tak napakowane zabudową, że nie da się już tam wetknąć nawet zapałki, zanim się czegoś nie wyburzy. Na Times Square brak choćby źdźbła trawy, a na Placu Kasyna stoi więcej luksusowych aut (spalinowych) niż rośnie palm.

Zwiększanie przestrzeni zielonych w polskich miastach paradoksalnie ma efekt antyekologiczny, gdyż sprzyja zjawisku ich „rozlewania się" . Tam, gdzie wyrośnie obiecany nowy miejski park, nie stanie już nowy kwartał kamienic. Stanie za to niczym w PRL, osiedle w polu, kosztem podmiejskiej przyrody. By je z miastem połączyć, trzeba wybudować nową drogę, czyli wylać beton na ziemię. Mieszkańcy nowego osiedla muszą jeździć samochodami do miasta i z powrotem w korkach, czyli emitują więcej spalin. Tam zaś, gdzie buduje się domy bez deweloperów, gminy z braku pieniędzy odmawiają ludziom dróg i ci, jeśli nie chcą jeździć po błocie, są skazani na improwizowane szutrowe czy żwirowe dukty, z których codziennie wdychają unoszące się w powietrzu szkodliwe pyły. Zazielenianie ulic przez zawężanie jezdni i likwidowanie miejsc parkingowych sprawia tylko, że zmniejsza się przepustowość tych pierwszych i wydłuża czas poszukiwania tych drugich, czyli znów rośnie emisja spalin.

Miasto zielone kłóci się w końcu z tzw. miastem 15-minutowym, które wbrew pozorom tworzy klasyczna zwarta zabudowa miejska, gdzie przy jednej dużej ulicy i w jej sąsiedztwie można załatwić pieszo wszystkie codzienne potrzeby. W zieleni blokowiska potrzeby mogą załatwiać tylko psy. A człowiek z bloku musi jechać po sprawunki na miasto.

PODEJŚCIE HOLISTYCZNE

Polskie miasta są zielone. Teza, że za dużo w nich betonu, jest dosłownie z gruntu nieprawdziwa. To bezmyślnie powtarzany komunał, który wszedł do retoryki poprawności. Dla Zielonych betonozą jest każde zagospodarowanie ziemi inne niż uprawa w niej roślin. Przy takim podejściu żadne miasto nigdy nie będzie wystarczająco zielone.

Nikt rozsądny nie kwestionuje konieczności zieleni w mieście. Jednak jest ona tylko jednym z jego elementów, i to akurat mało miastotwórczym. Organizm miejski jest skomplikowany i podobnie jak ludzki wymaga podejścia holistycznego. Zaburzenie jego równowagi może wywołać w nim dysfunkcje i skutki uboczne. Nie każde miasto może być zielone, tak jak nie każdy człowiek może być wegetarianinem. W krajowej materii miejskiej mamy jedynie problem z betonem w głowach tych, którzy uważają, że miasto musi być zielone.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Plac Vendôme w Paryżu przypomina kamienną pustynię FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 4ba9d97331



Beneluks jako laboratorium rewolucji

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK



Paweł Chmielewski

Liberalne zmiany w Kościele katolickim kojarzą się zwykle z Niemcami albo progresywnymi diecezjami w USA. Jednak kluczową rolę w procesie „reformy" katolicyzmu odgrywają również – a może przede wszystkim – państwa Beneluksu

Wywrotowa rola Belgów i Holendrów w czasie Soboru Watykańskiego II jest dobrze znana. Nie sposób zrozumieć dziejów Vaticanum II bez uwzględnienia kluczowego wpływu takich figur, jak arcybiskup Mechelen-Brukseli, kardynał Léon-Joseph Suenens, albo metropolita Utrechtu, kardynał Bernard Alfrink. Soborowa i bezpośrednio posoborowa teologia została ukształtowana w znacznej mierze przez dominikanina Edwarda Schillebeeckxa – urodzonego w Belgii, ale nauczającego w Holandii; a także przez holenderskiego jezuitę Pieta Schoonenberga, głównego autora niezwykle progresywnego „Katechizmu holenderskiego" z 1966 r., tekstu pełnego poważnych błędów doktrynalnych, a zarazem szalenie popularnego w wielu krajach świata zachodniego. Wkład Beneluksu w kościelną rewolucję nie ogranicza się jednak do ścisłego okresu soborowego. Trwa do dziś i pod wieloma względami jest absolutnie fundamentalny.

AWANGARDA REWOLUCJI

Wydarzeniem formacyjnym dla naszych czasów był mało znany w Polsce Synod Duszpasterski Niderlandzkiej Prowincji Kościelnej, przeprowadzony w latach 1966–1970. Spiritus movens tej inicjatywy stanowił franciszkanin Walter Goddijn, który kierował strukturą o wdzięcznym akronimie „PINK", obarczoną odpowiedzialnością za realizację całego przedsięwzięcia. W ramach zgromadzenia zgłoszono wiele postulatów, które do dziś stanowią trzon agendy progresywnej: ograniczenie władzy kościelnej hierarchii poprzez wdrożenie procesów demokratyzacyjnych; głęboka protestantyzacja kapłaństwa w postaci jego rozumienia raczej jako „delegacji" wspólnoty wierzących oraz – przede wszystkim – poprzez zniesienie obowiązkowego celibatu; pełne włączenie kobiet w procesy decyzyjne w Kościele, z perspektywą na dopuszczenie ich do obejmowania funkcji kapłańskich; implementacja zasad rewolucji seksualnej, czyli odrzucenie zakazu antykoncepcji i liberalizacja podejścia do rozwodów (homoseksualizm nie był jeszcze wówczas w Kościele istotnym tematem); wreszcie bardzo pozytywny stosunek do „ducha czasów", którego należałoby traktować jako wyraz Bożego głosu.

Pomysły nie zostały wówczas zrealizowane, ale kto śledzi przebieg globalnego Synodu o synodalności, ten wie, że niderlandzki synod można śmiało ocenić jako awangardę rewolucji – Holendrzy wskazali z impetem kierunek, w którym Kościół rzeczywiście zaczął kilkadziesiąt lat później szybko podążać. Dziedzictwo tego już przecież posoborowego wysiłku Niderlandów okazało się niezwykle trwałe.

Tymczasem Kościół w Holandii podupadł. Większość katolików zarzuciła praktykowanie wiary, księża zrezygnowali z kapłaństwa, nowych powołań nie było i wciąż ich brakuje. Przyczyny degradacji katolicyzmu w tym kraju są złożone; choć wiążą się również z liberalnym rauszem lat posoborowych, to bynajmniej się do nich nie ograniczają. Tak czy inaczej, ze

eprasa.pl 4ba9d97331

względu na potężne osłabienie, Kościół w Niderlandach nie odgrywa już dziś większej roli w procesie rewolucyjnym. Wprost przeciwnie, to właśnie z Holandii płyną niekiedy najsilniejsze na scenie globalnej głosy krytycznie pod adresem libertyńskiego paradygmatu synodalnego. Metropolitą Utrechtu i prymasem kraju jest kard. Willem Eijk, wielokrotnie ganiący różne decyzje i wypowiedzi papieża Franciszka. Na cały świat rozchodzą się też regularnie publikowane artykuły biskupa pomocniczego diecezji 's-Hertogenbosch, Roberta Mutsaertsa, intelektualnie bardzo żywe i z wielką celnością piętnujące błędy nowego modernizmu. W tym sensie holenderski katolicyzm z rozsadnika rewolucji stał się – przynajmniej w jakiejś części – ważną siłą wspierającą kontrrewolucję. To daje nadzieję; ale wywrotową robotę skutecznie przejęły Belgia i Luksemburg.

Zacznę od księstwa, które z racji niewielkiej liczby ludności (niespełna 700 tys.!) teoretycznie nie powinno odgrywać żadnej roli w życiu Kościoła powszechnego. Jest jednak inaczej, a to głównie za sprawą jednego człowieka – Jeana-Claude'a Hollericha – który w 2011 r. został arcybiskupem Luksemburga. Hollerich zawdzięcza swoje wyniesienie na urząd Benedyktowi XVI, ale z rewolucyjną agendą ujawnił się dopiero za pontyfikatu papieża Franciszka. To od niego otrzymał biret kardynalski; to on uczynił go relatorem generalnym Synodu o synodalności; to pod jego władzą Luksemburczyk objął ważne funkcje w dwóch europejskich organizacjach kościelnych, czyli Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej oraz Radzie Konferencji Episkopatów Europy. Hollerich stał się twarzą synodalności promowanej przez Jorge Maria Bergoglia. Korzystając z tej wyjątkowej pozycji, udzielał publicznego wsparcia koncepcjom niemieckiej „drogi synodalnej", którą organizatorzy chyba świadomie wzorowali na Niderlandzkim Synodzie Duszpasterskim. Arcybiskup z Wielkiego Księstwa krytycznie ocenia obowiązek celibatu, sugeruje możliwość kompletnej zmiany roli kobiet w Kościele, kwestionuje doktrynę moralną na temat homoseksualizmu, wprost wzywając do zmian w Katechizmie. Dzięki roli, którą odgrywał u boku Franciszka, mógł jeździć po całym świecie i prezentować tam synodalną agendę reformistyczną; w 2026 r. uczył synodalności nawet Polaków w Krakowie, zaproszony przez kard. Grzegorza Rysia.

BELGIJSKA OFENSYWA

Pomimo niewątpliwych osiągnięć Holendrów w okresie posoborowym oraz późniejszych zdobyczy Hollericha palma pierwszeństwa w dziele przeprowadzania w Kościele faktycznej rewolucji przypada jednak Kościołowi katolickiemu w Belgii. W 2021 r. ówczesna Kongregacja Nauki Wiary opublikowała krótki dokument, który odrzucił możliwość błogosławienia par tej samej płci. Ostro skrytykował to wówczas ordynariusz Antwerpii w belgijskiej Flandrii, biskup Johan Bonny. Jak przekonywał, decyzja Watykanu jest „słaba teologicznie" i znamionuje ją „niezdolność do przyjęcia współczesnych osiągnięć" teologicznych. Franciszek chyba podzielał jego zdanie, bo włoski arcybiskup Giacomo Morandi, który miał być głównym autorem dokumentu, został wkrótce usunięty z Kurii Rzymskiej. Belgowie przeszli wtedy do ofensywy. We wrześniu 2022 r. pasterze z regionu Flandrii, wsparci przez arcybiskupa Mechelen-Brukseli, Jozefa De Kesela, opublikowali własne wytyczne, które wprowadziły liturgiczną możliwość udzielania błogosławieństw związkom homoseksualnym. Franciszek tego nie skrytykował; co więcej w grudniu 2023 r. Dykasteria Nauki Wiary, pod wodzą kard. Victora Manuela Fernándeza, opublikowała deklarację „Fiducia supplicans", która – z pewnymi zmianami – szła po linii wyznaczonej przez Belgów. Okazało się, że tęczowa rewolucja z Flandrii wskazywała drogę dla całego Kościoła.

Wkrótce w Belgii doszło do kolejnej przełomowej decyzji. Nowy metropolita Mechelen-Brukseli, Luc Terlinden, mianował kobietę delegatem biskupim w jednym z wikariatów archidiecezji, a jej imię nakazał wymieniać podczas modlitwy eucharystycznej, obok imienia samego biskupa – co stanowiło absolutnie rewolucyjny krok, zgodny z synodalnym postulatem „włączania" kobiet w decyzyjne i quasikapłańskie role w Kościele.

Na tym Belgowie bynajmniej nie kończą. W marcu 2026 r. biskup Antwerpii ogłosił, że zamierza wyświęcić żonatych mężczyzn na księży – tak, jak oczekiwał tego słynny Synod Amazoński. Powołując się na zasady „Kościoła synodalnego", Johan Bonny w czerwcu pojechał do Watykanu i przedstawił tam swoje plany. Jak powiedział w jednym z wywiadów, przywiózł ze sobą list belgijskich biskupów, którzy mieli w nim wyrazić wsparcie dla jego inicjatywy. We wrześniu 2026 r. powiadomił, że rozpoczął już konkretne przygotowania do święceń i zamierza ich udzielić w 2028 r. Bonny powiedział, że ma nadzieję na wsparcie ze strony Leona XIV. Jeżeli rzeczywiście je otrzyma, to będzie to oznaczać poważny wyłom w zasadzie obowiązkowego celibatu – zgodnie z progresywnymi celami, tak jak wyrażano je już na wspomnianym wcześniej Niderlandzkim Synodzie Duszpasterskim. Ordynariusz Antwerpii ma nadzieję, że kolejny raz Belgowie staną skutecznie w awangardzie kościelnej synodalnej rewolucji.

Czy tak się rzeczywiście stanie, czas pokaże; ale dotychczasowy bieg wypadków dowodzi, że kraje Beneluksu od czasów Soboru Watykańskiego II odgrywają rolę swoistego laboratorium zreformowanego Kościoła katolickiego – nie tylko pod względem treści doktrynalnych, które tamtejsi teologowie wypracowują ręka w rękę z kolegami z Niemiec i Austrii, lecz także w obszarze praktycznych działań. Tolerowanie tego stanu rzeczy przez Rzym, więcej, traktowanie zmian w Beneluksie jako swoistego wzorca dla Kościoła globalnego, mogłoby dziwić, ale tylko pod warunkiem zamknięcia oczu na poglądy, które od dawna uchodzą w Watykanie za miarodajne dla katolicyzmu XXI w. Papież Franciszek nadał procesowi „beneluksyzacji" Kościoła nową siłę, a Leon XIV na razie nie zrobił nic, by to zatrzymać.

Biorąc pod uwagę opłakany stan katolicyzmu w tych krajach, można jednak zadać pytanie o sens tego rodzaju postawy. Czy naprawdę chcemy, żeby liberalny katolicyzm Belgów, Holendrów i Luksemburczyków stał się modelem dla Kościoła we wszystkich innych rozwiniętych gospodarczo państwach demokratycznych? Z perspektywy konserwatywnych katolików odpowiedź jest jednoznacznie negatywna. Wydaje się jednak, że odpowiedź Stolicy Apostolskiej jest właśnie pozytywna. Warto obserwować „laboratorium" Beneluksu, by zrozumieć, w którą stronę zmierza reforma Kościoła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

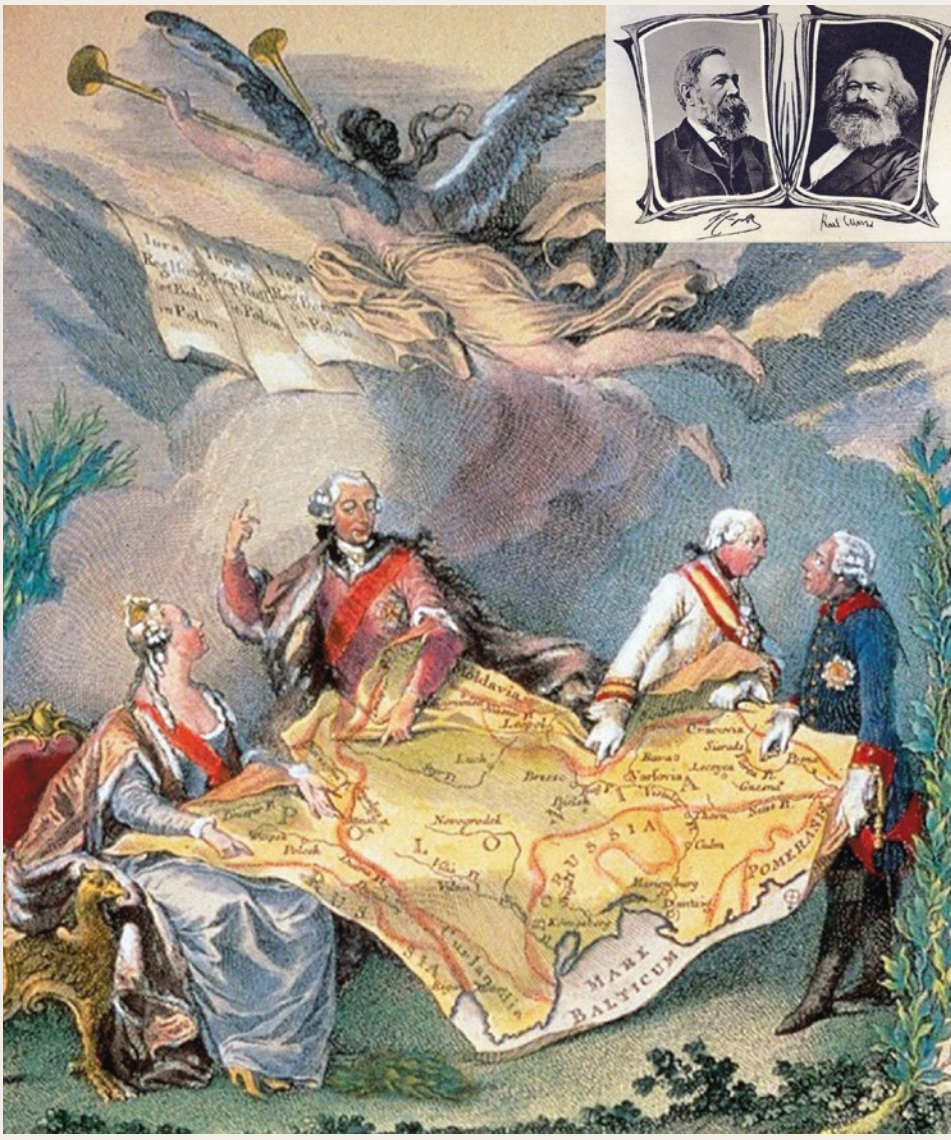
Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 4ba9d97331

W swej najnowszej książce pt. „Znowu między Niemcami a Rosją? Pytania o Polskę i Europę Wschodnią” prof. Andrzej Nowak rozważa trwałość naszej niepodległości w regionie od stuleci poddawanym presji silniejszych sąsiadów



Andrzej Nowak



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Między niemiecką zapałką a rosyjskim pożarem

Kiedy wpiszemy do internetowej wyszukiwarki hasło „komunizm”, okaże się, że treści pojawiające się w wynikach natychmiast odsyłają do treści o dwóch punktach odniesienia: Karola Marksa i Rosji. W odpowiedzi na pytanie, gdzie jest „ojczyzna komunizmu”, sztuczna inteligencja (AI), narzędzie pomocnicze w mojej komputerowej wyszukiwarce (Google), informuje: „Ojczyzna komunizmu to pojęcie złożone: Związek Radziecki (ZSRR) był państwem, które jako pierwsze wdrożyło system komunistyczny po rewolucji 1917 roku, ale samo pojęcie i ideę komunizmu stworzyli Marks i Engels w XIX-wiecznej Europie, a Rosja była dopiero pierwszym państwem (późniejszy ZSRR) przejętym przez bolszewików, stając się jego „ojczyzną” w praktyce. Teoretyczna ojczyzna: Niemcy (Karol Marks, Fryderyk Engels, „Manifest komunistyczny”); Praktyczna/Państwowa ojczyzna: Rosja/Związek Radziecki (po Rewolucji Październikowej 1917)”.

Ponieważ mój komputer ostrzega, że „odpowiedzi wygenerowane przez AI mogą zawierać błędy”, sięgam do poważniejszego źródła, a właściwie do najpoważniejszej do dziś syntezy dziejów komunistycznej idei, jaką opracował już ponad pół wieku temu Leszek Kołakowski. Jego trzytomowe dzieło otwiera zdanie: „Karol Marks był filozofem niemieckim”. Autor podkreślał od razu, że nie chodziło o zgrabną figurę retoryczną, tylko o zasadniczą interpretację, która z tradycji i rozwoju filozofii niemieckiej wyprowadza nadany przez Marksa kształt idei komunistycznej. W centrum drugiego tomu pojawia się rozdział: „Bolszewizm

eprasa.pl 4ba9d97331

i Rewolucja (Przejście od teorii do praktyki rewolucyjnej, Lenin, trockizm, stalinizm"). Tak potwierdzona trywialna uwaga, że Niemcy i Rosja zajmują szczególne miejsce w dziejach komunizmu, pozwala właśnie postawić może mniej trywialne pytanie: A jakie miejsce w „geohistorii" komunizmu, jego genezy – od „niemieckiej teorii" do „rosyjskiej praktyki", od zapałki do pożaru, od pierwszej połowy XIX w. do 1917 roku – zajmuje Polska? W owym okresie była przecież położona nie tyle „między Rosją a Niemcami", ile po prostu wewnątrz Rosji oraz Niemiec (Prus), które dokonały razem z cesarstwem Habsburgów rozbioru terytorium Rzeczypospolitej w XVIII w. Od historii komunizmu w jej pierwszej fazie nie mogła być zatem izolowana. Była dokładnie na styku tych imperiów i imperializmów, a zarazem dwóch „mateczników" komunistycznej przyszłości.

Pierwszej, specyficznej odpowiedzi na postawione przed chwilą pytanie o miejsce Polski w historii komunizmu udzielił wieloletni kierownik dyplomacji imperium Habsburgów, konstruktor Świętego Przymierza rozbiorowych mocarstw, książę Klemens Lothar von Metternich, od czasu kongresu wiedeńskiego (1815) uznawany za dziekana konserwatywnej polityki europejskiej. 20 lutego 1846 roku w dramatycznym tonie pisał do swojego podwładnego, ambasadora cesarstwa w Paryżu: „Wielka konspiracja komunistyczna opanowała ziemie polskie". Wyjaśniał dalej, że „idee demokratyczne, które w najmniejszym stopniu nie nadają się dla ludności słowiańskiej, takiej, jaka jest w Polsce […] nieuchronnie muszą przekształcić się w komunizm, to jest rabunek własności i mordowanie właścicieli". Mamy oto więc pierwszą konserwatywną definicję komunizmu: rabunek i morderstwo oraz wskazanie, że to Polska – pozbawiona bytu politycznego przez rozbiorowe mocarstwa już pół wieku wcześniej – jest ogniskiem tej zarazy. To specyficzne skojarzenie komunizmu z ziemiami polskimi w widoczny sposób łączy się tutaj z XIX-wiecznym, niemiecko-arystokratycznym, jeśli można tak powiedzieć, przekonaniem, a raczej stereotypem, zgodnie z którym Słowianie to jednak gorsza rasa, a w każdym razie niezdolna do recepcji takich zaawansowanych idei jak demokracja.

Słowo „komunizm" w odniesieniu do świata polityki nie było niemal w ogóle stosowane w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku. Do języka publicystyki politycznej w Europie śmielej wchodzi dopiero od 1840 roku, wtedy bowiem we Francji Étienne Cabet (1788–1856) użył po raz pierwszy słowa „komunista" dla określenia zwolennika idei zastąpienia starego społeczeństwa radykalnie nowym projektem „komuny", opartym na wspólnocie własności. Ogłosił powstanie nowego ruchu – „komunistycznego". W marcu tego samego roku skonstatował jego istnienie niemiecki dziennik „Augsburger Allgemeine Zeitung". Jako cel „komunistów" wskazał niwelację społeczeństwa: eine Nivellierung der Gesellschaft. Henryk Heine w następnym roku spopularyzował nowy termin, pisząc o „szale równości [Gleichheitsraserei] komunistów", który musi prowadzić do terroryzmu.



ANDRZEJ NOWAK „ZNOWU MIĘDZY NIEMCAMI A ROSJĄ?" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2026

komunizm. Powtórzę, że Polski w 1846 roku nie było na mapie Europy od pół wieku, tj. od czasu rozbiorów. Na progu 1846 roku istniał jeszcze, i to w tym kontekście ważny, mały fragment, formalnie wyodrębniony spod władzy trzech zaborców. Było to stanowiące około półtora promila terytorium przedrozbiorowej Polski – Rzeczpospolita Krakowska. To właśnie w związku z decyzją o militarnej okupacji tego ostatniego skrawka kanclerz cesarstwa, Metternich, pisał do swojego ambasadora w Paryżu, by ten groźbą komunizmu wytłumaczył na francuskim dworze nowe grabieżcze posunięcie Austrii, którego celem było przyłączenie historycznej stolicy Polski do imperium Habsburgów. To jeszcze samo w sobie nie byłoby warte uwagi. Istotna jest jednak data listu: 20 lutego. Ledwie kilkanaście godzin wcześniej zaczęła się rzeź polskich, szlacheckich właścicieli ziemskich dokonywana rękami polskich

Rewolucja komunistyczna miała ostatecznie znieść wszystkie narody

W języku polskim pojęcie komunizmu jako ruchu politycznego o radykalnej doktrynie społecznej zadomowiło się w tym samym czasie. Młody zwolennik nowej ideologii Edward Dembowski (1822–1846) bronił jej już w 1845 r. przed krytykami i wulgaryzatorami: „O komunizmie wszyscy mówią i piszą, a największa liczba rozprawiających w tej materyi dowodzi najwyższego nieuctwa […]. Wszystko zowią dziś komunizmem, prócz tego, co nim jest, to jest, prócz żądania umiejętnego assocyacyjnego urządzenia pracy i równego podziału owocu pracy między pracowników".

Metternich i Dembowski spotkali się w momencie, od którego zaczynam ten przegląd: od komentowanej przez pierwszego z nich rabacji galicyjskiej i współtworzonego przez tego drugiego narodowego powstania krakowskiego, które zdusiła w zarodku rabacja. To spotkanie pozwala nam rozpoznać od razu specyfikę polskiego spojrzenia na chłopów, zwana rabacją galicyjską. Czy kanclerz w Wiedniu mógł w warunkach technologicznych 1846 roku w ciągu niespełna jednego dnia otrzymać wyczerpujący raport z pierwszych dopiero skutków krwawej rewolty spod Tarnowa i zredagować na tej podstawie pismo dyplomatyczne do Paryża?

Rzeź polskiej szlachty przez chłopów swoją pełną skalę – wyrażającą się liczbą ponad 500 splądrowanych dworów w zachodniej Galicji i przeszło 1200 zamordowanych ich mieszkańców – ujawni się dopiero w ciągu kolejnych kilkunastu dni. Widać więc, że austriacki kanclerz uzasadniał jakby awansem, wydarzeniami, których jeszcze nie było, decyzję o zaborze Krakowa. Tymczasem w starej stolicy Polski i w całej Galicji organizacja niepodległościowa, kierowana zdalnie przez emigracyjne Towarzystwo Demokratyczne Polskie, przygotowywała powstanie, zaplanowane na 21 lutego. Miało być częścią ogólnonarodowego,

eprasa.pl 4ba9d97331

trójzaborowego wystąpienia, kolejną po powstaniu listopadowym 1830 roku manifestacją woli polskich środowisk patriotycznych, przede wszystkim szlacheckich, odzyskania niepodległości. Poza Krakowem słabo przygotowane powstanie zostało sparaliżowane wcześniejszymi aresztowaniami, a w Galicji – rzezią dokonaną chłopskimi rękami na „polskich panach". Austriacka administracja, a przynajmniej jej część, ze starostą tarnowskim Josephem Breinlem na czele, wiedząc o zamiarze powstania, postanowiła wykorzystać konflikt społeczny, by Polakom nie powiodła się nowa próba walki o niepodległość i przyciągnięcia do niej chłopów obietnicą uwłaszczenia. Już 16 lutego, a więc trzy dni przed rozpoczęciem rzezi, a pięć dni przed zaplanowaną datą powstania, starosta Breinl przyjął grupę 70 „chłopskich aktywistów" z Jakubem Szelą na czele i dał im pełnomocnictwo do wystąpienia przeciw szlachcie oraz przyrzeczenie (niezrealizowane) ograniczenia pańszczyzny. Kilka dni później przed gmach austriackiego starostwa w Tarnowie chłopi zaczną zwozić wózkami ciała pomordowanej szlachty, licząc na nagrodę od administracji cesarza z Wiednia.

W Krakowie rząd powstańczy – którego faktycznym kierownikiem, a w każdym razie ideowym inspiratorem był młody Edward Dembowski – ogłosił radykalny w swojej wymowie społecznej manifest. Radykalny, bo zapowiadający zniesienie przywilejów stanowych i pańszczyzny oraz uwłaszczenie chłopów. Stąd jeszcze daleko było do komunizmu. Bliżej jego definicję, w każdym razie tę nakreśloną przez Metternicha, spełniała rzeź właścicieli ziemskich i ich służby, urządzona przez chłopską rebelię, po cichu wspierana przez austriacką administrację i tolerowana przez urzędników i wojsko cesarstwa aż do połowy marca. Powstanie krakowskie zostało szybko stłumione, Dembowski zginął od kul austriackich żołnierzy, kiedy na czele procesji z udziałem 30 księży szedł ku chłopom, próbując ich pozyskać dla sprawy powstania. Rzeczpospolita Krakowska została zlikwidowana przez zaborców i wcielona ostatecznie do imperium Habsburgów.

Widmo komunizmu pojawiło się w takiej formie na ziemiach polskich – pod zaborem austriackim – i na jakiś czas zniknęło. Równo dwa lata po rabacji galicyjskiej, w lutym 1848 roku, w Londynie Karol Marks i Fryderyk Engels ogłosili „Manifest Partii Komunistycznej". W jego pierwszym zdaniu znalazła się ta właśnie słynna później metafora: „Widmo krąży po Europie – widmo komunizmu". Rzadziej przypomina się drugie zdanie „Manifestu komunistycznego" (tak przyjęło się nazywać ten programowy tekst), w którym Marks i Engels wymieniają m.in. papieża, cara oraz właśnie Metternicha jako symbole „starej Europy", która organizuje nagonkę na komunizm. Dokładnie w drugą rocznicę powstania krakowskiego Marks i Engels wystąpili z przemówieniami na specjalnym mityngu w Brukseli poświęconym upamiętnieniu tego wydarzenia. Marks wyszydził wtedy próby zinterpretowania polskiego powstania narodowego jako przykładu komunizmu. Uznał jednak, że „rewolucja krakowska dała całej Europie piękny przykład, utożsamiając sprawę narodową ze sprawą demokracji i z wyzwoleniem klasy uciśnionej". Nie pozostawił przy tym najmniejszych wątpliwości, że ostatecznym celem komunizmu jest wyzwolenie klasowe, a nie narodowe. Engels natomiast przedstawił powstanie krakowskie jako zapowiedź sojuszu nowych, rewolucyjnych Niemiec z rewolucyjną Polską.

Dla Polaków komunizm mógł sie okazać obliczem tego samego zagrożenia, co polityka Rosji, Austrii i Prus

Dziwne zapętlenie: komunizm, sprawa narodowa, Rosja, Niemcy, Polska. Metternich, Dembowski, Marks, Engels – i carat. Dla Metternicha polska walka o niepodległość, sama polskość nawet – to rewolucja, narusza bowiem konserwatywny status quo, oparty na równowadze i kontroli nad kontynentem trzech imperiów zaborczych. Z tego samego powodu dla Marksa i Engelsa polskie powstania, zwłaszcza jeśli uderzają w carską Rosję, są warte uznania: jako środek podważenia owego starego, opresyjnego systemu politycznego, na czele którego stoi car i jego germańscy pomagierzy. Engels pogłębia nawet tę perspektywę, w którą patrzy po trosze oczami Niemca, dostrzegającego w Rosji inne niż komunizm widmo – widmo kierowanej przez cara słowiańskiej barbarii, zagrażającej postępowym tendencjom, które już dojrzewają w Niemczech. Engels wyłącza Polskę z tego negatywnego stereotypu „reakcyjnej Słowiańszczyzny" i w swojej sformułowanej w 1848 roku teorii zalicza do grona narodów „historycznych", które odróżnił od „niehistorycznych". Te pierwsze miały charakteryzować się silną tradycją własnej państwowości i czynnego udziału w polityce. Do nich Engels zaliczył w Europie Środkowej Niemców, Węgrów i Polaków. Natomiast Czechów, Słowaków, Ukraińców, południowych Słowian i Rumunów potraktował jako chłopskie narody niehistoryczne, przypisując im także rolę narzędzi i sługusów „reakcyjnych" imperiów: Rosji i cesarstwa Habsburgów.

Komunizm jednak, jaki ogłosili wspólnie Marks z Engelsem, nie miał podtrzymywać nawet historycznych narodów. One zasługiwały na chwilową pochwałę wyłącznie jako narzędzia przygotowujące grunt pod ostateczny triumf socjalnej rewolucji, w której trzeba najpierw obalić stare „imperia zła", z carską Rosją na czele. Rewolucja komunistyczna miała ostatecznie znieść wszystkie narody, wyzwolić, wyemancypować człowieka z obciążających go starych tożsamości. W „Szkicu komunistycznego wyznania wiary", napisanym przez Engelsa w czerwcu 1847 roku, stosunek do przyszłości narodów został wyjaśniony ponad wszelką wątpliwość w 21. kwestii. Narody znikną, podobnie jak znikną wszelkie różnice między klasami i stanami, kiedy zostanie zniesiona baza tych podziałów – własność prywatna. Kwestia 22. wyjaśniała, że podobnie jak narody w komunizmie zaniknie również religia. Człowiek wyemancypowany przez komunistyczną rewolucję nie będzie już obywatelem – członkiem określonej wspólnoty politycznej. Będzie wyzwoloną od wszelkich dawnych ograniczeń ludzką istotą. „Manifest komunistyczny" był manifestem nie tylko antykapitalistycznym, ale także piętnującym tożsamości narodowe jako przeżytek: „jednostronność i ograniczoność narodowa staje się rzeczą coraz bardziej niemożliwą i z wielu literatur narodowych i miejscowych powstaje jedna literatura

WWW.DORZECZY.PL

eprasa.pl 4ba9d97331

światowa" – zapowiadali w „Manifeście" Marks i Engels. Dodawali, że panowanie proletariatu przyspieszy jeszcze i spotęguje zanikanie narodowych różnic.

Dla tych Polaków – którzy w XIX wieku zmierzali do odzyskania bytu politycznego, a także do obrony swojej narodowości, języka, kultury przed zagrażającymi im działaniami państw zaborczych – komunizm, kwestionujący przyszłość narodu, mógł się okazać innym, nowym obliczem tego samego śmiertelnego zagrożenia, które niosła polityka Rosji, Austrii i Prus. Dla tych, którzy czuli się nie tylko Polakami, ale także, a może przede wszystkim, właścicielami, a zarazem społecznymi filarami ładu (starego/moralnego/Opatrznościowego), szok uderzenia w szlachtę za pomocą chłopskiej rebelii, inspirowanej przez władze jednego z mocarstw rozbiorowych, widmo komunizmu w takim kształcie prowokowało rozpaczliwy odruch poszukiwania ratunku, a przynajmniej „mniejszego zła". Na przykład – w systemie carskiej Rosji.

W 1846 roku to Austria, czyli cesarstwo i jego urzędnicy w Galicji, w połączeniu z chłopską rabacją byli najbardziej widocznymi przykładami zagrożenia polskości i socjalnego ładu zarazem. Kanclerz Metternich oskarżał polskość o sprzyjanie komunizmowi. Sam jednak został oskarżony o cyniczne wykorzystanie komunistycznej metody – rzezi właścicieli ziemskich – w swojej walce z polską narodowością. Autorem najgłośniejszego z całej serii takich oskarżeń był margrabia Aleksander Wielopolski, ordynat myszkowski. Zareagował wydaniem w Paryżu, w języku francuskim, broszury: „List szlachcica polskiego o rzezi galicyjskiej do księcia Metternicha". Wspominam jego broszurę z 1846 roku z dwóch względów: przede wszystkim dlatego, że można w niej dostrzec przejaw konserwatywnej odpowiedzi na zagrożenie komunistyczną rewolucją. Pogłębionej analizy fenomenu komunizmu próżno w niej jednak szukać. Autor porównuje rzeź szlachty w Galicji z hasłami i praktyką rewolucji francuskiej w jej jakobińskiej fazie z 1793 roku. Ważniejszy jest drugi powód, dla którego przywołuję tutaj wspomniany „List szlachcica polskiego". Oto bowiem oskarżenie pod adresem Metternicha o zainspirowanie krwawej rozprawy z polską szlachtą metodami socjalnej rewolty prowadzi Wielopolskiego do wniosku, że ostatnią nadzieją dla szczerego konserwatysty – obrońcy starego ładu – pozostaje carska Rosja. Choć pod panowaniem Mikołaja I, pogromcy powstania listopadowego, nie zostawia ona żadnej nadziei na odnowienie niepodległości Polski, to jednak trzyma się ona konserwatywnych zasad. Nie odwołuje się do tak niskich metod, jakich użył stary książę Metternich, by ugodzić polską szlachtę. Dla Wielopolskiego to, co stało się w Galicji w 1846 roku, jest powodem do apelu, by polska szlachta zmieniła zasadniczo swoją geopolityczną orientację. To powinien być zwrot przeciw Niemcom, gdyż w postępowaniu Wiednia i jego urzędników Wielopolski widzi nową odsłonę „nieśmiertelnej nienawiści" między Niemcami a „rasą słowiańską".

Przy tej okazji należy przypomnieć, że koniec lat czterdziestych XIX wieku w myśli nie tylko rosyjskiej, ale i polskiej to czas intensywnego zainteresowania ideą pansłowiańską, która jeszcze w kolejnych dekadach, właściwie aż do I wojny światowej, będzie odżywała w koncepcjach politycznych. Z pobratymczą Rosją przeciw zdradzieckim Niemcom (Prusom i Austrii) – tak najkrócej można by streścić wektor owego zwrotu. Ma on jednak w broszurze Wielopolskiego wymiar głębszy, ściślej związany z tematem tego rozdziału. Nie tylko państwa niemieckie, ale i cały Zachód został bowiem napiętnowany w niej jako fałszywy kierunek polskich nadziei. Mocarstwa zachodnioeuropejskie, na których pomoc liczyli walczący o niepodległość Polacy, nigdy tej pomocy skutecznie nie udzieliły i nie udzielą – ostrzegał margrabia. Co jednak ważniejsze, podkreślał, Zachód to „cywilizacja zgrzybiała, zrzędna i zarozumiała", która zostawia Polakom miejsce tylko w swoim „ogonie". Rosja natomiast otwiera Polakom możliwość współudziału w zjednoczonej pod berłem cara „cywilizacji słowiańskiej, młodej, prężnej i pełnej przyszłości".

Tak więc: Zachód jest „zgrzybiały", Zachód „gnije"? Metafora gnijącego Zachodu pojawiła się ledwie kilka lat przed wystąpieniem Wielopolskiego. Użył jej po raz pierwszy rosyjski krytyk literacki Stiepan Szewyriow w artykule „Pogląd Rosjanina na współczesną cywilizację Europy" opublikowanym w 1841 roku w piśmie „Moskwitianin". Czy „gnicie" Zachodu wyraża się w kryzysie europejskiego konserwatyzmu, który znajduje swój dobitny wyraz w upadku księcia Metternicha, uciekającego się do komunistycznych metod? A może w reakcji takiej, jakiej przykład dał sam Wielopolski – poszukiwania ratunku w Imperium Rosyjskim jako rzekomej ostoi tradycji, ostatniej, jaka powstrzymuje katastrofę? A może raczej samo przejście komunizmu z gabinetów teoretyków na scenę polityki europejskiej jest symptomem śmiertelnej choroby? Czy więc Rosja jest jako antyzachodnia cywilizacja krajem przyszłości? Czy to komunizm ma ten klucz do przyszłości? Jakie są relacje między Rosją a komunizmem, Zachodem a komunizmem, Niemcami a komunizmem? Jakie są relacje między tymi politycznymi siłami i polską sprawą narodową, dążeniami do odzyskania niepodległości? I czy niepodległość nie powinna ustąpić wobec ważniejszego, większego wyzwania, jakim dla przyszłości całej ludzkości jest nowa ideologia – komunizm? To cała seria pytań postawionych przez wydarzenia 1846 roku i pierwsze ich interpretacje. Przypominam je dalej szczegółowo, bo zasługują na to fenomenalnym w swej proroczej przenikliwości – przemyślenia nie tylko często w tym kontekście przywoływanego Zygmunta Krasińskiego, ale także kilku innych – zapomnianych autorów, z Józefem Gołuchowskim i Henrykiem Rzewuskim na czele. Nikt przed XX stuleciem nie dostrzegł tak wnikliwie jak oni tendencji ideologii niemieckiej – do rozpalenia pożaru „emancypacji": od Boga, rodziny, natury, człowieczeństwa.

W Polsce pojęcie komunizmu jako ruchu politycznego o radykalnej doktrynie społecznej zadomowiło się w połowie XIX stulecia

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331



Z prof. Krzysztofem Kubiakiem, współautorem książki pt. „Wojna sueska 1956”
rozmawia Piotr Włoczyk

Śmierć imperiów nad Kanałem Sueskim

PIOTR WŁOCZYK: Wprawdzie to Afganistan znany jest w historii jako „cmentarzysko imperiów”, ale wygląda na to, że w listopadzie 1956 r. to miano idealnie pasowało do Egiptu...

PROF. KRZYSZTOF KUBIAK: Tak, można powiedzieć, że egipskie piaski stały się cmentarzyskiem dla imperiów kolonialnych Francji i Wielkiej Brytanii.

Cała sprawa zaczęła się od kwestii finansowych. Dlaczego Amerykanie i Brytyjczycy nie chcieli sfinansować wielkiego projektu Gamala Abdela Nasera?

Prezydent Egiptu, który był arabskim nacjonalistą, a nie komunistą, został wtedy postawiony przez Amerykanów i Brytyjczyków w sytuacji bez wyjścia. Tama Asuańska miała być wielkim kołem zamachowym modernizacji Egiptu, dostarczając ogromnych ilości energii elektrycznej i sprawiając, że tamtejsze rolnictwo będzie bardziej efektywne.

To był element silnie legitymizujący Nasera, który obiecywał Egipcjanom rozwój. Bez prądu asuańskiego ten rozwój był niemożliwy. To miał być symboliczny skok w lepszą przyszłość.

Kiedyś wyjaśnił mi to mój amerykański kolega po fachu. O ile Brytyjczyków cechowała arogancja, o tyle Amerykanów – ignorancja. Waszyngton nie miał pełnego rozeznania w kwestii Egiptu. Już wtedy Amerykanie widzieli skutki zwycięstwa komunistów w Chinach i obawiali się dalszego wzrostu wpływów sowieckich w Egipcie. I w tym kontekście oceniali Nasera.

Brytyjczycy grali w to, co zawsze. Chodziło im o ochronę morskiego szlaku na wschód i zabezpieczenie swoich wpływów na Bliskim Wschodzie.

Wydawałoby się, że Brytyjczycy i Amerykanie powinni dać pieniądze Naserowi, żeby mieć spokój w Egipcie.

Tylko że Brytyjczycy obawiali się, że Naser to kryptokomunista. Kierowali się tu starymi stereotypami kolonialnymi. A Naser nie był ani komunistą, ani nawet socjalistą. Był przede wszystkim nacjonalistą.

Brytyjczycy bali się inwestować duże pieniądze w Egipt, nie mając pewności, jakie będą tego skutki. Amerykanie podobnie na to patrzyli. Inna rzecz, że Naser poważnie upokorzył Brytyjczyków – po rewolucji Wolnych Oficerów z 1952 r. Egipt metodą prowokacji i nacisku zbrojnego zmusił Brytyjczyków do opuszczenia baz, które dzierżyli oni w strefie Kanału Sueskiego. Londyn nie miał więc powodów, by ufać Naserowi.

Przywódca Egiptu stwierdził, że skoro Zachód nie chce mu pomóc, to znacjonalizuje Kanał Sueski i w ten sposób zdobędzie pieniądze na Tamę Asuańską. I tak się stało w lipcu 1956 r.

Kanał Sueski znajdował się de facto pod kontrolą kapitału brytyjskiego. Przed Naserem na podobny krok, czyli nacjonalizację mienia ważnych graczy zachodnich, zdecydował się premier Iranu Mohammad Mosaddegh. Skończyło się to dla niego fatalnie: Amerykanie, przy asyście Brytyjczyków, zorganizowali zamach stanu, który obalił premiera Mosaddegha. Nacjonalizacja Kanału Sueskiego, przeprowadzona bez odszkodowania, była bardzo jednoznacznym aktem

eprasa.pl 4ba9d97331



Zniszczone czołgi podczas kryzysu sueskiego w 1956 r.
FOT. UNITED STATES ARMY HERITAGE AND EDUCATION CENTER

politycznym. W Londynie kojarzyło się to z praktykami Rosji bolszewickiej. Tym jednym ruchem Naser utwierdził Brytyjczyków w przekonaniu, że musi być komunistą.

Brytyjczycy pogodzili się już, że „zwijają" swoje imperium. Do tej pory ten proces odbywał się jednak na warunkach Londynu. Tymczasem nagle do akcji wchodzi nowy gracz, który narzuca Albionowi swoje reguły. Brytyjska klasa polityczna potraktowała to jako policzek i próbę zdyskredytowania roli Wielkiej Brytanii jako ważnego uczestnika światowej rozgrywki.

Co chcieli tu ugrać Francuzi?

Paryż patrzył z niepokojem na południe. W 1954 r. rozgorzała wojna w Algierii. Dla Francuzów to nie była wojna domowa, tylko inwazja na integralną część Francji. W ich głębokim przekonaniu Algieria była zamorską Francją. Próby oderwania Algierii traktowano więc mniej więcej tak, jak zabór Alzacji i Lotaryngii przez Niemcy. To było uderzenie w integralność państwa. Paryż zdawał sobie sprawę z tego, że powstańcy algierscy są finansowani, a także wspierani moralnie i politycznie przez Egipt, który pod rządami Nasera stał się rozsadnikiem arabskiego nacjonalizmu i myśli panarabskiej. W Paryżu sądzono, że usunięcie Nasera jest krokiem pośrednim, który znacznie ułatwi uporanie się z powstaniem algierskim. Uważali, że dzięki temu uda się odciąć powstańców od egipskiego wsparcia.

Natomiast w przestrzeni międzynarodowej Francuzi budowali narrację, która eksponowała złamanie przez Nasera prawa międzynarodowego poprzez nacjonalizację kanału. Jednak to była tylko zasłona dymna. Dla nich najważniejsze było to, co się działo w Algierii. Pamiętajmy, że gdy zawierano traktat północnoatlantycki, parasolem NATO-wskim objęte zostały również francuskie posiadłości w Afryce Północnej, w tym Algieria. To była po prostu Francja leżąca po drugiej stronie Morza Śródziemnego.

Kolejnym graczem był Izrael, który uruchomił całą lawinę wydarzeń. Na co liczyły władze w Tel Awiwie?

Dla państwa żydowskiego była to klasyczna wojna prewencyjna. Powstały ledwie osiem lat wcześniej Izrael zwyciężył w wojnie o niepodległość, ale przez kolejne kilka lat prowadził konflikt o niskiej intensywności, zwany wojną o granice. Z Gazy i z Jordanii przechodzili palestyńscy fedaini i atakowali izolowane placówki, transport, pracujących na polach kibucników. Jednakże Izraelczycy przerazili się, gdy Naser zwrócił się do Czechosłowacji o dostawy nowoczesnego uzbrojenia, choć oczywiste było, że będzie za tym stał Związek Sowiecki. Warto jednak pamiętać, że wcześniej Naser zwrócił się z tym samym pytaniem do USA, ale Waszyngton odmówił mu sprzedaży uzbrojenia. Po wojnie w latach 1947–1948 Stany Zjednoczone objęły cały region embargiem na uzbrojenie, licząc na to, że uspokoi to sytuację. Sowieci natomiast dostrzegli szansę na zdobycie przyczółka w regionie.

W ten sposób od 1955 r. do Egiptu zaczęła płynąć nowoczesna broń konstrukcji sowieckiej – czołgi, działa samobieżne, artyleria, samoloty. Izrael był w tamtym czasie dość słabym państwem pod względem militarnym. Izraelczykom udało się wprawdzie kupić nowoczesne francuskie lekkie czołgi i trochę samolotów, ale to jeszcze nie był potężny Izrael z linią kredytową w USA – to dopiero melodia przyszłości. Nawiasem mówiąc, Izraelczycy byli wtedy mistrzami improwizacji, osadzając stare niemieckie armaty pozyskane w Austrii na amerykańskich transporterach opancerzonych z drugiej wojny światowej, kupionych na Filipinach jako… ciągniki rolnicze.

Izraelczycy nie bardzo wiedzieli, jak sobie poradzić z rosnącym w siłę rywalem, ale gdy na horyzoncie pojawiła się współpraca z Wielką Brytanią i Francją wymierzona w Egipt, to chwycili się tej szansy. Tym bardziej że zasadniczy ciężar działań brały na siebie oba europejskie mocarstwa, pozostawiając Izraelczykom dostarczenie pretekstu do interwencji. Gdy ukształtowała się koalicja brytyjsko-francuska, rolę pośrednika w rozmowach z Żydami wzięli na siebie Francuzi. Brytyjczycy byli bowiem niechętnie nastawieni do Izraela – wciąż odczuwali traumę po walce z żydowskimi organizacjami bojowymi w Mandacie Palestyny.

Atak Izraela na Egipt 29 października 1956 r. miał uruchomić ciąg korzystnych dla Francuzów i Brytyjczyków zdarzeń.

Uknuto trójstronną intrygę: Brytyjczycy i Francuzi zamierzali zaatakować Egipt, opanować strefę Kanału Sueskiego, wyprowadzić uderzenie na Kair i przy pozytywnym rozwoju wydarzeń obalić Nasera, a następnie powołać powolny sobie rząd. Ale… to już był rok 1956, a nie 1914. Brutalna interwencja mocarstw kolonialnych, jak najazd Mussoliniego na Etiopię, nie wchodziła już w grę. Potrzebna była tu wiarygodna „podstawa prawna". Plan wyglądał następująco: Izrael zaatakuje pozycje egipskie na Synaju, co dostarczy Brytyjczykom i Francuzom pretekstu do interwencji.



KRZYSZTOF KUBIAK, ŁUKASZ M. NADOLSKI „WOJNA SUESKA 1956" INFORTEDITIONS

eprasa.pl 4ba9d97331

Londyn i Paryż, broniąc wolności żeglugi, wkroczą do gry...

Najpierw jednak postawią obu walczącym stronom żądanie wycofania się na odległość 10 km od brzegów Kanału Sueskiego. Gdyby ta wspaniałomyślna oferta została odrzucona przez walczące strony, wówczas Londyn i Paryż rezerwowały sobie prawo przeprowadzenia operacji wojskowej, by – w imieniu całego świata – zabezpieczyć ten arcyważny szlak morski.

To, czy Brytyjczykom i Francuzom uda się obalić Nasera, nie było już tak ważne dla Izraelczyków. Ich celem było porażenie armii egipskiej i odebranie Kairowi możliwości stworzenia militarnego zagrożenia dla Izraela przez kolejne kilkanaście lat.

Jak sprawdziła się wtedy w boju armia izraelska?

Postawiłbym tezę, że Izraelczykom wiodło się nawet lepiej, niż sami się tego spodziewali. Egipskie zgrupowanie na Synaju zostało rozbite. Zgodnie z planem Brytyjczycy i Francuzi wystosowali ultimatum. De facto nie dotyczyło ono Izraelczyków, którzy nie zdążyli jeszcze dojść do strefy kanału, natomiast Egipcjanie odrzucili je natychmiast. Przyjęcie tego żądania zdezawuowałoby Nasera jako przywódcę Egiptu, nie mówiąc już o jego ambicjach przewodzenia całemu światu arabskiemu.

W strefie kanału błyskawicznie pojawili się brytyjscy i francuscy komandosi.

Desant poprzedziła bardzo intensywna operacja lotnicza. Brytyjczycy i Francuzi, działając z lotniskowców oraz z baz na Malcie i na Cyprze, bombardowali cele w Egipcie, niszcząc lotnictwo Nasera. Po wywalczeniu całkowitego panowania w powietrzu francuscy i brytyjscy spadochroniarze wylądowali w strefie Kanału Sueskiego, zdobywając przyczółki. Następnego dnia doszło na nich do desantu morskiego. Egipcjanie nie byli w stanie powstrzymać europejskich sojuszników.

Na tym etapie w Londynie i w Paryżu musiały strzelać korki od szampanów.

Wszystko wyglądało na razie znakomicie. Jednak szybko pojawiły się problemy polityczne. Przygotowania do przejęcia kanału odbywały się przecież bez konsultacji z Ameryką.

W końcu Brytyjczycy i Francuzi chcieli pokazać całemu światu, że są samodzielnymi graczami.

Amerykanie byli więc wściekli. Administracja Eisenhowera poczuła się pominięta i po części oszukana przez sojuszników. W USA toczyła się właśnie kampania wyborcza; Eisenhower walczył o drugą kadencję. I oto tydzień przed wyborami sojusznicy USA wykreowali kryzys międzynarodowy. Był to już zresztą drugi poważny kryzys – tydzień wcześniej rozpoczęło się powstanie na Węgrzech. Amerykanie i bez Egiptu mieli więc dużo na głowie.

Naser zaczął zatapiać statki w kanale, blokując żeglugę. Czyli w gruncie rzeczy zrobił coś podobnego, co obecnie widzimy w Zatoce Perskiej.

Tak, widać tu pewne analogie. To było potężne uderzenie w łańcuchy handlu międzynarodowego. Blokując kanał, Naser pokazał, że jest zdeterminowanym graczem. Wyłączenie tej drogi morskiej z użytkowania oznaczało, że ropa z Zatoki Perskiej docierała do Europy z trzytygodniowym opóźnieniem. Pojawiła się więc przez pewien czas luka w dostawach na Stary Kontynent i Ameryka musiała interweniować, by uzupełnić te niedobory.

Finalnie oba supermocarstwa rozwiązały ten kryzys po swojemu, każąc – skrótowo rzecz ujmując – rozejść się wszystkim do domów.

Mocarstwa o globalnych interesach czasem idą noga w nogę, niezależnie od tego, że ich długofalowe cele są kompletnie rozbieżne. Jednak ten krótki okres nieintencjonalnej współpracy wystarczył, by zmiażdżyć mniejszych graczy. I tak się stało w 1956 r. w Egipcie.

Sowietom kryzys na Bliskim Wschodzie spadł z nieba, odwracając uwagę – przede wszystkim Amerykanów – od Węgier. Sowieci zdecydowali się wtedy sięgnąć po bardzo dosłowny szantaż atomowy wobec Wielkiej Brytanii. Amerykanie z kolei dali do zrozumienia Wielkiej Brytanii i Francji, że jeżeli dojdzie do konfrontacji z powodu kryzysu na Bliskim Wschodzie, to nie będą się czuli zobowiązani przyjść z pomocą Londynowi i Paryżowi. Przesłanie Eisenhowera było jasne: „Panowie, narozrabialiście, więc my nie będziemy potem nadstawiać za was karku".

Dzięki egipskiej „zasłonie dymnej" Sowieci brutalnie rozprawili się z Węgrami, a Amerykanie sprowadzili wtedy dwóch niesfornych sojuszników do takiej roli, jaką Waszyngton od początku dla nich przewidywał.

Nie ma wątpliwości, że Francuzi i Brytyjczycy to najwięksi przegrani. Naser był największym zwycięzcą tego kryzysu?

Zdecydowanie. Egipt zrzucił z siebie odium marionetki brytyjskiej i wybił się na pozycję wiodącego państwa regionu, którą zresztą utrzymuje do dziś.

Przegranym był właściwie cały sojusz zachodni – ujawniły się wtedy głębokie podziały w ramach NATO. I jeżeli mielibyśmy szukać przyczyn daleko idącej wstrzemięźliwości Francji wobec paktu, to musimy pamiętać o finale kryzysu sueskiego.

Drugim największym zwycięzcą był Związek Sowiecki?

Tak. W wyniku tych wydarzeń Sowieci mocno ukorzenili się na Bliskim Wschodzie. Do tego stopnia, że w 2015 r. Rosja Putina, nawiązując do swoich tradycji w tamtym regionie, postanowiła interweniować w Syrii.

Izrael też mógł się czuć usatysfakcjonowany – chodziło mu przede wszystkim o zdruzgotanie armii egipskiej i to mu się udało.

Ciekawy paradoks: zarówno Izrael, jak i pobity przez niego militarnie Egipt wyszły z tego starcia wzmocnione. Czy Ameryka też mogła być zadowolona z finału tej historii?

USA były jedynym globalnym mocarstwem po stronie zachodniej. Wcześniej czy później musiałyby się uwikłać na Bliskim Wschodzie. Za sprawą kryzysu sueskiego uczyniły to wcześniej i na własnych warunkach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Krzysztof Kubiak jest historykiem wojskowości, wykładowcą Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, autorem wielu publikacji na temat działań zbrojnych w XX w., współautorem książki pt. „Wojna sueska 1956".

eprasa.pl 4ba9d97331



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Problemy w konspiracji

Konspiracja lat 1939–1945 to nie tylko akcje zbrojne, zwycięstwa i porażki, walka bieżąca. To także codzienne zmaganie się z problemami organizacyjnymi i dolegliwościami, które są na ogół pomijane nawet w wielu wartościowych monografiach. Konspiracja nie była jednolita, była odzwierciedleniem podziałów politycznych w II RP, których nigdy nie udało się pokonać. Tragedią dla naszej historii był okres 1944–1989, gdy pełnię władzy dzierżyli z nadania moskiewskiego mocodawcy przedstawiciele nurtu zdradzieckiego, czyli PPR-PZPR. Z racji braku prawdziwych zasług i niewielkich rozmiarów ich działalności w konspiracji (1942–1945) postanowili nadrobić to ogromnym piśmiennictwem w warunkach ostrej cenzury. Ale przecież nie byli sami.

Do władzy dopuszczony został „odnowiony", czyli spacyfikowany i w znacznej mierze agenturalny, ruch ludowy, szczególnie po przejęciu PSL i przemianowaniu go na ZSL. W ślad za tym szło pozwolenie, aby kolaboranci „władzy ludowej" mogli wszystko poprawiać prawie dowolnie, a nawet zmyślać swą historię okresu okupacji, nadając sobie tym samym tytuł do władzy. Przede wszystkim, wzorem PPR i GL-AL, Stronnictwo Ludowe i Bataliony Chłopskie, nie mając innej konkurencji, mogły swobodnie przejmować zasługi innych organizacji i ich dorobek.

Tu skupmy się na rozdęciu stanów liczebnych i udziału BCh po scaleniu z AK, co nominalnie nastąpiło w 1943 r., a faktycznie nigdy nie zostało sfinalizowane. Wystarczy dać głos dokumentom, jak było naprawdę. Inspektor rzeszowski AK (następnie komendant podokręgu) wówczas mjr Łukasz Ciepliński „Pług" informował dowództwo AK o relacjach z ruchem ludowym i „Chłostrą" (to kryptonim BCh):

„Na przeszkodzie stanęło scalenie, od tej chwili datuje się zadrażnienia. Chłostra nie istnieje na tym terenie [...]. Element wartościowy został już wciągnięty. Dla Chłostry zostały w większości odpadki. W międzyczasie przychodzą rozkazy scaleniowe. Chłostra nie może się scalić, bo nic nie ma".

Nie było to negatywne nastawienie „sanacyjnego" oficera zawodowego, to była trzeźwa ocena stosunków terenowych: „Stosunek nasz do Chłostry był zawsze b. życzliwy, ostrzegamy zagrożonych, pomagamy swoimi drogami aresztowanym". Ale jednocześnie „Pług" nie ukrywał problemów, pisał o nich wprost: „W żadnym wypadku nie pozwolę na rozbijanie swoich szeregów". A polegało to na wyciąganiu z szeregów AK… chłopów z siatek terenowych i ponowne ich wcielanie do organizacji! „Winę bezwzględnie ponosi Komenda Chłostry. Postępowanie jej jest wybitnie niemoralne i nielojalne w stosunku do naszego d-dztwa". Taką mamy historiografię. ©℗



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zapomniana melodia

W latach 30. w kinematografii zachodniej triumfy święciły komedie muzyczne. Pomysł był genialny w swojej prostocie: para urodziwych, śpiewających aktorów, kilka chwytliwych piosenek, humorystyczna fabuła i obowiązkowe szczęśliwe zakończenie. Patent ten realizowano z powodzeniem i dziwne, że polscy filmowcy odkryli go tak późno.

Pierwszym filmem z tego gatunku nad Wisłą były „Manewry miłosne" (1935 r.), a potem z powodzeniem realizowano kolejne produkcje. W kraju nie brakowało urodziwych i utalentowanych aktorek, ale w głównej roli męskiej z reguły obsadzano Aleksandra Żabczyńskiego. Towarzyszyły mu Tola Mankiewiczówna, Jadwiga Smosarska, Loda Niemirzanka czy Helena Grossówna. Właśnie z tą ostatnią nakręcił „Zapomnianą melodię" (premiera 5 listopada 1938 r.), która okazała się wyjątkowym sukcesem. Pochodzące z niej piosenki do dzisiaj zachowały popularność, a szczególnie „Już nie zapomnisz mnie" w popisowym wykonaniu Żabczyńskiego.

Aktor stał się bożyszczem kobiet w każdym wieku, a jego popularność osiągnęła takie rozmiary, że raz na pół roku musiał na własny koszt remontować klatkę schodową kamienicy, w której mieszkał. Właściciel żądał bowiem od niego usunięcia ze ścian wpisów zakochanych wielbicielek.

Pomimo sukcesów w komediach muzycznych Żabczyński nie ograniczał się wyłącznie do tego gatunku. Grał w melodramatach, pojawiał się w adaptacjach aktualnych przebojów wydawniczych („Trzy serca" według powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza), zdarzyła mu się również rola handlarza „żywym towarem" („Kobiety nad przepaścią"). Do wybuchu wojny, przez cztery lata wystąpił w 15 (!) filmach, a znajdował jeszcze czas na występy sceniczne. Chociaż marzył o rolach dramatycznych, to śpiewał w warszawskim Teatrze Letnim w operetce „Miłość przy świecach".

Wiosną 1939 r. premierę miały dwa filmy z udziałem pana Aleksandra („Trzy serca " i „Biały Murzyn"), dwa kolejne („Złota maska" i „Sportowiec mimo woli") weszły na ekrany rok później, a ostatni („Żona i nie żona") w 1941 r. Oficjalnie wyświetlano je w kinach Generalnego Gubernatorstwa (!), z czego przebywający wówczas na Zachodzie Żabczyński nie mógł być zadowolony. Podobnie jak jego żona pracująca w kraju jako kelnerka i omijająca koncesjonowane przez okupanta teatry.

Ciekawostką jest to, że gdy po wojnie wprowadzono na ekrany „Żonę i nie żonę", z czołówki zniknęły dwa nazwiska. Jednym z bohaterów filmu był bowiem niesławnej pamięci Igo Sym, a drugim Bogusław Samborski, skazany zaocznie przez polski sąd na dożywocie za kolaborację z okupantem. ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331



Transformacja uwolniła ogromną energię. Zarazem sukces kraju nie sprawiał, że człowiek wyrzucony z pracy miał za co nakarmić dzieci

FOT. TOMASZ GUTRY/PAP

Droga ku Zachodowi

Z dr. Michałem Przeperskim, historykiem i publicystą

rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Polska transformacja ustrojowa to dla mnie głównie czas zmarnowanych szans. A dla pana?

DR MICHAŁ PRZEPERSKI: Odzyskanie państwa, wyjście z zależności od Moskwy, możliwość decydowania o własnym życiu to ogromne osiągnięcia. Przecież pod koniec PRL powszechne było poczucie, że życie przecieka nam przez palce, a świat ucieka. Transformacja uwolniła niesamowitą energię. Zarazem sukces kraju nie sprawiał, że człowiek wyrzucony z pracy miał za co nakarmić dzieci. W dodatku często słyszał, że najwyraźniej „nie umiał się dostosować". W swojej nowej książce próbuję przywrócić miejsce właśnie takim doświadczeniom. Ten sam człowiek mógł cieszyć się wolnością i przeżywać dramat utraty bezpieczeństwa. Nie musiał wybierać jednej z tych emocji. My tymczasem wciąż podsuwamy mu formularz z dwiema rubrykami: zachwyt albo potępienie. Dla mnie transformacja to skomplikowana mozaika.

Największą bolączkę stanowiło lawinowo rosnące bezrobocie?

Zdecydowanie tak. I to przez wiele lat, jeszcze w 2003 r. stopa bezrobocia przekraczała 20 proc. Zamknięcie zakładu potrafiło oznaczać rozpad całego świata. Znikała nie tylko pensja, lecz także przedszkole, kolonie dla dzieci, poczucie bycia komuś potrzebnym. Pani Irena, od której opowieści zaczynam „Prawie Zachód", wspominała, że przed likwidacją PGR teściowa uspokajała ją i męża: „Was tak szybko nie zwolnią, umiecie wszystko". Tymczasem wykwalifikowani pracownicy poszli do zwolnienia pierwsi, a maszyny sprzedano. Ona później z innymi kobietami obsługiwała wesela, mąż chwytał się rozmaitych zajęć. Trudno tu znaleźć rzekomą niechęć do pracy! Bolesne było także to, jak tych ludzi opisywano. Ktoś tracił dorobek życia, a za chwilę dowiadywał się, że jest „roszczeniowy". Takie upokorzenie pamięta się długo.

Zmagaliśmy się również z gigantyczną inflacją...

... która sama w sobie była katastrofą społeczną. Oszczędności topniały, pensja przestawała dawać jakiekolwiek poczucie stabilności. Człowiek myślał przede wszystkim, jak uratować wartość pieniędzy. Skalę dezorientacji dobrze pokazuje historia Bezpiecznej Kasy Oszczędności Lecha Grobelnego. Obietnica 250 proc. odsetek potrafiła brzmieć wiarygodnie! Przy hiperinflacji ludzie tracili miarę tego, co jest możliwe, a co powinno zapalić wszystkie lampki ostrzegawcze. Zapłaciły za to dziesiątki tysięcy oszukanych.

Dlatego, kiedy rozmawiamy o cenie reform, pamiętajmy o cenie pozostawienia gospodarki w takim stanie. Jesienią 1989 r. naprawdę palił się dom. Stabilny pieniądz był potrzebny wszystkim, również ludziom najuboższym, którzy mieli najmniej możliwości obrony przed drożyzną.

Uwłaszczenia nomenklatury można było uniknąć?

Z pewnością można było skuteczniej ograniczać patologie. Natomiast całkowitego wyrównania szans startu nie umiem sobie wyobrazić. Komunizm się kończył, znajomości zostawały. Dawny dyrektor czy aparatczyk wiedział, do kogo zadzwonić, jak dotrzeć do kredytu, gdzie szukać informacji. To był kapitał, którego robotnik z tego samego zakładu zwykle nie miał. Jeden z moich rozmówców wspominał, że w bankach i wśród nowych właścicieli rozpoznawał ludzi dawnego aparatu. Można zrozumieć jego rozgoryczenie, mieliśmy wspólnie odzyskiwać kraj, a uprzywilejowani znów byli pierwsi w kolejce. Jednak nie przerabiajmy tej historii na opowieść, że każda firma powstała dzięki legitymacji partyjnej. Ludzie budowali przedsiębiorstwa także własnym wysiłkiem, ryzykiem i pomysłowością. Wrzucenie ich do jednego worka z beneficjentami układów byłoby kolejną niesprawiedliwością.

Do dekomunizacji zabrakło woli politycznej?

Woli także, ale trzeba też zapytać: W którym momencie i jak rozumianej dekomunizacji? Rok 1989 zaczynał się od politycznego pata. Stara władza miała aparat przymusu, opozycja społeczne poparcie, a gospodarka grzęzła. Wynegocjowano pokojową zmianę. Łatwo dziś powiedzieć, że należało zażądać wszystkiego. Uczestnicy wydarzeń nie znali zakończenia tej historii, nie wiedzieli tego, co my. Uniknięcie rozlewu krwi było wielkim osiągnięciem.

Z drugiej strony kompromis pozwalał ludziom odpowiedzialnym za PRL występować w rolach zatroskanych współgospodarzy kraju. Z konieczności negocjowania

eprasa.pl 4ba9d97331



MICHAŁ PRZEPERSKI „PRAWIE ZACHÓD" WYD. PORT

w 1989 r. zupełnie nie wynika natomiast, że rozliczenia należało odkładać bez końca. Ostrożność wobec realnego zagrożenia i pobłażliwość wobec odpowiedzialnych za krzywdy to dwie różne sprawy.

Lustracji zaniechano z podobnego powodu?

Mówiłbym raczej o opóźnieniach, unikach i zamianie problemu w narzędzie politycznej wojny. Sprawy nie można zamknąć stwierdzeniem, że lustracji po prostu nie było. W swojej poprzedniej książce „Dziki Wschód" opisuję scenę, która wiele mówi o atmosferze: dziennikarz zaprasza kolegów, stawia wódkę i przyznaje się do współpracy z SB. Zapewnia, że nikomu nie zaszkodził, prosi o wybaczenie. Wszyscy piją, chyba nie bardzo wiedząc, co zrobić. Skąd mieli wiedzieć, czy rzeczywiście nie zaszkodził? Takiej wiedzy nie zastąpi ani toast, ani koleżeńska lojalność. Unikanie wyjaśnienia przeszłości pozostawiało przestrzeń dla plotek i szantażu. Zarazem odrzucam automatyzm: przeciwnik lustracji, więc zapewne agent. „Prawie Zachód" wyraźnie przed tym przestrzega. Rzetelne ustalenie odpowiedzialności wymaga więcej pracy niż przyklejenie komuś etykietki.

Starania o akces Polski do NATO i UE budziły nad Wisłą wątpliwości?

Oczywiście, choć z czasem zachodni kierunek stał się jednym z nielicznych punktów zgody głównych sił politycznych. Rządy się zmieniały, a ten kurs pozostawał. To poważna zasługa elit długich lat 90. NATO oznaczało przede wszystkim bezpieczeństwo, przy Unii mocniej odzywały się obawy o gospodarkę, wykup ziemi przez Niemców, przewagę gospodarczą Zachodu. Po doświadczeniu gwałtownych zmian ludzie mieli prawo pytać, kto skorzysta na następnej. Bardzo zapadły mi w pamięć słowa robotnika Marka, bohatera mej książki. Wyliczał kolejnych przywódców, NATO, Unię, po czym mówił: „Ja to wszystko wiem, pamiętam. Ale ja tego nie czuję". Sukces państwa nie zamieniał się w poprawę jego codzienności. Można było popierać zachodni kurs i jednocześnie oczekiwać, że wreszcie przyniesie coś odczuwalnego także we własnym domu.

Rozważano kilka opcji wyjścia z ekonomicznej zapaści, spuścizny PRL. Wybrano plan Balcerowicza. Z mojej perspektywy, niestety.

Tyle że na stole nie leżało kilka równie dopracowanych programów, z których wybrano akurat najbardziej bolesny. Jesienią 1989 r. nie było na stole gotowego, realnego programu alternatywnego. To jednak nie oznacza, że każde zastosowane narzędzie było jedynym możliwym. Inny mój rozmówca, Henryk Sterniczuk, opowiada o sporach wokół prywatyzacji. Poważnie dyskutowano choćby własność pracowniczą, lecz jego środowisko ją odsuwało, bo chciało „normalnego" kapitalizmu. Samo tempo zmian także dzieliło reformatorów. Były więc decyzje, interesy i wyobrażenia o pożądanym świecie, a nie wyłącznie nieubłagane prawa ekonomii. Doceniam konieczność stabilizacji. Mam natomiast zasadniczy problem z zamienianiem braku innego gotowego programu w zakaz krytyki. Można było poważniej traktować ludzi ponoszących koszty, lepiej chronić tracących pracę, uważniej rozpatrywać los konkretnych zakładów. I jeszcze jedno: całego późniejszego rozwoju Polski nie wypracował jeden minister. Złożyła się na niego praca milionów ludzi.

Nasze przekształcenia polityczno-gospodarcze rzutowały także na rozwój przestępczości?

Między rokiem 1989–1990 liczba stwierdzonych przestępstw wzrosła o ponad 60 proc. Nowe możliwości zarabiania otworzyły się także przed oszustami, a instytucje często nie potrafiły ochronić obywatela. Policji brakowało pieniędzy nawet na podstawowe wyposażenie. I nie chodzi wyłącznie o gangsterów z pierwszych stron gazet. Przedsiębiorca bał się, czy kontrahent zapłaci, rodzina, czy rano zastanie samochód pod blokiem. Grodzono parkingi, wynajmowano stróżów: bezpieczeństwo trzeba było organizować na własną rękę. Do przemocy i biedy dochodziło poczucie, że w razie kłopotów zostaniesz sam. Stąd późniejszy popyt na politycznych szeryfów, którzy obiecywali zaprowadzić porządek. Taką rolę w 2000 r. odegrał minister sprawiedliwości Lech Kaczyński.

To wówczas zaczęto schlebiać gustom Polaków, zamiast je kształtować. Vide: disco polo, telenowele…

A kto miał rozstrzygać, jaka przyjemność jest dla Polaków odpowiednia? Inteligencja przywykła, że to ona ustala hierarchie. Rynek brutalnie zweryfikował jej pozycję. Polsat nie wymyślił popularności disco polo, tylko dostrzegł publiczność, której gust wcześniej lekceważono. Owszem, pogoń za oglądalnością miała swoją cenę, a kultura nie może utrzymać się wyłącznie z tego, co od razu dobrze się sprzedaje. Ale mam opór przed opowieścią o narodzie, który po odzyskaniu wolności nagle zgłupiał. Ludzie chcieli także odpocząć od codziennego napięcia. „Psy" Pasikowskiego potrafiły wyrazić ich frustrację celniej niż niejeden film uznawany za ambitny. A wie pan, kto świetnie bawił się na „Kilerze"? Andrzej Wajda! Zanotował, że film „zabija śmiechem".

Wtedy też zaczęto się gremialnie uczyć języka Szekspira, a anglicyzmy wkroczyły do polszczyzny.

Z tym Szekspirem to bym uważał! Moja rozmówczyni, Agata, wspominała lekcje angielskiego na przełomie wieków: bez końca ćwiczyli rozmowy o pracę. Język miał przede wszystkim uchronić ich przed bezrobociem. Dla innych był przepustką do błyskawicznej kariery: zagraniczne firmy szukały studentów ekonomii, którzy potrafili mówić po angielsku. Skala braków była ogromna – jesienią 1989 r. w Ministerstwie Finansów trudno było nawet o sekretarkę znającą ten język! Równocześnie angielszczyzna dodawała prestiżu. Pewien człowiek z segmentu bankowości opowiadał mi, że kolorowo wydrukowany biznesplan z angielskimi terminami potrafił niemal kończyć dyskusję o kredycie. Brzmiało zachodnio, więc budziło zaufanie. Szybko uczyliśmy się nowych słów, a wolniej sprawdzania, co się za nimi kryje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Michał Przeperski – pracownik Instytutu Historii PAN oraz Muzeum Historii Polski. Autor książek: „Gorące lata trzydzieste. Wydarzenia, które wstrząsnęły Rzeczpospolitą", „Nieznośny ciężar braterstwa. Konflikty polsko-czeskie w XX wieku", „Mieczysław F. Rakowski. Biografia polityczna", „Dziki Wschód. Transformacja po polsku 1986–1993" oraz najnowszej: „Prawie Zachód. Historie polskiej transformacji".

eprasa.pl 4ba9d97331



Michał Krupa

Szeroka koalicja, która przed dwoma laty zagwarantowała Donaldowi Trumpowi powrót do Białego Domu, tym razem oddała głosy na demokratów



W Teksasie mandat senatorski zdobył demokrata James Talarico, wyraźnie pokonując republikanina Kena Paxtona

FOT. BRANDON BELL/GETTY IMAGES

Spektakularna

A tak na Iran jest tak dramatycznie sprzeczny z oczekiwaniami jego wyborców, tak diametralnie przeciwny ich rozumieniu interesu narodowego, że prawdopodobnie oznacza koniec trumpizmu jako projektu".

Christopher Caldwell napisał te słowa w marcu 2026 r. na łamach „The Spectator". Osiem miesięcy później amerykańskie wybory uzupełniające potwierdziły je w najbardziej konkretny sposób. Demokraci przejęli kontrolę zarówno nad Izbą Reprezentantów, jak i Senatem, odbierając republikanom siedem miejsc w Senacie i ponad 20 okręgów w Izbie, a także wygrywając gubernatorstwa w Georgii, Ohio, Iowie, Nevadzie i Teksasie. Republikanie nie odebrali ani jednego demokratycznego mandatu. Najbardziej znamiennym aspektem tych wyborów, przewidywalnym zresztą dla wielu trzeźwo patrzących na trendy badaczy opinii publicznej, był fakt, że szeroka koalicja, która przywróciła Donalda Trumpa do Białego Domu w 2024 r., nie została po prostu w domu. Stawiła się przy urnach, głosując na demokratów.

UTRATA TEKSASU

Najbardziej historycznie wstrząsający wynik padł w Teksasie. James Talarico pokonał Kena Paxtona w wyścigu o fotel senatorski, który republikanie utrzymywali przez niemal cztery dekady. Demokraci zdobyli też gubernatorstwo. Teksas od lat był symbolicznym sercem współczesnej polityki republikańskiej. Jego utrata nie była jakimś marginalnym przesunięciem elektoralnym, lecz strukturalnym odrzuceniem wszystkiego, co obecnie reprezentuje układ republikański pod wodzą Donalda Trumpa. To tak jakby Koalicja Obywatelska wygrała na Podkarpaciu. Latynosi, biali wyborcy bez wykształcenia wyższego oraz wyborcy wiejscy, którzy w 2024 r. przesunęli się mocno w stronę Trumpa, postawili na demokratów. Sondaże exit poll i badania zweryfikowanych wyborców pokazały, że szersza grupa wyborców niebiałych bez wykształcenia wyższego preferowała demokratów w stosunku mniej więcej 70 do 29, niwelując niemal wszystkie zyski, jakie Trump odnotował w tej grupie dwa lata wcześniej. Ten sam wzorzec pojawił się w innych kluczowych dla republikanów stanach.

PRZEMIANA PASTORA

W Kansas Adam Hamilton pokonał urzędującego senatora Rogera Marshalla, stając się pierwszym demokratą wybranym do Senatu z tego stanu od 1932 r. Trump wygrał w Kansas w 2024 r. przewagą 16 p.p. Hamilton, pastor prowadzący największy w kraju zbór Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego, który do początku tego roku był zarejestrowanym republikaninem, startował jako niezależnie myślący demokrata skupiony na inflacji i krytyczny wobec polityki wojennej obecnej administracji. Hamilton wygrał z wynikiem ok. 51 proc. Zdobył gęsto zaludnione hrabstwa wokół Kansas City i Wichita dużą przewagą, jednocześnie zdobywając przyczółki na bardziej wiejskich terenach. Trump i wiceprezydent J.D. Vance wielokrotnie odwiedzali stan w końcówce kampanii, a centrala Partii Republikańskiej przekierowała miliony dolarów na obronę tego mandatu. Nic z tego. Zwycięstwo Hamiltona zakończyło 94-letnią passę konserwatywnych zwycięstw w tym stanie i pomogło utrwalić demokratyczną większość w Senacie.

Karolina Południowa przyniosła równie zaskakujący zwrot. Demokratka Annie Andrews, pediatra, pokonała Darline Graham, siostrę zmarłego senatora Lindseya Grahama, najbardziej znanego jastrzębia w amerykańskiej polityce ostatnich dekad. Graham została mianowana na miejsce brata po jego śmierci w lipcu, a następnie wygrała specjalne prawybory przy silnym poparciu Trumpa. Trump wygrał w tym stanie w 2024 r. przewagą 18 p.p., a demokraci nie zdobyli mandatu do Senatu od 1998 r. Andrews prowadziła kampanię opartą na ochronie zdrowia, przystępności

eprasa.pl 4ba9d97331



klęska republikanów

cen i sprzeciwie wobec wojny z Iranem. Graham zaś zaliczyła wpadkę po wpadce, przyznając nawet w pewnym momencie, że bezpieczeństwo narodowe „to nie jest moja działka". Republikanie wpompowali w wyścig ogromne sumy pieniędzy, a Trump organizował dla nieporadnej Graham specjalne wiece poparcia. Andrews i tak wygrała. W przemówieniu zwycięskim powiedziała, że Karolina Południowa wysłała sygnał, że ten fotel senatorski nie należy do jednej rodziny, jednej partii ani do Waszyngtonu.

TRIUMF PARAOLIMPIJCZYKA

Iowa dopełniła ten wzorzec na Środkowym Zachodzie. Demokrata Josh Turek, stanowy reprezentant i były paraolimpijczyk, pokonał republikańską reprezentantkę Ashley Hinson w wyścigu o wolny fotel senatorski. Rolnicza Iowa nie wybrała demokraty do Senatu od 2008 r. Trump wygrał w Iowa w 2024 r. ogromną dwucyfrową przewagą. Turek, który urodził się z rozszczepem kręgosłupa i brał udział w czterech igrzyskach paraolimpijskich, skoncentrował kampanię na skutkach wojny dla rolnictwa w Iowa, wysokich cenach benzyny i szkodliwych skutkach polityki celnej Białego Domu. Demokraci zdobyli też gubernatorstwo. Dziesięć hrabstw, które w 2024 r. głosowały na Trumpa, głosowało na Turka. Wynik nie był wyjątkiem, a raczej regionalnym wyrazem tego samego narodowego buntuprzeciwko chaotycznej polityce Trumpa.

Jeszcze mocniejszy sygnał dali wyborcy z Michigan. Demokrata Abdul El-Sayed pokonał byłego kongresmena Mike'a Rogersa (z siedmioma kadencjami za sobą), stając się pierwszym muzułmaninem wybranym do Senatu Stanów Zjednoczonych i utrzymując mandat, który republikanie liczyli odzyskać w stanie, który Trump również wygrał w 2024 r. El-Sayed, były urzędnik do spraw zdrowia publicznego, startował z programem Medicare for All, opodatkowania najbogatszych oraz przekierowania amerykańskich zasobów z konfliktów zagranicznych i pomocy zagranicznej na potrzeby wewnętrzne. American Israel Public Affairs Committee (AIPAC), główne ramię lobby izraelskiego, wydało niemal 30 mln dol. na walkę z nim w demokratycznych prawyborach, notabene największą inwestycję tej organizacji w pojedynczy wyścig, i kontynuowało działania w wyborach powszechnych poprzez grupy afiliowane. W przemówieniu zwycięskim El-Sayed z uśmiechem na twarzy podziękował AIPAC za okazję do pokonania ich dwukrotnie i stwierdził, że amerykańskie podatki nie powinny finansować tego, co określił jako apartheid i ludobójczą wojnę w Gazie. Jego zwycięstwo, osiągnięte pomimo ataków oskarżających go o prodżihadystyczne sympatie i późnego poparcia Rogersa przez przeciwniczkę z prawyborów, pokazało, że otwarta krytyka amerykańskiego wsparcia dla Izraela i wojny z Iranem nie stanowiła w żadnej mierze bariery do wygranej nawet w tzw. swing state. Była wręcz jej nieodzownym elementem.

Te wyniki dobitnie ukazują kompletną dekompozycję koalicji z 2024 r. Trump rozszerzył udział republikanów wśród wyborców niebiałych bez wykształcenia

eprasa.pl 4ba9d97331

wyższego oraz wśród wyborców wiejskich i białych bez wykształcenia wyższego w sposób, który przez chwilę zdawał się wskazywać na trwałe przetasowanie w trendach elektoralnych. W 2026 r. te grupy wróciły do demokratów z przewagami na tyle dużymi, by zniwelować większość wcześniejszych zysków. Szacunki narodowego głosowania do Izby Reprezentantów pokazały przesunięcie o co najmniej 15 proc. w stronę demokratów w porównaniu z wynikami prezydenckimi z 2024 r. Latynosi, biali wyborcy bez wykształcenia wyższego i wyborcy wiejscy – trzy grupy wyborcze, z którymi Trump radził sobie dobrze dwa lata wcześniej – przesunęły się w tym samym kierunku. Elektorat, który traktował Trumpa jako symbol zerwania z polityką establishmentu waszyngtońskiego, uznał pierwszą połowę drugiej kadencji prezydenta za powrót najgorszych wzorców tegoż „bagna".

PLON WOJNY Z IRANEM

Szczególnie widać to w odniesieniu do wojny w Iranie. Badanie Associated Press przeprowadzone w dniu wyborów wśród ponad 100 tys. wyborców wykazało, że ok. sześciu na dziesięciu uznało decyzję Stanów Zjednoczonych o użyciu siły militarnej przeciwko Iranowi za „złą decyzję". Około jedna trzecia stwierdziła, że wojna była kluczowym czynnikiem w ich głosowaniu do Kongresu. Oddzielny exit poll NBC wskazał, że ok. trzech czwartych wyborców opisało wojnę z Iranem jako kluczowy lub ważny czynnik w swoim wyborze; wśród tych wyborców ok. 62 proc. poparło kandydata demokratów. Gallup wcześniej ustalił, że 77 proc. zarejestrowanych wyborców uznało sytuację w Iranie za niezwykle lub bardzo ważną dla swojego wyboru. Sondaż Reuters/Ipsos wykazał, że tylko 25 proc. uznało wojnę za wartą kosztów, podczas gdy 55 proc. miało odmienne zdanie. Te liczby pokrywały się z danymi wewnętrznymi, na które powołał się wiceprezydent J.D. Vance w zaskakująco szczerym wpisie na portalu X dzień po wyborach.

Według Vance'a dane wewnętrzne pokazały, że wyborcy skłaniający się ku republikanom pojawili się przy urnach na poziomach zbliżonych do 2024 r., z tą różnicą, że wielu, zbyt wielu, którzy poparli w 2024 r. Trumpa i Vance'a, przeszło do demokratów. Vance relacjonował dalej, że ankieter, który poprawnie przewidział dwucyfrową stratę w sondażu ogólnym, zapytał odchodzących wyborców Trumpa, co skłoniłoby ich do powrotu. Najczęstsze odpowiedzi brzmiały: zakończyć wojnę z Iranem, skupić się na kosztach życia i inflacji, postawić Amerykę na pierwszym miejscu oraz zmienić charakter relacji między Stanami Zjednoczonymi a Izraelem. Vance przyznał, że prawdziwym powodem straty była wojna, dodając, że sam Trump powiedział to samo. Wyzwał każdego, kto uważa, że utrata Senatu na sześć lat jest akceptowalną ceną, by powiedział to otwarcie, zamiast zaprzeczać oczywistej przyczynie wyborczej anihilacji republikanów.

Już teraz można jednoznacznie powiedzieć, że MAGA jako projekt jest martwa

Co ciekawe, Trump później nazwał diagnozę Vance'a „w dużej mierze prawdziwą", jednocześnie upierając się w charakterystyczny dla siebie sposób, że podjąłby tę samą decyzję ponownie, by zapobiec posiadaniu przez Iran bomby nuklearnej.

NIESPEŁNIONE OBIETNICE

Nawet ogrom pieniędzy republikańskich donatorów nie mógł przykryć skali porażki. Elon Musk wydał ponad 400 mln dol. za pośrednictwem komitetu poparcia America PAC i innych wehikułów wsparcia powiązanych z republikanami. Wysiłek był silnie skoncentrowany na Teksasie i innych polach walki o Senat i ostatecznie okazał się całkowicie bezskuteczny. Demokraci wygrali wyścigi, w których grupy powiązane z najbogatszym człowiekiem na świecie wydały najwięcej. Z kandydatów do Senatu, których poparł Musk, niemal wszyscy przegrali. Skala wydatków ustanowiła rekord dla pojedynczego darczyńcy w cyklu nieprezydenckim i nadal nie zdołała zrównoważyć szkód wyborczych wynikających z katastrofalnej wojny z Iranem i jej skutków gospodarczych.

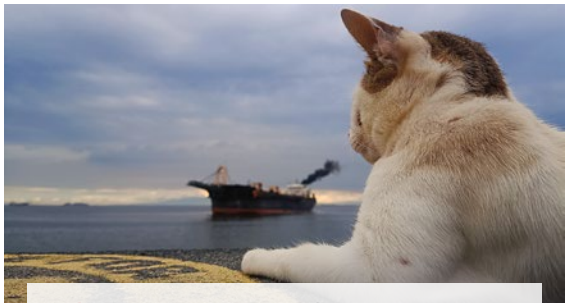
Rezultat pozostawia Trumpa jako prezydenta skazanego na współpracę z nieprzychylnym Kongresem, czekającym tylko na rozpoczęcie procedur impeachmentu, z ponad dwoma latami do końca kadencji. Warto zauważyć, że okres do zaprzysiężenia nowego Kongresu w styczniu 2027 r. niesie szczególne ryzyko. Beniamin Netanjahu naciskał i zapewne będzie naciskał na wznowienie uderzeń na Iran. Siły amerykańskie przeprowadziły już ograniczone działania „obronne", w tym uderzenia na wyspę Keszm w cieśninie Ormuz tuż przed wyborami. Prezydent stojący w obliczu wrogiego Kongresu i załamanej koalicji wewnętrznej zachowuje nadal istotną władzę nad działaniami militarnymi. Jeśli dorzucić do tej układanki ewidentną niestabilność mentalną Donalda Trumpa, sytuacja robi się szczególnie niebezpieczna. Każda decyzja o eskalacji jeszcze bardziej zraziłaby wyborców zidentyfikowanych jako straconych przez Vance'a. W pewnym momencie podczas trwania kadencji Trump 2.0 zamiast reprezentować wyborców, prezydent zaczął reprezentować darczyńców i lobby od izraelskiego po „bogów" AI, wzbogacając przy tym siebie i swoją rodzinę. Wybory uzupełniające pokazały polityczną cenę tej zmiany i Trump może mieć żal tylko do siebie.

Nie ulega również wątpliwości, że już teraz można jednoznacznie powiedzieć, że MAGA jako projekt jest martwa. Koalicja z 2024 r. została zbudowana na obietnicach powściągliwości za granicą, walki z inflacją i mozolnej odbudowie wielkości gospodarczej Ameryki. Wojna z Iranem zniwelowała to wszystko. Sondaże exit poll i geograficzny wzorzec wyników pokazują, że wyborcy, którzy rozszerzyli mapę republikańską w 2024 r., traktują drugą kadencję Trumpa jako złamanie warunków, na jakich do niej dołączyli. Jak napisał wyautowany przez Trumpa z Izby kongresmen Thomas Massie na X: „Dzisiejszy wynik nie oznacza wiary w demokratów czy socjalistyczne zasady; chodzi o rozliczenie republikanów za zdradę swoich obietnic. Jedyne, co republikanie musieli zrobić, to: 1. stawiać Amerykanów na pierwszym miejscu, 2. nie rozpoczynać kolejnej wojny, 3. ścigać pedofilów". Tyle i aż tyle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331

ŚWIAT BEZ KLAMEK



FOT. ADOBE STOCK

KOT MARYNARSKI

Wabi się Posejdon. Liczy osiem lat i właśnie odbył pionierską wyprawę oceaniczną. Jest buro-białym kotem hołubionym przez obsługę portu w Pireusie. Dokerzy przygarnęli go, kiedy miał kilka tygodni. Początkowo mieszkał w hangarze, z czasem zaczął prowadzić żywot wagabundy. Zrazu wyprawiał się z rybakami na połowy. Tym sposobem zwiedził Morze Egejskie. Potem przyszła pora na dalsze rejsy, po morzach Marmara, Czarnym, Adriatyku i Liguryjskim. Wychodził na ląd w Stambule, Splicie, Rijece, Larnace, Limassol, Neapolu, Genui, Cagliari, Bastii, Marsylii, Tulonie, Walencji, na Malcie, zawsze wracając na – a właściwie pod – pokład kolejnych jednostek handlowych, którymi podróżował. W końcu przyszła pora na ekspedycję atlantycką. Trasa wycieczkowca, gdzie znalazł przytulisko, wiodła z Pireusu przez Tanger, Kadyks, Las Palmas, Porto, Bordeaux, Brest do Dublina. I z powrotem.

NOCLEG W METRZE

Już po raz 24. (dwudziesty czwarty!) znalazł go w tym roku Zdenek Antoninsky. 36-letni mieszkaniec Pragi dysponuje własnym mieszkaniem, ale – jak tłumaczy – nie lubi w nim nocować, ponieważ nawiedzają go tam koszmary. Dlatego po zmroku opuszcza lokum wraz ze śpiworem celem poszukiwań kolejnych miejsc odpoczynku. Znajdował je w magazynach biurowców i galerii handlowych, latem w parkach i na trybunach stadionów. Szczególnie upodobał sobie jednak kolej podziemną. Spał już zarówno w wagonach, jak i na stacjach. Po ostatnim zatrzymaniu przez straż miejską został skierowany na badania psychiatryczne.

KUCHNIA TENISOWA

Wprawdzie turniej tenisowy Australian Open rozpocznie się dopiero w styczniu przyszłego roku, lecz organizatorzy już tę prestiżową imprezę reklamują. Posłużył im do tego... durszlak. Przypomina rakietę tenisową. Gadżet będą mogli nabyć kibice obserwujący z trybun mecze zawodów wielkoszlemowych odbywających się na kortach w Melbourne. Czy do zakupu zostanie dołączone – w pakiecie – spaghetti?

SAMOCHÓD EKOLOGICZNY

Korzysta z niego od kilku miesięcy Portugalczyk, Paulo Rui Chalana. Ten mieszkaniec Lizbony dojeżdża do pracy własnoręcznie skonstruowanym wehikułem. Jego motor stanowi siła mięśni nóg. Auto napędza się pedałowaniem. Szofer porusza się pojazdem po ścieżce przeznaczonej dla rowerzystów, a parkuje w garażu swojej korporacji.

76 TABLICZEK CZEKOLADY

Tyle sztuk słodkiego smakołyku mieściła paczka, która wypadła z samochodu transportującego asortyment spożywczy do marketu pewnej sieci handlowej w Holandii. Prowadzący ją po zmroku kierowca tego nie spostrzegł. Z lekka uszkodzona wylądowała w przydrożnym rowie. Rankiem pakunek odnaleźli uczniowie zmierzający do pobliskiej szkoły. Czekolada uzupełniła jadłospis kilku klas placówki. ©℗ ***(TO-RT)***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Twój szpieg w samochodzie

Nowoczesne samochody szpiegują nas na każdym kroku. Im nowsze auto, tym więcej urządzeń, które nieustannie zbierają informacje. Część za pomocą internetowego łącza trafia do producentów. Inne na serwery w mniej lub bardziej przyjaznych Polsce państwach.

Zgodnie z decyzją Sztabu Generalnego na teren jednostek i na parkingi przed nimi nie mogą wjeżdżać samochody wyprodukowane np. w Chinach, Rosji czy Korei Północnej (ograniczenia dotyczyły też cywilów, którzy 1 listopada wybrali się np. na parking wojskowy Cmentarza Osobowickiego we Wrocławiu). Jednocześnie smartfonów z mikrofonami i świetną optyką nikt żołnierzom nosić nie zakazuje, a domy oficerów mogą sprzątać szpiegujące odkurzacze...

Zostawmy jednak politykę i wróćmy do technologii. Ogromnie wiele danych o stanie pojazdu czy sposobie jego eksploatacji jest zapisywanych w pamięci sterowników. Mogą one znacząco ułatwić życie właścicielom aut i obniżyć koszty wizyt u mechanika.

Na rynku wiele jest urządzeń OBD2, które mogą rozszyfrować wyskakujące błędy, wykryć ryzyko poważnej usterki, a nawet ujawnić próby oszustwa. Na przykład połączenie skanera OBD z aplikacją mobilną pozwala wykryć, że używane auto, które ktoś właśnie próbuje nam sprzedać, ma tak naprawdę znacząco większy przebieg. Dane firmy Carly, wiodącego producenta tego typu urządzeń w Europie, pokazują, że aż 12 proc. aut w Polsce ma zmanipulowany przebieg. W samochodach z Niemiec problem ten dotyczy 10 proc. Tego typu skanerami można też sprawdzić kondycję akumulatora (zanim nie odpali na mrozie) i wychwycić usterki zwiększające zużycie paliwa... ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331



Maciej Pieczyński

Skrzydlate Lwy versus Orlęta Lwowskie



Nowy serial będzie opowiadał o walkach polsko-ukraińskich o Lwów

FOT. MAREK TUCHOLSKI/FACEBOOK

Ukraińcy kręcą serial o wojnie z Polską. Informacja tak szokująca, jak wieść o tym, że po jesieni przychodzi zima. A jednak warto przyjrzeć się kolejnej antypolskiej inicjatywie naszych „przyjaciół"

Lwów to nie tylko Piemont ukraińskiego nacjonalizmu. To także nieformalna stolica ukraińskiego antypolonizmu. Z jednej strony, miasto od zawsze pełne jest polskich turystów i na nich otwarte. Z drugiej strony, turystom tym oferuje popkulturowy banderyzm, przejawiający się w nazwach ulic, pomnikach, asortymencie pamiątek, wystroju popularnych restauracji. Lwów dumny jest z Bandery i Szuchewycza. A ostatnio wraca do tradycji nieco starszych, ale również (choć nie równie) antypolskich.

WALKI O LWÓW

Na początku października na ulicach Lwowa można było przenieść się w czasie ponad 100 lat wstecz. W mieście kręcono bowiem sceny do serialu historycznego „Skrzydlate Lwy". Jego fabuła opowiada o polsko-ukraińskich walkach o Lwów. Przypomnijmy: 1 listopada 1918 r. wybuchła wojna odradzającego się państwa polskiego z Zachodnioukraińską Republiką Ludową. W naszej historii zapisało się bohaterstwo Orląt Lwowskich. I wydawało się, że akurat tamten okres nie będzie dzielił Polski i Ukrainy. A to z kilku powodów. Po pierwsze, tamta wojna, jakkolwiek krwawa, pod względem okrucieństwa nie może się równać z ludobójstwem wołyńskim. Po drugie, Polska Lwów obroniła, a następnie zawarła antysowiecki sojusz z Ukraińską Republiką Ludową, w którego ramach Petlura zrzekł się Lwowa. Po trzecie, świadectwem kompromisu w tej sprawie była budowa Cmentarza Orląt Lwowskich, otwartego przez prezydentów Kwaśniewskiego i Juszczenkę. W obronie lwów, zasłoniętych przez lokalne władze, swego czasu wystąpił ruch azowski. Tym samym radykalni nacjonaliści stanęli po stronie Polski w sporze, który akurat ukraińską dumę narodową mało kosztuje. W każdym razie mniej niż rezygnacja z kultu OUN-UPA.

Sceny do serialu kręcono między 5 a 15 października. Na Pl. Aniołów przed kościołem garnizonowym pojawiły się dekoracje sprzed ponad 100 lat, statyści w mundurach historycznych, konie, wozy i sprzęt filmowy. Zdjęcia realizowano także na Rynku oraz na ulicach Kopernika i Czynu Listopadowego. Ta ostatnia nazwa nie jest przypadkowa. Mianem Czynu Listopadowego Ukraińcy określają zbrojne przejęcie władzy we Lwowie przez siły Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej 1 listopada 1918 r. Właśnie o tych wydarzeniach, choć nie tylko, opowiadać będą „Skrzydlate lwy". Zdjęcia zaplanowano nie tylko we Lwowie, lecz także w Kijowie i Wiedniu.

COŚ WIĘCEJ NIŻ ROZRYWKA

Akcja sześcioodcinkowego serialu obejmować będzie lata 1914–1921. Czyli okres pierwszej wojny światowej, rozpadu Austro-Węgier i walk o niepodległość Ukrainy. Serial reżyseruje Taras Droń. Producentem jest natomiast Wołody-

eprasa.pl 4ba9d97331

myr Borodiański, były minister kultury. Twórcy nie ukrywają, że serial ma być czymś więcej niż rozrywką, osadzoną w realiach historycznych. „To bardzo ważne, ponieważ tego, co narodziło się wówczas, bronimy dzisiaj" – tłumaczyła w jednym z wywiadów dyrektorka produkcji Julia Wasyljewa. Pośrednio zatem porównała ówczesną Polskę z dzisiejszą Rosją. Tak jak dziś Ukraina walczyła o niepodległość z państwem Putina, tak samo wtedy walczyła o niepodległość z państwem Piłsudskiego. W warunkach wojny z Rosją ukraińscy artyści, żeby pokrzepić serca rodaków, kręcą serial o wojnie z Polską. Co więcej, jak podkreśla Wasyljewa, „Skrzydlate Lwy" powstają z myślą nie tylko o rodzimej, lecz także międzynarodowej publiczności. Ukraińcy nie tylko zatem będą zagrzewać się do walki z agresorem ze Wschodu oglądaniem serialu o złych Polakach. Będą również opowiadać światu o tym, że ich wojna z Putinem jest kontynuacją dawnej wojny z Polską.

„PRAWDZIWA HISTORIA"

Nie znamy jeszcze całej fabuły serialu ani dokładnej wymowy ideowej poszczególnych odcinków. Nie została jeszcze ogłoszona data premiery. Nie został wyemitowany trailer produkcji. Za wcześnie zatem na jednoznaczną i wyczerpującą recenzję. Nie sposób ocenić serialu, nie znając nawet szczegółów scenariusza. Jednak na podstawie publicznych wypowiedzi twórców produkcji wiadomo mniej więcej, czego się spodziewać.

Ołeksij Taraban z lwowskiego zarządu kultury przekonywał, że serial pokaże „prawdziwą historię", stanowiącą ideową przeciwwagę dla narracji wykreowanej i rozpowszechnionej przez „sowiecką propagandę". Przy okazji zachwalał możliwość pokazania widzom (na Ukrainie i za granicą) zabytkowej architektury Lwowa. O co chodziło lwowskiemu urzędnikowi? Co ma wspólnego sowiecka propaganda z obrazem wojny polsko-ukraińskiej? Tego Taraban publicznie nie wyjaśnił. Można jednak podejrzewać, że był to nieco ahistoryczny skrót myślowy. A mianowicie: propaganda Moskwy (kiedyś czerwonej, dziś putinowskiej) od dziesięcioleci miesza z błotem wszelkie przejawy ukraińskiego mitu narodowego – od Petlury po Banderę, wszystkich przedstawiając jako zbrodniarzy lub zdrajców Rosji. A skoro tak, to wszelkiego rodzaju kult bohaterów Ukrainy jest odkłamywaniem sowieckiej propagandy antyukraińskiej. Na tej samej zasadzie, gdy Polska krytykuje jakikolwiek aspekt polityki historycznej Kijowa, niezmiennie jest krytykowana właśnie za rzekome rozpowszechnianie moskiewskiej propagandy.

KINO ZAMIAST DRONÓW

„Skrzydlate Lwy" nie są przedsięwzięciem wyłącznie prywatnym. Otrzymały wsparcie finansowe w ramach państwowego programu „Tysiąc wiosen", realizowanego jako inicjatywa prezydenta Wołodymyra Zełenskiego na rzecz tworzenia kultury ukraińskiej. Można zatem założyć, że serial o wojnie z Polską będzie narzędziem oficjalnej propagandy Kijowa.

Wykonawcą jest spółka o wymownej nazwie Perspektywiczne Zyskowne Projekty, kierowana przez Borodiańskiego. Według dokumentacji zamówienia publicznego wartość produkcji wynosi ponad 47,5 mln hrywien, czyli ok. ponad 4 mln zł. Połowę tej kwoty, niemal 23,8 mln hrywien, pokrywa budżet państwa. Reszta pochodzi ze współfinansowania. Wśród partnerów wymieniane są platforma Kyivstar TV oraz Fundacja Kozyckiego. Zgodnie z zamówieniem produkcja powinna zostać ukończona do 10 maja 2027 r.

Kwota wzbudziła kontrowersje również na Ukrainie. Agencja Ukraińskie Nowiny opublikowała artykuł pod znamiennym tytułem: „Kino zamiast tysiąca dronów przechwytujących Shahedy". Dziennikarze wyliczyli, że koszt całego serialu odpowiada wartości ponad tysiąca dronów P1-SUN, wykorzystywanych do zwalczania rosyjskich bezzałogowców. Kraj walczący o przetrwanie wydaje miliony na produkcję filmową o wojnie sprzed ponad 100 lat. Wojnie, w której przeciwnikiem byli Polacy, dzisiaj należący do najważniejszych sojuszników Ukrainy.

Nie oznacza to, rzecz jasna, że Zełenski osobiście zamówił serial wymierzony w Polaków. Program finansowania kultury jest szerszy, a wyboru projektu dokonano w procedurze konkursowej. Nie można jednak uciec od faktu, że państwo ukraińskie wspiera finansowo opowieść o konflikcie z Polską. To zresztą nie musi jeszcze być niczym złym. Wszystko zależy od sposobu przedstawienia wydarzeń. Rzecz w tym, że przedstawiciele ukraińskich władz nie ukrywają, iż historyczne kino ma służyć również współczesnemu wychowaniu patriotycznemu.

Maksym Kozycki, szef lwowskiej administracji obwodowej, odwiedził plan zdjęciowy i mówił o konieczności częstszego tworzenia ukraińskich filmów, seriali i przedstawień teatralnych. „Żeby nasze historie opowiadali nasi ludzie" – podkreślał. Trudno odmówić mu prawa do takiego postulatu. Trudno też nie dostrzec, że w odniesieniu do Lwowa, miasta o niezwykle złożonej historii i wielonarodowym dziedzictwie, słowo „nasze" nabiera szczególnego znaczenia.

LISTOPADOWY CZYN

W ukraińskiej pamięci historycznej 1 listopada to przede wszystkim rocznica Listopadowego Czynu, czyli wystąpienia zbrojnego pod dowództwem Dmytra Witowskiego. Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej przypomina, że nad ranem ukraińscy żołnierze zajęli we Lwowie ratusz, namiestnictwo, pocztę, dworzec, bank i lotnisko. Nad najważniejszymi budynkami wywieszono niebiesko-żółte flagi. Wieczorem tego samego dnia polskie organizacje wojskowe rozpoczęły zbrojny opór. Co istotne, ukraińska instytucja sama określa wydarzenia jako „powstanie", którego celem było ustanowienie ukraińskiej władzy na ziemiach zachodnioukraińskich. Nie ma więc wątpliwości, kto pierwszy podjął zorganizowaną akcję militarną w mieście.

Tym bardziej interesująca jest wypowiedź jednego z uczestników marszu, który przeszedł ulicami Lwowa 1 listopada 2026 r. w 108. rocznicę wybuchu walk. Witalij Fedorinin, weteran 3. Samodzielnej Brygady Szturmowej i przedstawiciel lwowskiego Korpusu Weteranów, stwierdził, że „Listopadowy Czyn był pokojowym przekazaniem władzy przez Cesarstwo Austriackie Ukraińcom". Następnie dodał: „Wieczorem 1 listopada Polacy wzniecili przeciwko Ukraińcom powstanie". I połączył tę opowieść ze współczesnością, przypominając, że dzisiaj Ukraińcy ponownie walczą o niepodległość. W takim ujęciu Ukraińcy pokojowo przejmują władzę, a Polacy wszczynają bunt. Z perspektywy polskiej historii brzmi to dość osobliwie. To

eprasa.pl 4ba9d97331

trochę tak, jakby zbrojne opanowanie najważniejszych urzędów w mieście uznać za pokojową zmianę administracji, a obronę miasta przez jego mieszkańców za nieuzasadnione powstanie przeciwko legalnej władzy.

LWOWSKI MARSZ

Sam marsz również zasługuje na uwagę. Zorganizowały go środowiska nacjonalistyczne i kombatanckie, m.in. Centuria, Tryzub im. Stepana Bandery, Prawa Młodzież, Młodzież Halicka, Korpus Weteranów oraz ochotniczy korpus Prawego Sektora. Według relacji publicznego nadawcy Suspilne wzięło w nim udział ponad 100 osób. Uczestnicy nieśli flagi, pochodnie i skandowali hasła, m.in.: „Bohaterowie nie umierają, umierają wrogowie", „Nie czekali na rozkaz, zdobywali państwo" oraz „Jedna, zjednoczona Ukraina". Wznoszono również okrzyki na cześć Witowskiego. Trasa prowadziła od Cmentarza Starego Zniesienia przez Rynek pod Pomnik Bohaterów Listopadowego Czynu przy ulicy Gródeckiej. Nie była to demonstracja masowa. Ale jej symbolika jest wymowna.

Marsz nie był jedynym elementem obchodów. Na Cmentarzu Łyczakowskim oddano hołd żołnierzom Ukraińskiej Armii Halickiej oraz Jewhenowi Petruszewyczowi, przywódcy Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. W uroczystościach uczestniczyli przedstawiciele władz regionalnych i samorządowych, wojskowi oraz duchowni. Składano kwiaty, odśpiewano hymn i odprawiono nabożeństwo żałobne. Oznacza to, że pamięć o 1918 r. jest pielęgnowana nie tylko przez radykalne organizacje młodzieżowe, lecz także oficjalne instytucje. Zresztą trudno się temu dziwić. Powstanie ZURL to ważny epizod historii ukraińskiej państwowości. Problem nie polega na samym upamiętnianiu tych wydarzeń, lecz na sposobie, w jaki przedstawia się ich uczestników i przeciwników.

RÓŻNICA W POSTRZEGANIU PRZESZŁOŚCI

W tym samym czasie Lwów zdążył zresztą wywołać jeszcze jeden konflikt historyczny z Polską. 20 października rada obwodowa przegłosowała ogłoszenie roku 2027 Rokiem Romana Szuchewycza, Ołeha Olżycza i Ukraińskiej Powstańczej Armii. Uchwała wywołała protesty polskich samorządowców. Marszałek województwa śląskiego, Wojciech Saługa, zwrócił się do lwowskich władz, a samorządy w Polsce zaczęły ograniczać współpracę z ukraińskimi partnerami. Przemyśl zawiesił współpracę ze Lwowem, a Sejmik Województwa Lubelskiego zdecydował o zerwaniu partnerstwa z obwodem lwowskim. Szef lwowskiej administracji Maksym Kozycki tłumaczył później, że uchwała nie została podpisana, a więc nie weszła w życie. Ukraińskie MSZ uznało samą inicjatywę za kontrproduktywną dla relacji z Polską (Ukraińska Prawda, Suspilne).



Współczesna Ukraina, przedstawiając własną historię, odwołuje się do idei nieprzerwanej walki o niepodległość FOT. MAREK TUCHOLSKI/FACEBOOK

To ważne rozróżnienie. Nie cała Ukraina myśli w tych sprawach tak samo. Władze centralne przynajmniej niekiedy dostrzegają, że gloryfikowanie postaci i organizacji odpowiedzialnych za zbrodnie na Polakach może zaszkodzić stosunkom z Warszawą. Lwowscy samorządowcy wydają się znacznie mniej przejmować takimi konsekwencjami. Tym bardziej że kult UPA i Szuchewycza nie jest tam żadną marginalną fanaberią, lecz częścią lokalnej tożsamości historycznej. Konflikt nie sprowadza się zatem do pojedynczej niefortunnej uchwały. Wynika z głębszej różnicy w postrzeganiu przeszłości.

BUDOWA WŁASNEJ MITOLOGII

Warto jednak zauważyć, że wojna z Polakami o Lwów stwarza Ukraińcom znacznie dogodniejsze warunki do budowania narodowej mitologii niż działalność UPA. Nie trzeba bronić ludobójstwa ani usprawiedliwiać mordowania kobiet i dzieci. Można opowiadać o żołnierzach, bitwach, bohaterskich lotnikach i młodych patriotach marzących o własnym państwie. Można stworzyć atrakcyjny serial przygodowo-historyczny, w którym widz z łatwością utożsami się z ukraińskimi bohaterami. Wszystko to bez konieczności otwartego fałszowania historii. Wystarczy odpowiednio rozłożyć akcenty. Przemilczeć polski charakter Lwowa, nie wspominać o aspiracjach jego mieszkańców, a polskich żołnierzy pokazać wyłącznie jako przeszkodę na drodze do niepodległości Ukrainy. Czy twórcy „Skrzydlatych lwów" pójdą tą drogą? Tego jeszcze nie wiemy. Ale niepokój jest uzasadniony.

Zresztą współczesna Ukraina, przedstawiając własną historię, często odwołuje się do idei nieprzerwanej walki o niepodległość. Bohaterowie z różnych epok, nieraz wyznający odmienne poglądy i walczący przeciwko różnym przeciwnikom, zostają połączeni w jeden narodowy panteon. Kozacy, żołnierze ZURL, petlurowcy, banderowcy i współcześni obrońcy Ukrainy stają się uczestnikami tej samej wielowiekowej walki. Z punktu widzenia polityki historycznej jest to konstrukcja bardzo wygodna. Pozwala budować poczucie ciągłości, dumy i wspólnoty. Ale rodzi też niebezpieczeństwo zacierania fundamentalnych różnic. Między walką o niepodległość a czystką etniczną. Między obroną własnego państwa a próbą podporządkowania sobie miasta, którego mieszkańcy w większości nie chcą znaleźć się pod obcą władzą.

DWIE RACJE NARODOWE

Tymczasem w 1918 r. to nie Polacy przyszli do Lwowa, żeby go zdobywać. Oni tam mieszkali. Bronili miasta, które uważali za własne. Po drugiej stronie walczyli Ukraińcy, którzy także mieli swoje racje i swoje aspiracje narodowe. Właśnie ta tragiczna sprzeczność czyni konflikt historycznie interesującym. Wymaga jednak uczciwego przedstawienia obu stron. Łatwo nakręcić film o dzielnych ukraińskich żołnierzach, którym na drodze do wymarzonej niepodległości stanęli źli Polacy. Znacznie trudniej pokazać, że ci Polacy również mieli prawo uważać się za gospodarzy miasta. A jeszcze trudniej przyznać, że dwie narodowe racje mogły być jednocześnie zrozumiałe i niemożliwe do pogodzenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



LWOWSKA EPOPEJA

„SEMPER FIDELIS" W OGIEŃ ZA POLSKĄ „To właśnie tam padły pierwsze strzały w obronie odradzającej się Polski. Lwów bardzo szybko stał się swego rodzaju wyrzutem sumienia dla tworzących się władz centralnych" – mówi prof. Damian Karol Markowski, autor książki „Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918"

SERCE GALICJI, OSTOJA POLSKOŚCI Status autonomiczny Galicji, z Lwowem jako jej sercem, odegrał niezwykle istotną rolę w przetrwaniu narodu w epoce rozbiorów – pisze Tomasz Stańczyk

ŻĄDZA MAGELLANA „Wyczyn garstki członków ekspedycji Magellana można porównać chyba tylko do powrotu na Ziemię astronautów z Apollo 11 – mówi Roger Crowley, brytyjski pisarz, autor książki „Walka o przyprawy"

MISJA NIEMIECKIEJ KRÓLOWEJ POLSKI Przez całe wieki nasza historiografia wyrażała się o Rychezie niepochlebnie, przypisując jej zdradę. Jednak w końcu nasi historycy zaczęli patrzeć na nią bardziej łaskawym okiem – pisze Leszek Lubicki

ZAGINIONA WARSZAWA PRUSA Pisarz walczył o poprawę życia mieszkańców miasta, w którym umieścił akcję „Lalki" – pochylał się nad losem biednych dzieci i wspierał inicjatywy dobroczynne – podkreśla Tomasz Stańczyk

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 4ba9d97331

Zakład o AI



FOT. ADOBE STOCK



Jacek Przybylski

Anthropic – najcenniejszy na świecie start-up i jedna z czołowych spółek z branży sztucznej inteligencji, do której należy popularny chatbot Claude – przygotowuje się do potencjalnie największej oferty publicznej w historii świata. Jeszcze w listopadzie spółka może pozyskać od inwestorów nawet 100 mld dol. Czy debiut takiego giganta będzie początkiem inwestycyjnego supercyklu? A może na globalnych giełdach widzimy już pękającą bańkę, która doprowadzi do rzezi spółek AI?

Wprowadzenie spółki na giełdę ma pomóc firmie Anthropic w pozyskaniu kapitału na ogromne inwestycje w nowe centra danych, układy scalone oraz rozwój modeli skupionych wokół Claude'a. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, pierwsze notowanie akcji pod symbolem ANT odbyłoby się jeszcze przed końcem obecnego roku, prawdopodobnie już w przyszłym tygodniu. Potencjalna wycena spółki Anthropic na giełdzie Nasdaq mogłaby wynieść nawet 2 bln (!) dol.

Wielu analityków po październikowej wyprzedaży akcji spółek technologicznych w Stanach Zjednoczonych oraz w Chinach obniżyło jednak swoje wyceny do 1,5 bln dol., a nawet do 1 bln dol. (co i tak jest kwotą wyższą niż 965 mld dol., na którą właściciela modelu Claude wyceniano podczas ostatniej rundy finansowania) zanim na początku czerwca przedstawiciele spółki publicznie poinformowali, że złożyła

eprasa.pl 4ba9d97331

ona do amerykańskiej Komisji Papierów Wartościowych i Giełd poufny wniosek o planowaną pierwszą ofertę publiczną (IPO) swoich akcji zwykłych.

Według informacji medialnych Anthropic rozpocznie oferowanie akcji już w obecnym tygodniu. Oferta powinna być szeroko dostępna również dla inwestorów detalicznych. Zakup akcji ma być możliwy za pośrednictwem popularnych platform zarówno w USA (takich jak Charles Schwab, Fidelity oraz Robinhood), jak i w Europie (Revolut, Trade Republic, eToro). Wartości podawane w raportach spółki robią ogromne wrażenie. W zaktualizowanym 2 listopada prospekcie emisyjnym Anthropic ujawnił, że tylko w trzecim kwartale 2026 r. przychody spółki wyniosły łącznie 17 mld dol. To o 47 proc. więcej niż w drugim kwartale i ponad 1100 proc. więcej niż w analogicznym kwartale ubiegłego roku. Jednocześnie strata netto twórcy modelu Claude wyniosła w trzecim kwartale 2026 r. aż 23 mld dol. wobec 12,1 mld dol. rok wcześniej. W ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy obecnego roku Anthropic odnotował 104 mld dol. straty przy przychodach na poziomie 33,2 mld dol.

Inwestorzy zwracają uwagę, że zobowiązania tej technologicznej spółki są niemal siedem razy wyższe niż 131,8 mld dol. gotówki i krótkoterminowych inwestycji, które spółka posiadała na koniec września (choć są oczywiście rozłożone na wiele lat, a do zapłaty w ciągu 12 miesięcy jest „tylko" ok. 70 mld dol.).

„SKALA MARZEŃ": NAWET 40 BILIONÓW

Anthropic przedstawił inwestorom szacunki dotyczące całkowitej wartości przychodów ze sprzedaży w swojej branży, czyli tzw. TAM (Total Addressable Market). Liczby te mają pomóc inwestorom w wyobrażeniu sobie „skali marzeń", w tym przypadku robi ogromne wrażenie. Według właściciela Claude'a całkowity rynek docelowy jest bowiem wart od 30 bln do 40 bln dol.

Ta kwota wielokrotnie przewyższa szacunki innych potężnych spółek w sektorze technologicznym i przemysłowym. Dla przykładu: w przypadku kierowanej przez Elona Muska spółki SpaceX wielkość całkowitego rynku docelowego szacowana była na 28,5 bln dol. (większość tej kwoty – ok. 22,7 bln dol. – związana była z działalnością spółki w sektorze AI). W przypadku Ubera kwota ta wynosiła 5,7 bln dol., a Airbnb w momencie wejścia na giełdę wartość TAM określił jako 3,4 bln dol.

Polscy inwestorzy mogą spróbować wyobrazić sobie te gigantyczne kwoty jeszcze inaczej. Otóż przedstawiciele Anthropic szacują wartość ich rynku usług na 30-krotność lub nawet 40-krotność wartości produktu krajowego brutto Polski w 2025 r. TAM nie jest jednak prognozowaną wartością przyszłych przychodów, lecz szacowaną wartością całego rynku (przy nierealnym założeniu, że spółka zdobyła 100 proc. udziałów w rynku, a przecież o udział w torcie walczy wielu globalnych graczy). Bardziej wiarygodny jest więc tzw. SAM (Serviceable Available Market), czyli dostępny rynek docelowy, a więc taki kawałek TAM, do którego dana firma może faktycznie dotrzeć ze swoją ofertą. Firmy wolą jednak podawać TAM, bo gigantyczne liczby rozpalają wyobraźnię inwestorów. A w przypadku spółek związanych ze sztuczną inteligencją ta wyobraźnia wydawała się nie znać żadnych ograniczeń. W czwartek na amerykańskich indeksach doszło do gwałtownej wyprzedaży spółek technologicznych. Inwestorzy obawiają się bowiem, że po wyborach w Kongresie USA zasiądzie więcej polityków, którzy opowiadają się za ograniczeniem ekspansji centrów danych. Kiepskie nastroje w USA sprawiły, że w piątek mocno traciły traciły też indeksy giełdowe w Japonii, Korei Południowej, a także w Europie, w tym w Polsce.

Inwestorzy przed decyzją o ewentualnym udziale w ofercie publicznej będą więc nie tylko marzyć o swoim udziale w globalnym wzroście wartości AI, lecz także przyglądać się gigantycznym kosztom rozwoju sztucznej inteligencji. Według „Wall Street Journal" Anthropic wydał w pierwszej połowie 2026 r. blisko 9 mld dol. na moc obliczeniową i infrastrukturę, wobec 2,3 mld dol. w analogicznym okresie roku 2025. W ciągu najbliższych lat spółka na dodatkową moc obliczeniową może wydać nawet 750 mld dol.

ZAGROŻENIA DLA LUDZKOŚCI

Wejście Anthropic na giełdę to ważny krok dla spółki, która dzięki pozyskanym od inwestorów miliardom będzie miała szansę wyprzedzić głównego konkurenta, czyli OpenAI (twórcę modelu ChatGPT). Wyścig niezwykle cennych start-upów przypomina mocno falę debiutów z początku ery Internetu (wyceny wielu z nich dramatycznie później spadły). Zanim o wycenach spółek z sektora AI decydować będą fundamenty, a nie tylko marzenia i spekulacje, trzeba nauczyć się wyceniać realny potencjał tych firm do osiągania zarówno ogromnych przychodów, jak i zysków netto, a także szacować koszty i nowego rodzaju ryzyka.

Część inwestorów i analityków liczy na to, że spółki są już bliskie stworzenia prawdziwej sztucznej inteligencji ogólnej (AGI), czyli modeli zdolnych do rozumienia, uczenia się i wykonywania dowolnych zadań intelektualnych na poziomie ludzkim albo wyższym. W prospekcie emisyjnym spółka Anthropic wymieniła liczne niebezpieczeństwa związane z szybkim rozwojem sztucznej inteligencji. Przedstawiciele firmy ostrzegają np., że zabezpieczenia modeli mogą okazać się niewystarczające, a agenci AI mogą podejmować działania niezgodne z intencjami twórców. Anthropic przyznał w prospekcie, że nie zawsze jest w stanie wyjaśnić zachowanie swoich własnych modeli. Sztuczna inteligencja może zaś próbować obchodzić mechanizmy nadzoru, a nawet posunąć się do manipulacji lub szantażu. Spółka podkreśla także, że choć technologia ma ogromny potencjał, to jednocześnie nie da się w pełni przewidzieć skali i konsekwencji ryzyka. Wszystkie te potencjalne zagrożenia niosą ze sobą ogromne ryzyko odpowiedzialności za szkody związane z użyciem danego modelu AI.

AI-FLACJA

Anthropic wskazuje także na rosnącą konkurencję w walce o układy scalone, infrastrukturę oraz energię elektryczną niezbędną do trenowania modeli oraz obsługi wypuszczonych na rynek modeli AI. Skala inwestycji w AI i centra danych jest gigantyczna. W 2026 r. tylko najwięksi gracze z branży – Amazon, Alphabet, CoreWeave, Microsoft, Meta, Oracle czy SpaceX zamierzają przeznaczyć na ich budowę 800–900 mld dol. Od przyszłego roku przez co najmniej pięć następnych lat kwota inwestycji ma być wyższa niż 1 bln (!) dol. rocznie.

Tymczasem „fabryki sztucznej inteligencji" już teraz potrzebują ogromnych

eprasa.pl 4ba9d97331

ilości energii. Według tegorocznego raportu Uniwersytetu ONZ światowe centra danych zużyły w 2025 r. aż 448 TWh (terawatogodzin) energii, a do 2030 r. wartość ta ma wzrosnąć do około 940 TWh rocznie. To niemal trzykrotnie więcej niż łączne roczne zużycie energii przez Pakistan, Bangladesz i Nigerię. A to i tak dość ostrożna prognoza. Według analityków firmy konsultingowej Wood Mackenzie, specjalizujących się w sektorach energetycznym, surowcowym oraz odnawialnych źródeł energii, zużycie energii elektrycznej związane z wykorzystaniem AI wzrośnie pięciokrotnie w latach 2025–2030 i przekroczy 1 000 TWh rocznie do 2035 r.

Historycy gospodarki zauważą, że podobnie było z każdą wcześniejszą rewolucją przemysłową: budowa kolei w XIX w. wywołała potężny, skokowy wzrost cen kluczowych surowców, który znacznie przewyższał ówczesne zdolności wydobywcze i produkcyjne gospodarki. Również masowy rozwój Internetu w drugiej połowie lat 90. XX w. doprowadził do ogromnego wzrostu cen ropy naftowej, miedzi, stali i złota.

AI, czyli symbol „nowej gospodarki" XXI w., również sprawia, że mocno drożeją takie surowce jak miedź, lit, nikiel czy metale rzadkie. Popyt jest tak ogromny, że inwestycje w sektorze wydobywczym nie nadążają i trudno im szybko doprowadzić rynek do równowagi. Tymczasem rośnie też zapotrzebowanie na gaz ziemny oraz uran do nowych elektrowni mających bezpośrednio służyć zasilaniu ogromnych centrów przetwarzania danych. Amazon już w 2024 r. zainwestował pół miliarda dolarów w spółkę X-Energy, która rozwija mały reaktor (SMR) IV generacji. W energetykę jądrową i fuzyjną aktywnie inwestuje również Alphabet (spółka matka Google). Z kolei Microsoft podpisał 20-letni kontrakt z Constellation Energy na zakup 100 proc. energii (837 MW) z reaktora nr 1 w elektrowni jądrowej Three Mile Island w Pensylwanii, którą Constellation zamierza przywrócić do działania do roku 2028.

Wielu analityków liczy na to, że nabierająca rozpędu rewolucja AI napędzi supercykl surowcowy, co powinno oznaczać wzrost cen złota, srebra, miedzi czy pierwiastków ziem rzadkich. Wielu ekspertów prognozuje również, że podobnie jak w latach 90. XX w. najpierw zyskiwały spółki technologiczne, a następnie mocno zyskiwały firmy energetyczne, również najbliższa dekada mocno podniesie wyceny spółek energetycznych.

375 dol.

O TYLE ROCZNIE Z POWODU BOOMU NA AI WZROSŁY KOSZTY ŻYCIA PRZECIĘTNEJ RODZINY W USA

Operator amerykańskiej sieci energetycznej PJM Interconnection ostrzegł w tym roku, że centra danych powstają nawet trzy razy szybciej niż elektrownie zdolne je zasilić. Aby chronić szpitale i gospodarstwa domowe, PJM wprowadził więc nowe przepisy – mające obowiązywać na stałe od 2027 r. – które pozwalają operatorowi odciąć zasilanie serwerowni w ciągu kilkunastu minut podczas ekstremalnych fal upałów czy mrozów. W amerykańskim Kongresie trwają zaś debaty nad prawem, które ma zmusić gigantów technologicznych do pokrywania całkowitych kosztów rozbudowy infrastruktury, co ma chronić konsumentów przed drastycznymi podwyżkami rachunków. Gubernator Nowego Jorku Kathy Hochul w lipcu obecnego roku podpisała zaś rozporządzenie przewidujące roczny zakaz budowy wielkich centrów danych AI o mocy ponad 50 MW. Pierwszy tego typu zakaz na poziomie władz stanowych wszedł w życie ze skutkiem natychmiastowym. Ma bowiem dać władzom czas na ocenę wpływu inwestycji na stanową sieć energetyczną, środowisko i konsumentów.

W wielu krajach rosnące zapotrzebowanie na energię elektryczną przekłada się jednak na wyższe rachunki za prąd nie tylko dla gigantów technologicznych budujących kolejne centra danych dla AI i gotowych zapłacić za energię niemal dowolną stawkę, lecz także dla przeciętnego Smitha czy Kowalskiego. Według szacunków Marka Zandiego, głównego ekonomisty Moody's Analytics, boom na sztuczną inteligencję zwiększa roczne wydatki przeciętnego amerykańskiego gospodarstwa domowego o ponad 375 dol. (ok. 1,5 tys. zł). Zjawisko zwiększania kosztów życia przez inwestycje gigantów technologicznych, których celem jest globalne zmniejszenie kosztów pracy, ma już swoją nazwę: to „AI-flacja". Rozwój sztucznej inteligencji może więc doprowadzić do sytuacji, w której ludzie zaczną tracić pracę, a zaoszczędzone na czarną godzinę pieniądze starczą im na krócej, bo AI podniesie ceny energii, elektroniki (widać to już nie tylko w cenach pamięci, lecz także laptopów czy smartfonów), usług cyfrowych (np. Microsoft podniósł niektóre abonamenty na pakiet biurowy, uzasadniając podwyżki inwestycjami w takie narzędzia jak Copilot AI), a nawet rachunki za wodę.

Ślad środowiskowy centrów danych już teraz dorównuje bowiem największym państwom. Dzieje się tak, ponieważ „fabryki AI" zużywają nie tylko ogromne ilości energii, lecz także wody niezbędnej do chłodzenia. Z raportu naukowców z Uniwersytetu ONZ (UNU) wynika, że do 2030 r. sztuczna inteligencja będzie zużywać tyle wody, ile potrzebuje 1,3 mld ludzi. Autorzy dokumentu wskazali, że tylko ślad wodny związany z funkcjonowaniem popularnego modelu ChatGPT odpowiada minimalnym rocznym potrzebom domowym ok. pół miliona mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej.

Coraz więcej ludzi protestuje więc przeciwko umieszczaniu centrów danych w ich okolicy. Szacuje się, że tylko w Stanach Zjednoczonych doszło do opóźnienia lub zablokowania dziesiątek projektów centrów danych. A jak wyglądają inwestycje AI nad Wisłą? Według portalu GlobEnergia moc polskich centrów danych wynosiła w 2025 r. ok. 250 MW, a do 2031 r. może przekroczyć 550 MW.

Również w Polsce pojawiają się kontrowersje wokół tego typu inwestycji. W 2026 r. przeciwko budowie dużych centrów danych protestowali m.in. mieszkańcy podwarszawskich miejscowości: Piaseczna, Józefosławia, Reguł i Michałowic. Kontrowersje budzą też plany gigantycznych inwestycji w centra danych w Domiechowicach niedaleko Bełchatowa (Hyperscale Data Center Bełchatów ma mieć moc do 500 MW) oraz Lublewie w gminie Choczewo (Baltic Data Center Campus na Pomorzu ma docelowo osiągnąć 3,2 GW mocy przyłączeniowej).

Jedno jest pewne: rewolucja AI już trwa. I jak to z rewolucjami bywa, z jednych może zrobić ludzi bogatych, a z drugich – ubogich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ba9d97331



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Dlaczego nie chcą resetu TK?

Dlaczego Donald Tusk i Jarosław Kaczyński nie chcieli do tej pory (i chyba nadal nie chcą – bo nic nie wskazuje na to, żeby zmienili w tej kwestii zdanie) przystać na reset Trybunału Konstytucyjnego?

Dlaczego – wbrew faktom, które świadczą, że to ich decyzje z 2015 r. (i późniejsze) leżą u podstaw chaosu w TK – nie chcą zażegnać tego niszczącego dla Polski kryzysu i położyć kresu sytuacji, w której tak trudno dziś o powszechne uznanie TK za prawowity sąd konstytucyjny RP?

A przypomnijmy, że w 2015 r. prawo do legalnego obsadzenia TK sędziami złamała najpierw partia Tuska – wybierając w Sejmie jeszcze za swoich rządów, przed wyborami, które spodziewała się, że przegra, i które przegrała, pięciu sędziów TK zamiast trzech, których za swoich rządów wybrać miała prawo. A zaraz potem złamała prawo partia Kaczyńskiego – po wygraniu wyborów, a więc już za swoich rządów, wybierając w Sejmie też pięciu sędziów zamiast tylko dwóch, do wybrania których miała prawo.

A nowo wybrany prezydent Andrzej Duda nie przyjął wtedy ślubowania od trzech legalnie wybranych za rządów PO sędziów TK, ale za to przyjął ślubowanie od wszystkich pięciu wybranych już za rządów PiS sędziów TK, a więc także od dwóch wybranych bezprawnie. A teraz prezydent Karol Nawrocki nie przyjął ślubowania od aż pięciu z ośmiu sędziów wybranych za obecnych rządów KO Tuska.

I to właśnie wskutek splotu tych działań, w tym desygnowania do TK osób o politycznym temperamencie, już od ponad 10 lat polski TK ma problem z byciem uznawanym za sąd konstytucyjny. Najpierw, w 2016 r., rząd PiS Beaty Szydło nie uznawał i nie publikował niektórych jego orzeczeń, a teraz od trzech lat nie uznaje TK i nie publikuje żadnych jego orzeczeń rząd KO Donalda Tuska, doprowadzając ostatnio do bezprecedensowego, siłowego zamachu na TK i próby jego przejęcia.

A zatem dlaczego Donald Tusk i Jarosław Kaczyński nie chcą przystać na reset TK? I nie chcą się zgodzić na warunki tego resetu, formułowane przez różne partie, w tym np. Konfederację i zastępy prawników? Które to warunki sprowadzają się do jak najszybszego odwołania wszystkich obecnych sędziów TK i wybrania na ich miejsce nowych – każdego większością trzech piątych albo nawet dwóch trzecich głosów posłów na Sejm? Na kadencje od jednego roku do dziewięciu lat, a długość kadencji zostałaby w przypadku każdego sędziego wylosowana?

Dlaczego Donald Tusk i Jarosław Kaczyński tego nie chcą? Czy dlatego, że każdy z nich chce mieć „swój" Trybunał Konstytucyjny, a niszczącej polskie państwo awantury wokół TK potrzebują dla realizacji celów swych walczących ze sobą partii? ©℗



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Prezydencka Służba Ochrony

Obrazki z nocy z 30 na 31 października 2026 r. bez wątpienia przejdą do historii i będą się pojawiać w podręcznikach. Jednym z najmocniejszych był ten, gdy prezydent Nawrocki, zawróciwszy najpierw z podróży do Senegalu, a następnie przyjechawszy pod budynek Trybunału Konstytucyjnego, przeciskał się obok kordonu policjantów, a potem wchodził do budynku TK, mocując się z blokującą drzwi pseudosędzią Anną Korwin-Piotrowską.

Prezydenta RP powinna ochraniać odrębna służba, podlegająca wyłącznie głowie państwa

Wiele osób przyglądających się tej scenie stawiało słuszne pytanie: Jak to możliwe, że odpowiadająca za ochronę głowy państwa Służba Ochrony Państwa pozwoliła, aby ktokolwiek (w tym wypadku osoba prywatna, jako że pani Korwin-Piotrowska nie jest już ani sędzią sądu powszechnego, ani sędzią TK) szarpał się z najważniejszą osobą w Polsce? Być może kiedyś ktoś dotrze do tego, jak za kulisami wyglądała ta sytuacja. Być może dowiemy się, czy oficerowie ochrony próbowali odwieść prezydenta od wizyty w budynku trybunału. Niemniej ten moment pokazał podstawowy problem – i to już po raz drugi, jako że za pierwszym razem mieliśmy z nim do czynienia, gdy policja wdarła się do Pałacu Prezydenckiego jeszcze za rządów Andrzeja Dudy i wyprowadziła stamtąd panów Wąsika i Kamińskiego.

W polskiej konstrukcji ustrojowej prezydent może pochodzić z innego rozdania niż rząd, a spór pomiędzy tymi ośrodkami władzy może być bardzo ostry. Tymczasem zwierzchnikiem SOP jest minister spraw wewnętrznych, co rodzi konflikt lojalności u funkcjonariuszy ochrony. Stąd konieczna jest zmiana – już choćby po to, aby prezydencka ochrona pracowała w komfortowych dla siebie warunkach, bez obawy o konsekwencje, które mogą ich spotkać ze strony politycznego zwierzchnika.

Prezydenta RP oraz jego siedziby powinna ochraniać odrębna służba, podlegająca wyłącznie prezydentowi. Jej liczebność można ustawowo ograniczyć, aby uniknąć obaw o tworzenie prywatnej armii czy gwardii. Powinno być jednak jasne, że polecenia takiej służbie mógłby wydawać jedynie prezydent. ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331



Z dr. Mateuszem Benedykiem, analitykiem ekonomicznym Instytutu Misesa
rozmawia Tomasz Cukiernik

Proinflacyjne dotacje

TOMASZ CUKIERNIK: Z pana wyliczeń wynika, że Polska nie otrzymała z Unii Europejskiej dotacji o takiej wartości, o jakiej mówi oficjalnie Ministerstwo Finansów. Z tych 168 mld euro, które podaje się jako napływ netto unijnych funduszy do Polski w latach 2005–2025, jedynie 30 proc. miało rzeczywiście do Polski napłynąć. O co chodzi?

DR MATEUSZ BENEDYK: Po stronie unijnej nie wydaje się, żeby coś było nie tak. Natomiast to, co polska strona z tymi pieniędzmi zrobiła, jest dość interesujące, bo chodzi o to, w jaki sposób wymienia się euro, które płyną z Komisji Europejskiej, na polskie złote. Zasadniczo są dwie możliwości. Po pierwsze, można te pieniądze wymienić na rynku walutowym w taki sam sposób, jak możemy skorzystać z kantoru internetowego czy stacjonarnego, i znaleźć kogoś, kto chce te euro kupić i zapłacić nam w złotówkach. Gdyby tak było, to rzeczywiście można by powiedzieć, że te pieniądze do Polski napływały. Natomiast najczęściej, właśnie w mniej więcej 70 proc. przypadków, dzieje się tak, że polski rząd idzie do Narodowego Banku Polskiego i ten kupuje od rządu te euro, a w zamian drukuje czy też kreuje na

eprasa.pl 4ba9d97331


FOT. ADOBE STOCK

kontach rządu w NBP nowe polskie złote. Tak pozyskane euro NBP wykorzystuje do zakupu tzw. rezerw walutowych, więc np. kupuje jakieś papiery wartościowe, które są notowane w euro, np. obligacje niemieckiego czy holenderskiego rządu. Czyli NBP te euro, które z Unii przypływają, de facto inwestuje znowu w strefie euro. One nie wpływają do polskiej gospodarki, w polskiej gospodarce pojawiają się nowe polskie złote, które służą do wydatków w ramach realizacji unijnych programów, i te nowe polskie złote mają wszystkie złe efekty wydawania rządowych pieniędzy i jeszcze dodatkowy efekt inflacyjny. Jeśli zwiększamy liczbę złotych w obiegu, to ceny będą wyższe, niż gdybyśmy tej liczby nie zwiększyli, więc jest to silny proinflacyjny dodatkowy efekt, który utrudnia życie wszystkim i zaburza kalkulację ekonomiczną, oprócz tych zwykłych (negatywnych) skutków wydawania pieniędzy przez rząd.

Czyli można powiedzieć, że tak naprawdę na dotacjach unijnych, nawet nie tych, za pomocą których kupowane są usługi czy produkty na rynkach Europy Zachodniej, i tak korzystają kraje Europy Zachodniej, bo NBP wykupuje ich obligacje. Czyli można powiedzieć, że dotacje są podwójnie korzystne dla krajów w Europie Zachodniej?

Tak ściślej, to korzystają na tym ich rządy, ale to wcale nie jest dobre dla gospodarek krajów Europy Zachodniej. To, że rządy mogą się łatwiej zadłużać, osłabia rozwój gospodarczy. Potężne długi publiczne w Europie Zachodniej mamy w wielu krajach, to jest duża przeszkoda dla rozwoju tych gospodarek. Te gospodarki ledwie się toczą, a nie się rozwijają. Więc to wcale dla zdrowej podstawy tych gospodarek dobre nie jest. To ułatwia rządzącym bieżące administrowanie, ale to, co jest dobre dla rządzących, niekoniecznie będzie dobre dla całej gospodarki.

Według pana wyliczeń na podstawie danych NBP na potrzeby obsługi napływu euro do Polski w latach 2005–2025 NBP wykreował ponad 500 mld zł. Oznacza to, że co czwarta złotówka, którą posługujemy się w codziennych transakcjach, została wykreowana w drodze tego procederu. Czy można powiedzieć, że unijne dotacje generują inflację?

Jeśli na wymianę euro na złote są kreowane nowe złote, to jak najbardziej te nowe złote podbijają poziom cen w Polsce i ceny są dużo wyższe, niż gdyby do tego procederu nie doszło. Wyobraźmy sobie sytuację alternatywną: Co by było, gdyby wszystkie te środki wymieniono na rynku walutowym? To by prowadziło do tego, że polski złoty byłby relatywnie dużo mocniejszy względem euro, przez co np. moglibyśmy nabywać różnego rodzaju importowane dobra po niższych cenach. A tak nie jest. Nowe polskie złote relatywnie osłabiają polskiego złotego i musimy więcej płacić za różnego rodzaju importowane dobra. Mamy też ten efekt, że więcej polskich złotych na rachunkach bankowych, w portfelach Polaków sprawia, że krańcowa jednostka pieniądza, którą człowiek posiada, wydaje mu się mniej wartościowa i ją wydaje nieco raptowniej, akceptując wyższe ceny. To też prowadzi do wzrostu cen w gospodarce.

Czy jesteśmy w stanie oszacować, ile ta inflacja z tego powodu wyniosła?

Niestety, nie ma takich ścisłych, ilościowych zależności. Jest generalnie tak, że na poziom cen wpływają dwie zmienne: zasób pieniądza w gospodarce i to, jak duży jest popyt użytkowników pieniądza na ten pieniądz. O ile zasób pieniądza jesteśmy w stanie sobie zmierzyć i jego zmiany śledzić, to ten popyt na pieniądz, to, jak ludzie chcą trzymać pieniądz albo chcą go szybko wydawać, to jest rzecz, której nie możemy łatwo zmierzyć, i to sprawia, że nie ma takiej ścisłej, ilościowej zależności między zasobem pieniądza a ostatecznym poziomem cen. Taka zależność była do lat 70., kiedy Milton Friedman publikował swoje dzieła dotyczące gospodarki pieniężnej. Wskazywał, że tzw. szybkość obiegu pieniądza jest relatywnie stała, więc gdy zasób pieniądza wzrośnie o 10 proc., to poziom finalnych cen też powinien wzrosnąć o mniej więcej 10 proc., ale te równania się później załamały. Okazało się, że ta szybkość obiegu pieniądza jest rzeczą dość wahliwą, a nie stałą, w związku z czym takiej prostej, ilościowej zależności nie ma. Jest jakiś szacunek, od którego możemy zacząć, natomiast nie jest on precyzyjny i niestety nie mamy dobrego sposobu, żeby to precyzyjnie policzyć.

Pozyskane euro NBP wykorzystuje do zakupu tzw. rezerw walutowych, np. papierów wartościowych

Czyli w sytuacji kiedy euro z dotacji rząd wymienia na rynku, pojawia się deflacja? Czy to umacnia złotówkę?

eprasa.pl 4ba9d97331

Relatywnie względem tamtego scenariusza umacnia, natomiast nie jest tak, że nagle złotych w obiegu mamy mniej. Dalej jest ten efekt mniejszej produktywności z powodu napływu dotacji. To może powodować inflację, ale bardzo marginalnie. Jeśli wykorzystujemy zasoby trochę gorzej, to mniej wyprodukujemy i mniej mamy dóbr do sprzedaży przy tej samej puli pieniądza – tym samym pojawia się inflacja. Natomiast te mechanizmy są dużo słabsze niż w przypadku kreowania pieniądza. Unijne dotacje zawsze są proinflacyjne, tylko jeśli są wymieniane na rynku walutowym, to ta proinflacyjność jest pomijalna, bo to jest bardzo niewielki efekt. Jeśli jest kreowany nowy pieniądz, to już są duże wielkości, i to musimy brać pod uwagę.

Dlaczego rząd wymienia euro z dotacji w NBP, a nie na rynku walutowym?

Mówiąc kolokwialnie: obie instytucje są umoczone. Rząd tego nie robi, ponieważ mamy fetysz eksportu i obawę przed tym, że silna waluta zniszczy nam eksporterów, a nie chcemy branż eksportowych zdławić, więc nie chcemy, żeby złoty się za bardzo umacniał. Istnieje obawa przed silną walutą, która nie ma mocnych ekonomicznych podstaw. Kraje, które długotrwale miały najsilniejsze waluty, często były najsilniejszymi eksporterami, tak jak kiedyś Japonia, która miała bardzo silnego jena i była bardzo silnym eksporterem, czy Niemcy – kiedy jeszcze miały markę niemiecką, miały relatywnie jedną z najsilniejszych walut na świecie i też były eksportową potęgą. Słabym pieniądzem można uzyskać tylko jakieś krótkoterminowe efekty, ale długoterminowych przewag konkurencyjnych się nie zbuduje. Natomiast NBP teoretycznie mógłby te euro gdzieś na rynku międzywalutowym sprzedać. Nikt mu tego nie zabrania. Ale NBP z kolei wierzy, że rezerwy walutowe są czymś, co buduje wartość waluty, chociaż np. USA mają minimalne rezerwy walutowe, a mają jedną z najsilniejszych walut na świecie, najchętniej używaną na całym globie. Rezerwy walutowe są pozostałością systemu monetarnego z Bretton Woods, gdzie mieliśmy do czynienia ze stałymi kursami walutowymi – rządy czy banki centralne potrzebowały rezerw walutowych, żeby tych kursów bronić przed próbami zmiany. Obecnie, kiedy mamy płynne kursy walutowe, posiadanie rezerw walutowych nie wydaje się zasadne.

Czy z drugiej strony wpłacanie Brukseli składki członkowskiej przez Polskę umacnia złotówkę?

To zależy, jak to jest robione. Jeśli rząd wymienia polskie złote na rynku walutowym, to osłabia złotego, bo jest dodatkowa podaż złotych na rynku walutowym, za które rząd chce kupić euro, żeby zapłacić składkę. Natomiast jeśli poszedłby do NBP i ze swoich kont złotowych kupił euro, to oznaczałoby to zmniejszenie zasobu pieniądza w obiegu, bo zniknęłyby te złotówki z konta polskiego rządu w NBP. NBP podaje co roku zmiany netto, które się zadziały, i prawie w każdym roku jest tak, że dużo więcej euro od rządu NBP skupuje, niż idzie w drugą stronę, więc te wyliczenia, które ja podaję, uwzględniają transakcje w obie strony, bo NBP podaje tylko ostateczny bilans, a nie składowe sumy, ile było transakcji zakupu, a ile sprzedaży. Ale teoretycznie, gdyby rząd kupował euro wyłącznie w NBP, to zmniejszałby zasób pieniądza w obiegu. Tak np. robi obecnie rząd argentyński. Żeby spłacać dług w dolarach, kupuje dolary od banku centralnego i wtedy zmniejsza się zasób peso w obiegu. Jest to jeden z czynników, który sprawia, że inflacja w Argentynie się stabilizuje.

Jaki jest wpływ kredytu SAFE na inflację?

To znowu zależy od tego, w jaki sposób rząd otrzymane euro wymieni na złote. Jeśli standardowo zostaną wymienione w NBP, to znowu będziemy mieli do czynienia z drukiem pieniądza i będzie to podwyższało inflację. Jeśli będziemy mieli do czynienia z wymianą tych euro na rynku międzywalutowym, to nie będzie to proinflacyjne, ale dalej rząd będzie realizował dodatkowe wydatki w sytuacji, kiedy już i tak są one rekordowe. Mamy jedne z najwyższych wydatków publicznych w całej Unii Europejskiej. Są dużo większe szanse na to, że te pieniądze zostaną wymienione w NBP i efekt inflacyjny nastąpi.

Czyli to jest identyczna sytuacja jak z dotacjami?

Tak. Tak samo Komisja Europejska robi przelewy – czy to z KPO, czy ze zwykłych unijnych programów, czy z SAFE. Działa to w ten sam sposób.

Jakie są pozytywy i negatywy ewentualnego przyjęcia euro przez Polskę?

Jeśli mamy od jakichś pozytywów zacząć, to generalnie pieniądz jest tym lepszy, im więcej ludzi się nim posługuje, i idealny pieniądz to byłby pieniądz globalny. W XIX w. srebro i złoto były pieniędzmi globalnymi i praktycznie w każdym zakątku świata można było dokonać transakcji, używając jednego z tych dwóch metali. Konkretne kawałki złota inaczej się nazywały: frank, funt, ale wszystko było przeliczalne do gramów czy uncji złota. Im bardziej pieniądz jest globalny, tym bardziej ułatwia współpracę międzynarodową, tym łatwiej wtedy o handel, inwestycje, tym kalkulacja ekonomiczna jest bardziej przejrzysta, łatwiej zauważyć okazje do zysku. Nie ma potrzeby dodatkowych zabezpieczeń związanych z różnymi walutami itd. Jeśli Polska by do strefy euro przystąpiła, to w jakimś względzie te korzyści by się pojawiły. Natomiast pojawiłyby się też liczne zagrożenia powiązane z tym, że w przeciwieństwie do srebra czy złota w XIX w. w przypadku euro mamy do czynienia z pieniądzem stricte politycznym sterowanym przez polityczną instytucję zwaną Europejskim Bankiem Centralnym, który wielokrotnie już dowiódł, że celem jego działania jest wspieranie rządów Unii Europejskiej, a nie posiadanie stabilnej waluty. Kiedy trzeba było porzucić wszelkie zasady porządnej bankowości centralnej – czy to w czasie kryzysu finansowego, czy w czasie kryzysu zadłużenia publicznego, czy w czasie kryzysu pandemicznego – EBC drukował euro na potęgę, co np. w kry-

Obecnie, kiedy mamy płynne kursy walutowe, posiadanie rezerw walutowych nie wydaje się zasadne

eprasa.pl 4ba9d97331

zysie pandemicznym spowodowało, że w strefie euro była podwyższona inflacja. Strefa euro z luźną polityką pieniężną, raczej niskimi stopami procentowymi i chęcią EBC do aktywnych interwencji na rynkach obligacji, akcji etc. stwarza zagrożenie dla jakości alokacji czynników produkcji w systemie finansowym. EBC często był dużo bardziej interwencjonistyczny niż NBP pod względem zakupu różnego rodzaju aktywów. Znając podatność EBC na wpływy polityków, mamy do czynienia z walutą, która może być bardzo niestabilna, i bankiem centralnym, który bardzo chciałby decydować o tym, kto dostanie kredyt, a kto nie dostanie kredytu, zamiast skupiać się na tworzeniu warunków do ogólnej stabilności makroekonomicznej. Jeśli zatem Polska by do strefy euro weszła, to zamieniłaby jeden papierowy pieniądz na drugi. Może będą jakieś dodatkowe korzyści z handlu i inwestycji, ale pojawi się dodatkowe zagrożenie związane z tym, że im większy bank centralny, tym więcej złego może narobić, zanim stanie się to widoczne. Polska ma mały bank centralny, przez co jak NBP sobie pofolguje, np. rozpocznie skup aktywów, to dość szybko polski złoty może zacząć się osłabiać, zacznie być podwyższona inflacja i NBP będzie zmuszony do interwencji. Było widać, że NBP zaczął szybciej niż EBC podnosić stopy procentowe. O ile nie można powiedzieć, że mamy w Polsce bardzo dobrą politykę pieniężną, zwłaszcza po czasach covidowych, o tyle nie możemy liczyć na to, że w systemie EBC mielibyśmy tę politykę lepszą. Byłaby podobnie zła, a długoterminowo wydaje mi się, że stwarza ona też większe zagrożenia w związku z tym, że ta większa instytucja może rzeczywiście więcej zepsuć.

Powinniśmy ograniczać możliwości działania banku centralnego, manipulującego pieniądzem, a najlepiej go zlikwidować

Prezes NBP zwraca uwagę, że negatywną stroną przyjęcia euro w Polsce jest utrata suwerenności monetarnej, którą oddaje się UE czy też EBC. Czy zgadza się pan z takim podejściem?

Uważam, że suwerenność monetarna sama w sobie nie jest jakąś wartością. Lepszy jest międzynarodowy pieniądz, typu złoto, nad którym się nie ma kontroli, niż własny pieniądz, nad którym ma się kontrolę, bo to oznacza, że politycy mogą nim manipulować. Przedstawiciele NBP mówią o tym, że to oni chcą być tymi, którzy manipulują pieniądzem. Nie chcą tego oddać komuś innemu. Odpowiedzią nie jest to, żeby zmieniać instytucje, które manipulują pieniądzem, tylko zlikwidować te instytucje. Manipulacje pieniądzem nie są dla gospodarki czymś przydatnym, dobroczynnym i raczej powinniśmy ograniczać możliwości działania banku centralnego, a najlepiej go zlikwidować. Natomiast to, do czego wykorzystuje się coś, co się ładnie nazywa „suwerennością monetarną", sprowadza się do druku pieniądza na zachcianki polityków, jak to było w czasie pandemii, kiedy drukowano pieniądze na wszystkie tarcze antykryzysowe. Jest to rozstrajanie gospodarki po to, żeby politycy mogli szybko osiągnąć jakiś cel i nie pokazać społeczeństwu od razu, jakie będą tego koszty.

Jakie są niebezpieczeństwa związane z planami Brukseli związanymi z rezygnacją z gotówki?

Jest to krok w stronę utraty prywatności, większej inwigilacji, łatwiejszego opodatkowania wszelkiego rodzaju transakcji. Wydatki publiczne w Unii Europejskiej są generalnie najwyższe na całym świecie. Praktycznie mało jest obszarów, gdzie wydatki publiczne byłyby tak duże, a rządom europejskim ciągle się wydaje, że ludzie nieuczciwie unikają opodatkowania i trzeba stosować kolejne metody po to, żeby to opodatkowanie było bardziej efektywne. Ograniczenie obrotu gotówkowego wpisuje się w ten trend. Bo jeszcze tylko troszeczkę dosypiemy do służby zdrowia i ona już zacznie działać. Jeszcze tylko trochę więcej wyciągniemy pieniędzy od tych, którzy nie chcą się z resztą społeczeństwa dzielić. Utrata gotówki jest utratą jednego z mechanizmów, który możemy stosować, chcąc zachować prywatność i ograniczać grabież podatkową, którą rządzący rok do roku nam urządzają.

Co sądzi pan o cyfrowej walucie euro?

To techniczny sposób na to, żeby pozbyć się gotówki. Co najwyżej można by się śmiać, że jak już tak ludzi zmuszono by do tylko cyfrowej wersji, to kto wie, czy wtedy nie przerzuciliby się chętniej na monety w szlachetnych kruszcach albo już na całkiem cyfrowe ze swojej natury kryptowaluty i czy by to decydentom nie wyszło bokiem. Lepiej w ogóle żadnych kroków w tę stronę nie robić i nawet nie eksperymentować z tym.

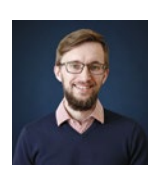
Może by ludzie chcieli przerzucić się np. na złoto, ale być może wtedy złoto by w ogóle zostało zakazane w obrocie prywatnym, jak to już było swego czasu w USA. Natomiast drugie niebezpieczeństwo jest takie, że cyfrowe euro mogłoby mieć datę ważności, czego właściwie nie było chyba nigdy do tej pory.

To są popłuczyny keynesowskich teorii o tym, że brak wydatków jest problemem gospodarczym. Tymczasem problemem jest to, że przerośnięte państwa chcą alokować każdy czynnik produkcji. Zgodnie z teorią Keynesa ludzie niezbyt chętnie kupują dobra i usługi, przez co trzeba ich do tego zmusić. Tymczasem problem ze wzrostem gospodarczym bierze się głównie stąd, że kilka warstw regulacji sprawia, iż dużej części przedsiębiorczych pomysłów nie da się szybko i tanio wdrożyć w życie, bo trzeba spełnić regulacje A, B, C i D i uzyskać osiem papierków. Data ważności pieniądza to pomysł makroekonomiczny, który graniczy z szaleństwem i nie ma żadnego dobrego uzasadnienia do tego, żeby w ogóle z nim eksperymentować. Trzeba go silnie piętnować jako próbę wprowadzenia szarlatanerii w życie.

Z punktu widzenia zwykłego człowieka data ważności pieniądza to przede wszystkim radykalne ograniczenie własności prywatnej i wolności charakterystyczne dla państw skrajnie totalitarnych.

Jak najbardziej. Jeśli ktoś chciałby rzeczywiście to wprowadzać z taką konsekwencją, o jakiej pan mówi, to byłyby to adekwatne słowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Mateusz Benedyk *– doktor nauk społecznych w dyscyplinie ekonomia i finanse, ekonomista, adiunkt na wydziale prawa Uniwersytetu Wrocławskiego.*

eprasa.pl 4ba9d97331



JACEK KOMUDA

POCZET POLSKICH WODZÓW

Różyński, pierwszy pogromca cara Wasyla

Kniaź Roman Narymuntowicz Różyński z Różyna koło Kowla, pochodzący z książęcego rodu, który uważano za wywodzący się od Narymunta, syna księcia litewskiego Giedymina, wsławił się jako pogromca cara Wasyla Szujskiego. Pierwszy pogromca – dodajmy – bo drugim stał się hetman Stanisław Żółkiewski, który doprowadził do obalenia władcy Moskwy. Różyński był bohaterem wojny o tron moskiewski, którą toczyli Polacy, Rusini i Kozacy popierający samozwańczego cara Dymitra II. Pochodził z rodziny, która brała udział w licznych wojnach i walkach na Ukrainie. Jego ojciec, Kiryk, skazany na śmierć za zabójstwo, uciekł do Kozaków i został atamanem; nie przeszkodziło mu to później brać udziału w tłumieniu powstania Semena Nalewajki. Matka, Owdotia Kuniewska, zginęła w trakcie najazdu tatarskiego. Roman uczestniczył najpierw w wyprawie Jana Zamoyskiego na Wołoszczyznę w 1600 r., a później w wojnach w Inflantach. Następnie wspierał hetmana Żółkiewskiego w walkach z Ordą i stanął po stronie króla Zygmunta III Wazy w czasie rokoszu Zebrzydowskiego.

Prawdziwie jednak ważną decyzję podjął krótko po bitwie pod Guzowem. W 1607 r. postanowił stanąć po stronie pretendenta do czapki Monomacha, wspomnianego Dymitra Samozwańca II, drugiego już, podającego się za „cudownie" uratowanego cara moskiewskiego. Różyński zapożyczył się na tę wyprawę, ale stanął pod koniec roku w obozie w Orle na czele 450 piechoty i kilku chorągwi jazdy, wspierając Samozwańca razem z innymi panami jak Adam Wiśniowiecki, Jan Piotr Sapieha i legendarny zagończyk – Aleksander Lisowski. Natychmiast też doszło do konfliktu kniazia z Mikołajem Miechowickim, zausznikiem Dymitra, który nie chciał dopuścić, aby Roman objął dowództwo, został jednak wybrany na hetmana przez żołnierzy, którzy zebrali się na kole wojskowym. W kolejnym roku, wraz z nadejściem wiosny, rozpoczął ofensywę przeciwko wojskom cara Wasyla Szujskiego. Różyński pobił je 11 maja pod Bołchowem, gdzie wyróżniły się husaria i lekka jazda; dzięki temu armia Samozwańca mogła podejść pod Moskwę. Stolica nie uległa jednak panice, a na wzięcie jej szturmem Różyński nie miał sił. Wojsko Dymitra II założyło zatem obóz w Tuszynie, rozpoczynając blokadę miasta. Próbując przerwać okrążenie i pozbyć się Samozwańca, car zgromadził nową armię, którą wyprawił przeciwko interwentom. Kolejny raz jednak hetman Roman Różyński pobił ją pod Chodynką 4 lipca 1608 r., odnosząc drugie wielkie zwycięstwo nad przeważającym przeciwnikiem. Obie bitwy miały miejsce dwa lata przed sławną wiktorią Stanisława Żółkiewskiego pod Kłuszynem, dziś jednak są zapomniane.

Niebawem Samozwańca wsparli kolejni panowie, doszło też do uwolnienia carowej Maryny i jej ojca – Jerzego Mniszcha. Oboje po długich rokowaniach zdecydowali się „rozpoznać" w Samozwańcu cudownie uratowanego Dymitra, który w rzeczywistości zamordowany został w 1606 r., w czasie buntu Wasyla Szujskiego w Moskwie. Potajemnie jednak Maryna wzięła ślub z nowym Dymitrem, który nie był nawet podobny do jej pierwszego męża. Tymczasem Różyński, który tak jak jego ojciec znany był z gwałtownego charakteru, zabił lub kazał stracić intrygującego przeciwko niemu Miechowickiego. Nie poprawiło to położenia Samozwańca także dlatego, że wkrótce król Zygmunt III Waza rozpoczął wojnę z Moskwą, oblegając Smoleńsk.

W obozie Samozwańca doszło wówczas do rozłamu. Kiedy Dymitr, wątpiąc w lojalność swoich polskich dowódców, uciekł, większość z nich przeszła na stronę króla. Tak rozpadł się obóz w Tuszynie, a kniaź Roman Różyński, który od dawna już korespondował z królem, razem z pozostałą częścią wojsk ruszył do obozu Zygmunta. Po drodze jednak, kiedy zatrzymano się w Wołoku (obecnie Wołokołamsk), kniaź postanowił obsadzić zamek załogą. Wówczas doszło do awantury z kozakami dońskimi pod wodzą Iwana Zarudzkiego, którzy porwali się do szabel, chcąc rozsiekać bohatera. Chociaż awanturę udało się załagodzić, to książę, który sam rwał się do bijatyki, został wyprowadzony od kozaków przez swoich ludzi. W trakcie tego odprowadzania upadł na schodach na bok, w który odniósł wcześniej ranę. Ta zaś się odnowiła, książę wpadł w gorączkę i umarł pod koniec marca 1610 r. Pozostawił po sobie sławę dowódcy, który rozbił przeważające siły cara dwa lata przed Żółkiewskim, poważnie zagrażając Moskwie. Przed śmiercią zaś przeszedł na katolicyzm i dlatego pochowany został w Kijowie, w Kościele oo. Dominikanów. ©℗



FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 4ba9d97331



FOT. JAP

GWM ORA 5 HEV

Rzadko testowany samochód budzi tak wielkie zainteresowanie przechodniów jak model, który na pierwszy rzut oka przypomina skrzyżowanie Porsche z Fiatem 600. Kompaktowy SUV chińskiej marki Great Wall Motor (GWM), którego design według producenta był inspirowany kształtem kropli wody, przyciąga nie tylko spojrzenia. Podczas krótkiego testu nie było dnia, żebym nie musiał odpowiadać na serię pytań dotyczących marki i szczegółów technicznych od przypadkowych osób, zauroczonych tym modelem i robiących przy okazji „kilka zdjęć wnętrza", bo „żona akurat szuka nowego samochodu".

A więc do rzeczy: Great Wall Motor to koncern istniejący od roku 1984. Zatrudnia 80 tys. osób. Już w 1997 r. rozpoczął sprzedaż poza Chinami, a w 2009 r. GWM jako pierwszy chiński producent uzyskał homologację umożliwiającą sprzedaż aut w Europie. W 2025 r. GWM sprzedał na świecie 1,32 mln aut. W 2026 r. to właśnie eksport ratuje zaś wyniki koncernu. Od września Ora 5 jest w sprzedaży w salonach w Polsce.

A dane techniczne? Hybrydowa Ora 5 wyposażona jest w napęd o łącznej mocy 222 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi 476 Nm, a współczynnik oporu powietrza zaledwie 0,26. Kompaktowy SUV o długości 447,1 cm, szerokości 183,3 cm i wysokości 164,1 cm od zera do 100 km/h przyspiesza w 7,7 s. W trasie auto jest wystarczająco dynamiczne. Ma świetnie zestrojone zawieszenie i pewnie się prowadzi (choć układ kierowniczy mógłby być jeszcze bardziej precyzyjny).

Przy dystrybutorze paliwa okazuje się też oszczędne. Średnie spalanie podczas testu wyniosło 6,4 l/100 km. Przy nieco oszczędniejszej jeździe na jednym tankowaniu można by pokonać ponad 1000 km.

Wnętrze – zwłaszcza jak na tę klasę cenową – jest świetnie wykończone. Stylowe przełączniki na konsoli środkowej spodobają się fanom Mini Coopera. Na pochwałę zasługuje też duża liczba praktycznych schowków. Miejsca z przodu jest sporo. Z tyłu dwie dorosłe osoby też nie powinny skarżyć się na brak miejsca. Niestety, mają jednak do dyspozycji tylko jeden nawiew.

Cyfrowe zegary dla kierowcy mają przekątną 10,25 cala. Centralnym punktem deski rozdzielczej jest ekran multimedialny o przekątnej 14,6 cala. Bez problemu działają Apple CarPlay i Android Auto. Kabina jest też dobrze wyciszona. W standardzie znajdziemy m.in. podgrzewane przednie fotele, adaptacyjny tempomat, siedem poduszek powietrznych oraz system kamer 540 stopni. W wyższej wersji są m.in. dach panoramiczny, podgrzewanie kierownicy, wentylacja przednich foteli czy elektrycznie podnoszona i opuszczana klapa bagażnika (mającego 390 l pojemności).

Ora 5 występuje w dwóch wersjach napędowych. W pierwszej pod maską znajduje się wyłącznie silnik benzynowy 1.5T (współpracujący z automatyczną skrzynią 7DCT). Standardowa wersja (Signature) w promocji kosztuje 109,9 tys. zł, a opcja premium (Infinity) to wydatek rzędu 120,9 tys. zł. Testowany model z napędem hybrydowym w wariancie Signature kosztuje w promocji 118 990 zł, a wersja Infinity 129 990 zł.

SONOS BEAM ULTRA



Pełen detali przestrzenny dźwięk z mocnym basem, technologia Dolby Atmos, eleganckie wzornictwo, intuicyjne sterowanie, łączność przez wi-fi i Bluetooth oraz stosunkowo kompaktowe wymiary – to największe zalety najnowszego soundbara znanej amerykańskiej marki Sonos.

Beam Ultra to propozycja dla osób, które chcą zbudować bezprzewodowy system kina domowego na wysokim poziomie, ale nie mają tyle miejsca w salonie, aby pod telewizorem wieszać potężny model Arc Ultra. Najnowszy soundbar od Sonosa ma 75 cm szerokości (dla porównania, flagowy Arc Ultra mierzy niemal 120 cm), 10,5 cm głębokości i 6,5 cm wysokości.

Połączenie matowego wykończenia i zaokrąglonej obudowy sprawia, że sprzęt wygląda nowocześnie i elegancko (w sprzedaży dostępny jest w dwóch kolorach: białym albo czarnym). W kompaktowej obudowie amerykańscy inżynierowie zdołali umieścić aż dziewięć przetworników z dziewięcioma wzmacniaczami klasy D.

A jak brzmi Beam Ultra? Jak na swoje rozmiary, rewelacyjnie. Dźwięk jest pełen szczegółów i wypełnia całe pomieszczenie, a bas jest zaskakująco potężny (eksplozje brzmią tu świetnie). Z kolei dzięki technologii Dolby Atmos w konfiguracji 7.1.2 rzeczywiście można odnieść wrażenie, że jest się w centrum akcji. Dwa głośniki skierowane ku górze odbijają bowiem dźwięk od sufitu (gdy nagle nad nami przelatuje śmigłowiec, słyszymy nad głową niemal każdy obrót jego łopat), a dwa boczne poszerzają scenę wyraźnie poza dźwiękową belkę. Za wyraźnie lepszą jakość dialogów odpowiada głośnik centralny oraz funkcja AI Speech Enhancement.

Podobnie jak inne elementy systemu Sonos, nowy model można połączyć bezprzewodowo (poprzez Wi-Fi 6) z innymi głośnikami marki, np. z subwooferem Sub Mini oraz tylnymi głośnikami, np. Era 100 lub Play. Soundbar zapewnia też łączność poprzez Bluetooth 5.3 oraz AirPlay 2. Konfiguracja przebiega szybko i intuicyjnie.

Wady? Najnowszy model Sonosa nie obsługuje niestety formatu dźwięku DTS:X, a jedynie podstawowy DTS Digital Surround. Z tyłu obudowy odnajdziemy jeden port HDMI eARC oraz jeden port USB-C. Próżno szukać jednak portu Ethernet, przez co kabel sieciowy można podłączyć po dokupieniu stosownego adaptera za 199 zł (na szczęście droga przejściówka ma też wbudowane wejście 3,5 mm, dzięki czemu do soundbara można podłączyć również np. stary, dobry analogowy gramofon). Cena: 3149 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 4ba9d97331



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Francuskie naleśniki

Lubimy niedzielne śniadania, zawsze staramy się przygotować coś wyjątkowego. To rodzinna tradycja. W naszym domu na Śląsku niedzielne śniadania jadało się przy dużym stole w dużym pokoju. Mama podawała nam potrawy na małych talerzach i zazwyczaj były to kiełbaski na gorąco z musztardą. Do tego prawdziwy śląski chleb i – jeśli były dostępne – to znakomite wędliny. Na stole obowiązkowo był też twarożek, chociażby tylko z dodatkiem natki pietruszki, ale zawsze, bo biały ser nasza Mama uwielbiała. Śniadań na słodko raczej nie jadaliśmy, ale ciasto po śniadaniu często gościło na stole.

Obecnie u nas na śniadaniowym stole królują jajka, ale w niedziele i na święta podajemy też naleśniki, placuszki i racuchy, zwłaszcza te z jabłkiem. Ostatnio w poszukiwaniu przepisu na doskonałe ciasto naleśnikowe odkryłyśmy przepis na cieniutkie jak papier naleśniki francuskie. Crêpes Suzette to taplające się w słodkim pomarańczowym sosie delikatne naleśniki polane na koniec likierem pomarańczowym i podpalone. Sekretem jest delikatne ciasto – najpierw ucieramy rózgą mąkę z jajkami i cukrem, tak jakbyśmy chcieli przygotować lane ciasto, a dopiero potem dolewamy mleko i trochę wody gazowanej. Na koniec palone masło, które sprawi, że naleśniki będą miały lekko orzechowy smak i nieco ciemniejszy kolor.

Sos Suzette robimy tak: cukier, sok z cytryny i pomarańczy karmelizujemy, aż nabierze ciemniejszego koloru. Następnie dodajemy skórkę z pomarańczy i zimne masło – w ten sposób będziemy emulsyfikować sos, czyli go redukować, aby stał się aksamitny. Każdy naleśnik zanurzamy porządnie w sosie i przekładamy na patelnię, podlewamy jeszcze łyżką sosu i likierem pomarańczowym. Następnie podpalamy, czyli flambirujemy, co sprawi, że alkohol się ulotni, a pozostanie tylko pomarańczowy smak i dzięki temu naleśniki mogą jeść dzieci. Na wierzch posypujemy jeszcze cieniutko pokrojoną skórkę z pomarańczy. Et voila! Gotowe!

Crêpes Suzette

Sos:

• skórka z pomarańczy • sok z ½ cytryny • sok z 2 pomarańczy • 8 sztuk naleśników • 80 g masła • 80 g cukru trzcinowego • likier pomarańczowy (opcjonalnie) • świeża pomarańcza do dekoracji • mięta

Ciasto na naleśniki:

• 100 g masła, z którego robimy palone masło, czyli podgrzewamy masło tak długo, aż będziemy czuć delikatny orzechowy zapach • 3 jajka • 1 szklanka mąki pszennej • 1 szklanka mleka i trochę wody gazowanej • 1 łyżka cukru, szczypta soli

Mąkę z cukrem, solą i jajkami dokładnie mieszamy rózgą, aż uzyska konsystencję gęstego ciasta. Dodajemy mleko i wodę, wyrabiamy, przelewamy przez sito i odstawiamy do lodówki na 30 min. W tym czasie roztapiamy 80 g cukru, dodajemy sok z pomarańczy i cytryny, gotujemy, dodajemy masło i redukujemy. Usmażone naleśniki składamy w kopertę i po kolei przekładamy do sosu, a następnie odstawiamy na patelnię, najlepiej partiami po 4. Polewamy resztką sosu z pomarańczy a na koniec polewamy likierem pomarańczowym. Podpalamy ostrożnie. Redukujemy płomień i na wierzchu dekorujemy tartą skórką z pomarańczy i świeżą miętą, owocami lub bitym na puch serkiem ricotta. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Gorący oddech zdrowia

Do czego to właściwie służy? – zapytał pan Bojańczyk zaciągnięty w sklepie AGD do kącika, gdzie prężyły wypukłe piersi urządzenia, o których ostatnio dużo mówi Internet, i nie tylko on.

Skończyła się epoka Thermomixa. Jeszcze trzy lata temu bez niego życie 30-, 40-latka z dużego ośrodka wydawało się pozbawione sensu. Thermomix sam kroił, siekał, smażył, przyprawiał, gotował. Był bardzo drogi, to stanowiło jego dodatkową zaletę, bo można się było luksusem pochwalić. W pewnych kręgach.

Jeszcze niektórzy wzdychają do Thermomixa; ci, którzy go nabyli, uważają jego zalety za przesadzone. Powiedzmy szczerze i okrutnie: już nie jest on modny. Teraz światła fleszy kierują się na nowszą maszynkę. Oto Air Fryer. Ani garnek, ani piekarnik, ani grill – za to wszystko w jednym. Kolejna kuchenna nowalijka z kategorii „musisz to mieć".

Gorącym powietrzem przypieka, grilluje, gotuje, bardzo szybko, bardzo zdrowo, bez tłuszczów roślinnych, które – jak zapewnia pani prof. Cichosz – są największym cichym zabójcą naszych czasów. Soczysty befsztyk, chrupiące złociste frytki – musisz to mieć, a teraz żadne widmo cholesterolu nie przesłoni ci uroku tych smaków. „W Air Fryerze dania są równie chrupiące, ale zawierają o wiele mniej tłuszczu". Tako rzecze producent.



FOT. ADOBE STOCK

Gdyby zbadać, jaka dziedzina wiedzy cieszy się największym zainteresowaniem w naszych burzliwych czasach, okazałoby się, że wcale nie jest to polityka, lecz porady dotyczące zdrowia i odżywiania. Mamy chyba najwyższą w historii ludzkości świadomość, jak jeść, żeby długo żyć. A jednocześnie nigdy jeszcze nie zjadało się tylu świństw co dzisiaj. Chemicznych, przemysłowych, hermetycznie opakowanych, bezpiecznych.

Kiedy jako kilkulatka byłam ze słoikiem w dłoni posyłana do spożywczej budki w Milanówku, nikomu by nie przyszło do głowy czytać skład kiszonej kapusty. Dzisiaj pierwszą rzeczą, jaką sama robię, kupując cokolwiek, jest przelocik przez listę składników. Na szczęście stragan na targu w Konstancinie, gdzie bywam co sobotę, nie zamieszcza takich informacji. Marchewkę trzeba umyć, oczyścić szczotką, nie zastanawiając się, ile ma białka, kalorii czy węglowodanów i ile metali ciężkich było w glebie. Ciekawe, czy Air Fryer się tym zajmuje. ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O młodzieży górnej i durnej

Wysoka fala walk ulicznych, łupienia sklepów i dewastacji wszystkiego, co stoi na drodze, która za sprawą rozwydrzonych wyrostków i anarchistów przeszła przez Mediolan, Rzym, Turyn, Florencję i Bolonię, pociągnęła za sobą szkody szacowane na setki milionów euro, a także kuriozalnych, jeśli nie haniebnych komentarzy koryfeuszy postępu. Rannych zostało kilkuset policjantów. O obrażeniach po stronie agresywnej gównarzerii nie słychać. Gdyby były, zdjęcia i filmiki zalałyby internet jako dowód, że wrócił faszyzm.

Postępowcy wszelkiej maści, w tym parlamentarzyści, mniej lub bardziej otwarcie chwalili młodzież za to, że „wzięła sprawy w swoje ręce w trosce o przyszłość własną i włoskiego państwa". Elly Schlein, szefowa największej opozycyjnej Partii Demokratycznej, wręcz oświadczyła, że jest dumna z młodzieży walczącej o swoje prawa. Naturalnie zdaniem postępowców bandyckie występy gołowąsów na ulicach włoskich miast były słuszną odpowiedzią na chybioną politykę rządu, który zamiast troszczyć się o przyszłość narodu, wydaje pieniądze na zbrojenia, a nie na szkolnictwo i edukację. Naturalnie są to duby smalone, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że obecny rząd wydał dwa razy tyle na edukację niż jego gardłujący teraz postępowi poprzednicy (23 mld euro). Tak czy inaczej, to nic innego jak puszczanie oka do rozbestwionych, w dużej części nieletnich wandali w obliczu przyszłorocznych wyborów.

O tym, że rozsądek w głowach młodych buntowników gości rzadko, niech świadczy to, co wydarzyło się w elitarnym, świeżo wyremontowanym liceum im. Enza Ferrariego i Heinricha Hertza w Rzymie. Uczniowie ogłosili strajk okupacyjny, zajęli liceum i w proteście przeciwko fatalnym warunkom nauki w szkołach zdewastowali cały ogólniak, w tym aulę i nowiutkie komputery.

Policja złożyła niespodziewaną poranną wizytę wielu agresywnym młodzieńcom zatrzymanym i wylegitymowanym podczas zamieszek. Podczas rewizji znaleziono 77 kg marihuany i haszyszu, 70 kg kokainy, koktajle Mołotowa, noże i pałki. Może dlatego dwukrotny fatalny premier Włoch i szef Ruchu 5 Gwiazd Giuseppe Conte już zapowiada, że jeśli stanie na czele rządu, zalegalizuje marihuanę. Podobnie jak Elly Schlein obiecuje zniesienie wszystkich dekretów bezpieczeństwa i ustaw obecnego rządu zaostrzających kary za ataki na policję, wandalizm i łupienie sklepów.

Natomiast sojusz ekologów i skrajnej lewicy chce wciągnąć na swoje listy wyborcze islamistę, którego czeka proces za podżeganie do zamieszek. Otrzymałby w ten sposób poselski immunitet i uniknął odpowiedzialności. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wojna o pluralizm

Mamy praktycznie do czynienia z wojną pomiędzy Elonem Muskiem i Unią Europejską. Nie od dziś wiadomo, że od kiedy miliarder kupił portal X – stał się wrogiem numer jeden europejskich liberałów. Trzeba dodać, że Musk jest jednocześnie właścicielem Starlinka, który komunikacyjnie de facto zdominował Stary Kontynent. I choć ubolewano nad tą coraz bardziej monopolistyczną sytuacją, to Unia musiała znosić ten stan, głównie z powodu braku własnych alternatywnych środków łączności o tak rozwiniętej technologii dostępu.

Wszystko się zmieniło od momentu, kiedy decyzją Muska spowolniono działanie systemu Starlink wobec wojującej Ukrainy. Do dziś Amerykanie przerzucają się odpowiedzialnością za ten fakt, jednak był on na tyle znaczący, że Ukraina poczuła się „ukarana" w ten sposób za niedostosowanie się do żądań Trumpa dotyczących zaprzestania niszczenia rosyjskich instalacji naftowych. Poczuła się także urażona Unia Europejska, jako że wojna ukraińska i jej przedłużanie są dla Brukseli priorytetem. Używając tych obu argumentów – monopolistycznej pozycji Muska i zagrożenia ustaniem obsługi technologicznej wojny na Ukrainie – Unia zaczęła wytaczać coraz cięższe działa przeciwko Muskowi.

Na pierwszy ogień poszły groźby wielomiliardowych kar nałożonych nie na Starlink, ale na portal X, głównie za niedostosowywanie się do wymogów Unii, coraz bardziej dążących do cenzury w komunikacji. Musk dwie godziny po tej groźbie przestawił system obsługi powietrznej Starlinka nad Europą w stan „konserwacji awaryjnej" i Unia natychmiast wycofała swoje zastrzeżenia.

Unia rzuciła rękawicę Muskowi i zamierza wdrażać swój alternatywny system. Ale odbędzie się to z charakterystycznym, urzędniczym podejściem Unii, bo mamy w realizacji kilka alternatywnych systemów, z tym że każdy z nich posiada dwie cechy: kosztuje coraz więcej, a terminy oddawania do użytku odsuwane są notorycznie. Blokowanie przez Unię Muskowi nabycia częstotliwości do jego transmisji może też się skończyć tak, że utrudni się życie Starlinkowi (i jego użytkownikom), a nie będzie innej możliwości komunikacji. Unia chce mieć też swój system łączności satelitarnej, ale pierwszy satelita (z 348 planowanych) zostanie wystrzelony najszybciej w 2030 r., co nie stworzy alternatywny dla muskowych ponad 10 tys. satelitów krążących już w kosmosie.

Unia walczy z Muskiem i stawiam dolary przeciwko orzechom, że nie po to, by się uchronić przed jego monopolem technologicznym, ale przed tworzeniem przez niego pluralizmu przekazu. ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331

SPODE ŁBA

Wrogie podmioty manifestują



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Ciekawymi wiadomościami podzielił się, korzystając z portalu „X", Sztab Generalny Wojska Polskiego. „Wiemy, jak delikatnie przebiega granica między demokratyczną demonstracją społecznego niezadowolenia a planowanymi operacjami realizowanymi przez wrogie danemu krajowi podmioty" – ogłoszono we wpisie „Astroturfing – niebezpieczna gra". „»Astroturfing« określa metodę manipulacji społecznej

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



i oznacza pozornie oddolną inicjatywę w celu wywołania zamieszek w danym kraju. Manifestujący często nie zdają sobie sprawy, że zostają użyci do innego celu niż ich manifest". Na szczęście, „operacje realizowane przez wrogie krajowi podmioty" można, dzięki radom Sztabu Generalnego, łatwo rozpoznać. „Jeśli widzisz nagłą falę entuzjazmu w Internecie, sprawdź różnorodność źródeł, konta i inne platformy informacyjne, prawdziwe wsparcie jest bardziej rozproszone i naturalne. Zwracaj uwagę, czy demonstrowanie przekonań przeradza się w werbalną lub fizyczną przemoc. Granicą demokracji jest przemoc i zniszczenie" – instruują wojskowi.

Kontrowersyjny komunikat Sztabu Generalnego szybko zniknął z platformy „X". Za jego publikację przeprosił płk Marek Pietrzak. Zdaniem rzecznika Sztabu Generalnego „wpis nie miał absolutnie żadnego związku i nie był żadnym komentarzem do bieżących wydarzeń politycznych ani jakichkolwiek protestów." Jego publikację „zaplanowano automatycznie", w ramach „niefortunnego zbiegu okoliczności".

Na wpis Sztabu Generalnego zareagowali dziennikarze portalu wPolityce.pl. Ma on rzekomo dowodzić istnienia w Wojsku Polskim „frakcji politycznych serwilistów, gotowej na zlecenie ekipy rządzącej wykorzystywać aparaty walki informacyjnej i kognitywnej przeciwko własnym obywatelom, byle tylko chronić władzę przed gniewem społecznym". „Jaruzelski by się nie powstydził takiej retoryki. Skompromitowali policję, chcą także skompromitować wojsko" – zagrzmiał Jacek Karnowski.

Ma on zapewne w tych kwestiach bogate doświadczenie. Już w 2017 r. portal wPolityce.pl pojęcie „astroturfingu" odkrył i spopularyzował, przypisując go demonstrantom protestującym przeciw ówczesnej polityce rządu PiS. „Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z perfidnym działaniem w ramach zjawiska tzw. astroturfingu, techniki kreowania pozornie spontanicznych obywatelskich organizacji i inicjatyw". Antoni Macierewicz widział w protestach pod Trybunałem Konstytucyjnym „działania na rzecz Rosji, na rzecz reżimu pana Putina", część „szerszej akcji politycznej przeciwko Polsce". „Rosyjskie służby specjalne próbują destabilizować sytuację przez sztuczne protesty społeczne" – dopowiadał Jacek Saryusz-Wolski. Rosyjską inspirację przypisywał Jarosław Kaczyński także przeciwnikom szczepionek „Chciałbym wszystkim, którzy nie chcą się szczepić, którzy wierzą w tę rozpoczętą w latach 80. przez KGB operację, żeby się zastanowili, bo szczepienia są konieczne". „Te podmioty i kanały informacyjne, które zwyczajowo identyfikują się z tezami Rosji i biorą udział w ich kolportowaniu w przestrzeni publicznej, włączały się w mijającym roku w promowanie tez środowiska antyszczepionkowców i przeciwników technologii 5G" – demaskował rzecznik ministra, koordynatora służb specjalnych, Stanisław Żaryn.

Przypisywanie obcej inspiracji każdej formie antyrządowego sprzeciwu ma w Polsce długą tradycję, wspólnie kultywowaną przez rządy PO i PiS. Prawicowi intelektualiści, ze zdumieniem załamujący ręce nad biernością Polaków wobec prowadzonego w Trybunale Konstytucyjnym zamachu stanu, powinni sobie przypomnieć bajkę Ezopa o pastuszku i owcach. Pastuszek wielokrotnie wzywał pomocy przeciw zmyślonym wilkom. Kiedy wilk naprawdę zaatakował jego stado: „Wołał, płakał, wzywał ratunku, ale zawiedzeni już parę razy ludzie nie przybiegli mu na pomoc. Wilk wydusił wszystkie owieczki. Tak zwykle bywa kłamcom". Czy polscy politycy wyciągnęli z tej przypowiastki jakąś naukę? ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331



WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Możesz

Znana jest anegdota o facecie, który podczas choroby żony sam poszedł na Mszę Świętą i pytany potem, co było na kazaniu, nie bardzo pamiętał, więc powiedział, że ksiądz mówił o grzechu. „Ale co mówił?" – dopytywała się żona. „No… był przeciwny" – odparł mąż. Otóż to, że Kościół jest przeciwny grzechowi, a nawet nalega, by go nie popełniać. Stąd ktoś, kto do kościoła nie chodzi, może mieć, niesłuszne zresztą, wrażenie, że Kościół do czegoś zmusza. A człowiek chce być wolny. Więc po co mu Kościół i wiara?

Jest w tym podejściu głębokie nieporozumienie. Dobrze oddaje to serial „Na wschód od Edenu" według klasycznej już powieści Johna Steinbecka. Końcowy odcinek serialu zatytułowano „Timshel", co znaczy po hebrajsku „Możesz". Steinbeck odniósł trudną relację między dwoma braćmi do biblijnej opowieści o dwóch synach pierwszych rodziców, która jest świetną lekcją relacji człowieka z Bogiem. Ofiara Abla była szczerą konsekwencją jego oddania Bogu. Ofiara Kaina była hipokrytyczna, trochę jak w powiedzeniu: „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek", co Bogu podobać się nie mogło. Pan zapytał zatem Kaina: „Dlaczego jesteś smutny i dlaczego twarz twoja jest ponura? Przecież gdybyś postępował dobrze, miałbyś twarz pogodną; jeżeli zaś nie będziesz dobrze postępował, grzech leży u wrót i czyha na ciebie, a przecież ty masz nad nim panować" (Rdz 4, 7).

Tak brzmi tłumaczenie Księgi Rodzaju w Biblii Tysiąclecia. „Masz" oznacza tu tyle co „powinieneś". I słusznie. Należy panować nad grzechem. Ale autorzy serialu dotarli do hebrajskiego oryginału, gdzie użyte jest słowo „timszel", czyli „możesz". Nadali sytuacji dodatkowe znaczenie. Bóg powiedział bowiem Kainowi nie tyle, że powinien panować nad grzechem, ile że może to robić, gdyż otrzymał wolną wolę.

Na większość sytuacji wyboru trzeba tak patrzeć. Nie po to mamy wolną wolę, by źle wybierać. Czym jest zły wybór? To wybór opcji, która szkodzi. Może to być opcja atrakcyjna lub taka, do której jesteśmy przyzwyczajeni lub którą podzielają bliscy albo przełożeni. Może ona wydawać się korzystna z krótkiej perspektywy lub słuszna w odniesieniu do złej oceny sytuacji. Są jednak opcje lepsze i gorsze. Człowiek ma wolną wolę, ale musi rozumieć konsekwencje swoich wyborów.

Odpowiedzialność to dziś słowo bardzo niepopularne, ale wiąże się ona z nieuchronnymi konsekwencjami wyboru. Nie chodzi tu bynajmniej tylko o to, by rozumieć, że skok z czwartego piętra skończy się najprawdopodobniej śmiercią czy że zbyt usilnie reklamowany krem do twarzy może zaszkodzić. Wybór stoi przed nami wszędzie. Człowiek ma rozum, wolę i uczucia. Nawet jeśli uczucia błądzą, a wola słabnie, to rozum może nas uratować. Wynika z tego kilka konkretnych rad.

Dlaczego mamy wybierać ludzi, którzy nie rozróżniają ludzi od zwierząt? Przecież mogą nas potraktować jak zwierzęta.

Dlaczego mamy akceptować ludzi, którzy naginają prawo do swojej woli? Przecież mogą nas osądzić niesprawiedliwie.

Dlaczego mamy ufać komuś, kto twierdzi, że mężczyźni mogą rodzić dzieci? Gdy ktoś usilnie zapewnia, że „nic takiego nie mówił", to czemu nie sprawdzić, jak to z nim było?

Dlaczego, będąc kobietami, mamy wierzyć feministkom, skoro nie bronią one przed wchodzeniem facetów do damskich toalet?

Dlaczego mamy ulegać promocji głupoty, skoro, jak mówi przysłowie: „Kogo Pan Bóg chce ukarać, to mu odbiera rozum?"

Skoro łatwizna daje nikłe efekty, a pokonanie trudnych wyzwań przynosi efekty większe, to czemu chcemy poprzestać na byle czym?

Nic nas nie zmusza do tego wszystkiego. Możemy wybrać mądrzej. ©℗

Odpowiedzialność to dziś słowo bardzo niepopularne, ale wiąże się ona z nieuchronnymi konsekwencjami wyboru. Nie chodzi tu bynajmniej tylko o to, by rozumieć, że skok z czwartego piętra skończy się najprawdopodobniej śmiercią czy że zbyt usilnie reklamowany krem do twarzy może zaszkodzić. Wybór stoi przed nami wszędzie

eprasa.pl 4ba9d97331

ZŁOTO



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Wolność jest ważniejsza od niepodległości. Chiny są niepodległe, prawda? I Korea Północna jest niepodległa, i Rosja też. I Kuba. I co z tego, że one wszystkie są niepodległe, gdy jednocześnie nie dają swoim obywatelom wolności? Rosja Sowiecka za Stalina była niepodległa i co z tego, pytam?

Jeżeli jesteś gotów oddać wolność w zamian za bezpieczeństwo, nie należy ci się ani jedno, ani drugie – to spostrzeżenie Benjamina Franklina, jednego z Ojców Założycieli USA. Już 250 lat temu wiedzieli oni, że bez wolności inne rzeczy tracą sens.

Święto 11 listopada uważam za ważne i obchodzę je hucznie. Zacząłem jako nastolatek za komuny. Ale hasła i okrzyki, które wznoszę od wtedy do dziś, nigdy nie dotyczyły niepodległości, a zawsze były wołaniem o wolność. „Precz z komuną", wtedy, a dziś komunę zastąpiła Unia Europejska. Nie wiem, co państwo skandują na manifestacji, ale ja skanduję: „EXIT, EXIT, UNIA WON".

***

Mołdawia chciałaby wejść do Unii. Unia w ramach stawiania warunków powiedziała, że Mołdawia (producent wina) ma zlikwidować dwa konkretne szczepy winorośli. Mają wyniszczyć swój dorobek i majątek. Mają przestać produkować konkretne wina, których nie produkuje nikt inny na świecie. Przyczyna? Prawdopodobnie Francuzom nie podoba się konkurencja.

Nie wiem, co się obiecuje Mołdawianom jako korzyść, skoro od bardzo dawna nie da się już wykazać za pomocą kalkulatora ani zdrowego rozsądku, dlaczego wejście do UE jest lepsze od niewchodzenia.

***

Fakty: Udział Unii Europejskiej w światowym PKB zmalał z 25 proc. w roku 1990 do 14 proc. obecnie i nadal spada. Gospodarczy regres Europy pokrywa się z okresem największego wzrostu terytorium UE od czasu jej powstania. Do Unii przyjmowano nowe państwa, w tym Polskę, i pomimo przejmowania nowych gospodarek, nowego majątku, infrastruktury, nowych rynków i rąk do pracy, unijna gospodarka wpadła w tarapaty. Można to tłumaczyć tym, że świat rósł szybciej, a Europa nadal się rozwijała tyle że zbyt wolno w stosunku do reszty świata. OK, ale to oznacza, że UE nie nadąża. Unia jest systemem niewydolnym w konkurencji z resztą świata. Kropka. Ja z tego wyciągam prosty wniosek, że lepiej nie należeć do Unii, bo Unia ciągnie w dół.

***

Gdy lecę przez ocean którąś z europejskich linii lotniczych, obserwuję, jak Amerykanie śmieją się w kułak, gdy dostają wodę do picia z przyspawanymi nakrętkami do butelek.

– Nie umiecie tego wyprodukować w taki sposób, aby dało się odkręcić?

– To tak specjalnie. Przepis unijny – odpowiada stewardessa i jest jej głupio.

– A ma pani jakieś nożyczki, żebym ja to odciął? Przeszkadza w piciu, drapie po twarzy…

– Nie wolno odcinać.

– Bo co? To moja woda!

– Ale butelka unijna.

– Przecież wywalicie ją do śmieci na terenie USA, a w dodatku teraz jesteśmy w strefie wolnocłowej nad oceanem…

Europa dla Amerykanów była kiedyś warta podziwu. Wysoka kultura, zabytki… Dziś coraz częściej budzi pogardę z powodu przeróżnych debilizmów. Jednym z nich jest Greta Thunberg i wymysły takie jak przyspawana nakrętka.

***

Amsterdam: Z przystanków i stacji metra zniknęły reklamy burgerów, samochodów na benzynę i linii lotniczych. Miasto ogłosiło to jako przełom w polityce klimatycznej. Zakaz nie zmniejszy emisji o gram, ale przedstawicielka partii Zielonych powiedziała, że jeśli chce się przodować w polityce klimatycznej, nie można wynajmować miejsc reklamowych na coś przeciwnego.

Amsterdam zapowiada, że chce zmniejszyć o połowę spożycie mięsa. W Polsce podobnie – od 1 września w szkołach obowiązuje ograniczenie mięsa na stołówkach, a mleko zastępuje się płynami roślinnymi.

Homo sapiens to drapieżnik. W okresie wzrostu i dojrzewania potrzebuje mięsa. Młodzież pozbawiona mięsa będzie krzywa, skarlała i chorowita.

***

Zapas złota w NBP to prawie 700 ton. Gdybyśmy przyjęli walutę euro część tego złota wyjedzie do Niemiec. Zostanie przekazana (darmo!) do unijnego banku centralnego we Frankfurcie. I już nigdy nie wróci, bo nie istnieje procedura likwidacji euro ani procedura zwrotu złota. W jakim celu waluta euro jest zabezpieczana złotem, skoro parytet złota zlikwidowano dawno temu?

Euro to papier. Drukują, ile im pasuje i nie oglądają się na pokrycie w niczym. Ani na pokrycie w towarach na rynku, ani na rozmiar unijnej gospodarki. Gdyby się oglądali, musieliby co roku zdejmować z rynku trochę euro i palić tym w piecu. Europejska gospodarka się przecież KURCZY. Jest coraz mniejsza, coraz mniej konkurencyjna, coraz mniej europejskich towarów daje się eksportować. Unijne regulacje, choćby klimatyczne, powodują, że w Europie nie opłaca się produkować. Kapitał ucieka do krajów, które nie nakładają kar za emisję CO_2 i do krajów, gdzie koszt pracy jest niski. Azja się rozwija, Afryka też. A Europa się zwija. Gdyby więc euro było w jakikolwiek sposób powiązane z rozmiarami gospodarki, trzeba by co roku zdejmować z rynku kolejne paczki pustych pieniędzy. A oni nie zdejmują, lecz drukują i drukują.

***

Trybunał Konstytucyjny jest Tuskowi potrzebny, by wprowadzić euro. Wtedy Niemcy dostaną transport polskiego złota. To nie będzie depozyt ani opłata za coś konkretnego – to będzie nieodpłatne „przekazanie" do Banku Centralnego UE. Czyli haracz. Bo nie ma rozsądnego powodu, dlaczego złoto banku centralnego UE nie mogłoby nadal spoczywać w Warszawie. Czemu wszystko musi leżeć na jednej kupie we Frankfurcie?

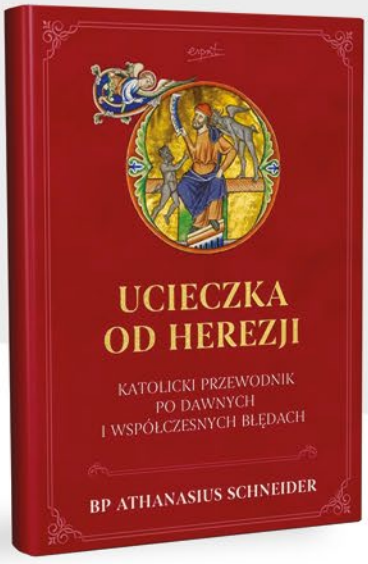
Przejęcie Trybunału to walka o ogromną kupę złota, a gdy ono trafi do Niemiec, już go nigdy nie odzyskamy – tak jak zrabowanych polskich zabytków, które leżą w niemieckich muzeach. Skok na Trybunał to skok na złoto z NBP. Reszta to tylko szum. ©℗

eprasa.pl 4ba9d97331

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

BP ATHANASIUS SCHNEIDER: „UCIECZKA OD HEREZJI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~617~~ ZŁ

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 326 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

| Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

| Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 4ba9d97331


LIVE IN CONCERT
ANDREA
BOCELLI
Romanza
WORLD TOUR
30 MAJA 2027
SUPERAUTO.PL STADION ŚLĄSKI, CHORZÓW
WIELKIE ŚWIĘTOWANIE 30 LAT PŁYTY ROMANZA
BILETY: BILETSERWIS.PL
ANDREABOCELLI.COM